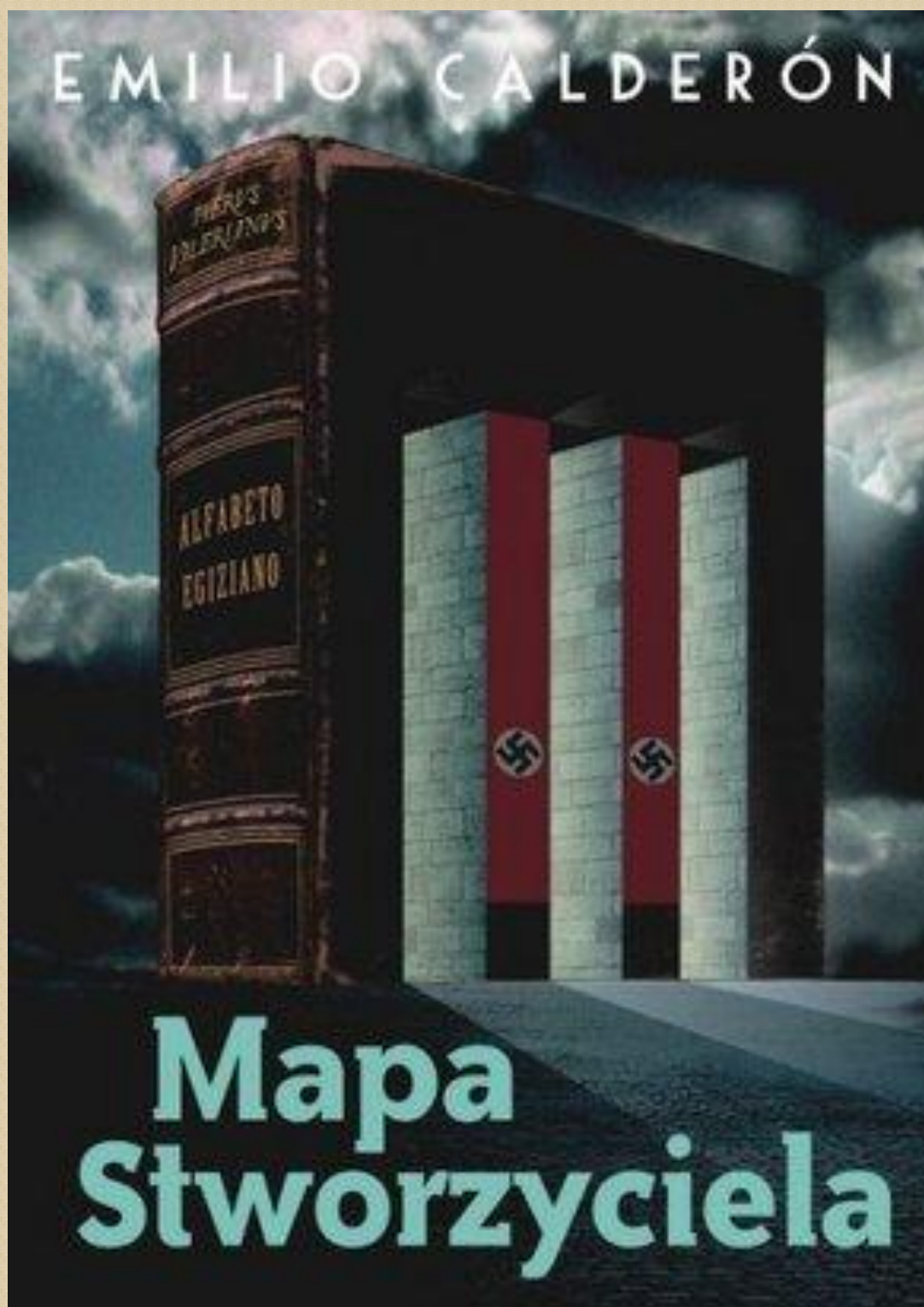


EMILIO CALDERÓN



# Mapa Stworzyciela

EMILIO  
CALDERON

Mapa Stworzyciela

*Dla prawdziwego José Marii Hurtado de Mendoza, za użyczenie mojemu bohaterowi imienia i wiedzy o architekturze faszystowskiej. Dla Marii Jesús Blasco, która opowiedziała mi o cmentarzu protestanckim w Rzymie i o stylu liberty. I oczywiście dla ducha Beatrice Cenci, który pewnej upalnej czerwcowej nocy podszeptał mi tę historię w gabinecie numer osiemnaście w Akademii Hiszpańskiej w Rzymie.*

*Niektórzy śnią, że to oni tworzą Historię. A życie przysłuchuje się innej historii.*

Wolfgang Rieberman

# Część pierwsza

## 1

Kiedy w październiku 1952 roku przeczytałem w gazecie, że księciu Juniowi Valeriovi Cimie Vivariniemu ucięło głowę na lodowcu Schleigeiss, u podnóża góry Hochfeiler, w odległym zakątku Alp Austriackich, poczułem jednocześnie ulgę i niepokój. Ulgę, ponieważ jego śmierć oznaczała dla mnie zakończenie drugiej wojny światowej (mimo że Europa od kilku już lat powstawała z wojennych gruzów), niepokój, gdyż podczas ostatniej rozmowy z moją żoną Montse, chyba w marcu 1950 roku, Junio wyznał, że w razie jego nagłej śmierci otrzymamy pewne dokumenty oraz stosowne instrukcje. A kiedy Montse zapytała, o jakie dokumenty chodzi, Julio odparł, że to tajemnica, której nie wyjawi „dla naszego dobra”. Ponieważ wojna zakończyła się siedem lat temu, a Junio był gorącym zwolennikiem Trzeciej Rzeszy, bynajmniej nie chcieliśmy mieć nic wspólnego z jego sprawami. Wieści o śmierci Junia - prócz kłopotów, jakich mogła nam ona przysporzyć - znalazły również żywy oddźwięk we wszystkich środkach przekazu, nie tylko dlatego, że dotyczyły postaci kontrowersyjnej, ale także dlatego, że inny mężczyzna, niejaki Emmanuel Werba, zginął kilka miesięcy wcześniej w tym samym miejscu i w ten sam sposób. Tragiczny koniec Junia i Werby zaowocował falą pogłosek o Bóg wie jakich skarbach ukrytych przez hitlerowców w Alpach Bawarskich, w ilościach wystarczających do stworzenia Czwartej Rzeszy. Skarby owe były ponoć strzeżone przez członków elitarnego oddziału SS - wiernych wyznawców ezoterycznych poglądów Reichsführera Heinricha Himmlera.

Do nazwisk Junia i Werby dodać należy alpinistów Helmuta Mayera i Ludwiga Pichlera, których okaleczone zwłoki znaleziono nieopodal. Prasa podała, że w jednej z kopalń Alt Aussee odkryto podziemny korytarz z dziełami sztuki pochodzącymi z całej Europy: 6577 obrazami, 230 akwarelami i rysunkami, 954 rycinami i szkicami, 137 rzeźbami, 78 meblami, 122 arrasami i 1500 skrzyniami pełnymi książek. Były wśród nich dzieła braci van Eyck, Vermeera, Bruegla, Rembrandta, Halsy, Rubensa, Tycjana, Tintoretta i wielu innych mistrzów. Ponadto w miejscowości Redl-Zipf amerykański żołnierz natrafił na klejnoty, złoto i sześćset milionów fałszywych funtów szterlingów (ukrytych w kufrach i spichlerzach), którymi, gdyby wojna potrwała dłużej, Niemcy zamierzali podkopać gospodarkę Wielkiej Brytanii. Plan ten, nazwany operacją „Bernhard”, był dziełem komendanta SS Alfreda Naujocksa, a zatwierdzony został przez samego Hitlera. Do lipca 1944 roku hitlerowcy wyprodukowali czterysta tysięcy fałszywych banknotów, które zamierzali rozrzucić nad Anglią. Spowodowałyby to niezawodnie dewaluację funta szterlinga, a tym samym chaos w brytyjskiej gospodarce. Późniejsza sytuacja (Luftwaffe musiała skierować wszystkie samoloty do obrony niemieckiej przestrzeni powietrznej) uniemożliwiła realizację planu. Pieniądze ukryto w Austrii, gdzie ślad po nich zaginął. Tak więc śmierć Junia i Werby

można było odczytać jako przestrożę dla śmiałków szukających legendarnych skarbów hitlerowskich.

Gdy zamknąłem gazetę, stanęły mi wyraźnie przed oczami wydarzenia sprzed piętnastu lat.

## 2

Wszystko zaczęło się pod koniec września 1937 roku, gdy don José Olarra, sekretarz Hiszpańskiej Akademii Historii, Archeologii i Sztuk Pięknych w Rzymie, chcąc wesprzeć finansowo oddziały generała Franco, wystawił na licytację obraz José Morena Carbonery. Nabywcą okazał się niemiecki polityk zamieszkały w Mediolanie.

Mijał już rok od wybuchu wojny domowej w Hiszpanii i życie w Rzymie z każdym miesiącem stawało się coraz cięższe. Już na samym początku ambasada hiszpańska przy Kwirynale opowiedziała się po stronie autorów zamachu stanu. Dotychczasowy dyrektor akademii, mianowany przez rząd republikański, został natychmiast odwołany i na czele instytucji stanął jej sekretarz. Fakt, że podróż z Rzymu do Hiszpanii była w owych warunkach nadzwyczaj niebezpieczna, pozwolił nam, czterem stypendystom przebywającym naówczas w akademii, wystarać się o przedłużenie stypendium. José Ignacio Hervada, José Muñoz Molleda i Enrique Pérez Comendador, któremu towarzyszyła żona Magdalena Lerroux, sympatyzowali z nacjonalistami, ja natomiast nie skłaniałem się ku żadnej ze stron. I tak, w towarzystwie sekretarza Olarry, jego rodziny oraz administratora, Włocha Cesare Fontany, upłynęły nam pierwsze miesiące hiszpańskiej wojny.

Brak wiadomości z pierwszej ręki oraz uprzywilejowane położenie akademii na szczycie wzgórza Gianicolo skłoniły ambasadę do zamontowania pod koniec 1936 roku na jednym z tarasów stacji radiotelegraficznej, pracującej dwadzieścia cztery godziny na dobę i obsługiwanej przez trzech techników.

Z nowym rokiem przybyło do akademii piętnaście katalońskich rodzin, które uciekły z Barcelony ze względu na swe nacjonalistyczne poglądy - byli to mieszcianie lękający się represji ze strony władz republikańskich i hord anarchistów. W lutym 1937 roku mieszkało nas więc w akademii ponad pięćdziesięcioro: pracownicy etatowi, stypendyści, wojskowi i „zbiegowie” (jak nazywał Olarra katalońskich uchodźców w raportach, których domagała się od niego ambasada hiszpańska przy Kwirynale). Oczywiście brak środków był coraz dotkliwszy i jeszcze przed końcem zimy głód i chłód dały się nam we znaki.

Gdy tylko Olarra napomknął o aukcjach, my, stypendyści, popierani przez gros „zbiegów”, postanowiliśmy zdobyć trochę gotówki, wystawiając na sprzedaż cześć

zbiorów akademii. Sam sekretarz, wobec dramatycznie trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, musiał patrzeć przez palce na nasze postęпки. Zaczęliśmy od wyprzedawania mebli. Jednak doszedłszy do wniosku, że drewno może się nam przydać na opał w mroźne dni, skoncentrowaliśmy się na książkach. Jeśli akademia posiadała cokolwiek wartościowego, była to niewątpliwie biblioteka z licznymi egzemplarzami pamiętającymi czasy jej założenia, przypadającego bodajże na rok 1881, a nawet starszymi - niektóre woluminy trafiły tu bowiem w spadku po mnichach zamieszkujących budynek od XVI stulecia. Magdalena Lerroux, żona stypendysty Pereza Comendadora, знаła pewną *antica librería* przy ulicy Anima, postanowiliśmy więc spakować kilka cenniejszych tomów i spróbować szczęścia.

Wyborem książek zajęła się Montserrat, przedstawicielka młodego pokolenia „zbiegów”, która z własnej inicjatywy - dla odpędzenia nudy - postanowiła uporządkować bibliotekę akademii. Montserrat - nazywana zdrobniale Montse - ubrana nieodmiennie w koszulę i długą spódnicę w kolorze zgaszonej bieli oraz chustkę tej samej barwy, bardziej przypominała pielęgniarkę niż bibliotekarkę z powołania. Niekiedy zachowywała się jak nowicjuszka w zakonie: odzywała się z rzadka, ważąc każde słowo, zwłaszcza w towarzystwie starszych. Po kilku tygodniach Montse wyznała mi, że ubiór i obyczaje przyjęła za radą ojca, by nie zwracać na siebie uwagi. Jednak i tak zdradzały ją piękne zielone oczy, biała cera, przywodząca na myśl kararyjski marmur, długa, wyjątkowo delikatna szyja, wysmukła sylwetka oraz miarowy, elegancki chód. Był to ten typ urody, który wprawia w zakłopotanie mężczyzn i którego nie sposób ukryć pod żadnym przebraniem.

Pérez Comendador zaproponował, byśmy drogą losowania ustalili, kto ze stypendystów pomoże „zbiegowi” uzyskać od antykwariusza najkorzystniejszą cenę za nasze książki.

- Wypadło na ciebie, José María - stwierdził.

Wszelka odskocznia od nudnej codzienności, która sprowadzała się do czekania na wiadomości z Hiszpanii, nadchodzące za pośrednictwem stacji radiotelegraficznej, była mile widziana, dlatego nie dałem się długo prosić. Poza tym przyznaję, że Montse pociągała mnie od samego początku - upatrywałem być może w jej urodzie ratunku, sposobu na odwrócenie myśli od tragedii wojny.

- Ile mam zażądać? - zapytałem, nieobyty ze światem finansów.

- Dwa razy więcej, niż ci proponują. Zawsze zdążysz zejść do sumy pośredniej między ofertą kupującego a własnymi roszczeniami - powiedział Pérez Comendador, którego pozycie małżeńskie nauczyło baczyć na cyfry.

Niby zadurzony uczeń wybierający się na przechadzkę z ukochaną, wziąłem książki pod pachę i oddałem inicjatywę Montse.

Ruszyliśmy w dół poprzez rzeźką gęstwinę ogrodów akademii i wyszliśmy na ulicę Garibaldiiego „zakazaną bramą”, nazywaną tak, gdyż policja Mussoliniego poleciła ją

zamknąć - ponoć z winy anarchistów i kobiet lekkich obyczajów, korzystających z tego przejścia podczas nocnych wypadów. Domniemanymi anarchistami byli ni mniej, ni więcej tylko sami stypendyści akademii, w większości malarze i rzeźbiarze, a ładacznicami - ich modelki. Tymczasem, póki rozkaz nie został wykonany, nadal używaliśmy „zakazanej bramy”, wygodniejszej od tej prowadzącej na bardzo strome i męczące schody San Pietro in Montorio.

Gdy tylko gałęzie zniknęły nam znad głów, słońce nie omieszkalo przypomnieć, że lato - upalne i wilgotne jak każde rzymskie lato - wciąż trwa. Jedynie szare chmury nad górami Albano wróżyły rychłe nadejście jesieni. Złamana biel stroju Montse przywiodła mi na myśl anioła, a jej rozkołysane biodra - diabła. Moją uwagę zwróciło głównie odkrycie, że jej zachowanie w akademii wynikało ze zwykłego wyrachowania. Odważę się nawet stwierdzić, że wtedy właśnie zaczęło kiełkować we mnie uczucie, którym zapalałem do niej później.

- Znasz drogę? - zapytała tonem, który wskazywał, że jej nieśmiałość pozostała w murach akademii.

- Tak, spokojna głowa.

- Po tutejszym bruku nie da się chodzić - poczęła się zżymać na kocie łby, pokrywające niemal wszystkie ulice Rzymu.

Dopiero wtedy spostrzegłem, że ma na nogach szpilki, zupełnie jakby wybierała się na potańcówkę z narzeczonym.

- Na takich obcasach możesz sobie zwichnąć kostkę - zauważyłem.

- Uznałam, że dodadzą mi powagi i stateczności. Mój ojciec często powtarza, że w interesach powaga i stateczność to podstawa.

W interesach oraz w życiu, pomyślałem, wyobrażając sobie wiecznie surową i uroczystą minę pana Fâbregasa, ojca Montse, przemysłowca tekstylnego i właściciela fabryki w Sabadell, zadręczającego się sytuacją w Barcelonie. Zawsze nosił przy sobie wycinek z artykułem brytyjskiego dziennikarza, niejakiego George'a Orwella - człowieka o lewicowych poglądach, sympatyzującego z hiszpańskim Frontem Ludowym - który pisał, że znalazłszy się w Barcelonie, poczuł, jakby trafił na inny kontynent, gdzie klasy zamożne przestały istnieć, podobnie jak zwroty grzecznościowe „pan”, „pani”, a kapelusz i krawat uchodziły za symbole faszystowskie. Pytany o powód przymusowej emigracji, pan Fâbregas wydobywał przesławny artykuł i odczytywał go głośno i wyraźnie. A jeśli rozmówca zarzucał generałowi Franco, że wystąpił przeciwko demokratycznie ustanowionemu porządkowi prawnemu, pan Fâbregas sięgał po inny wycinek prasowy, tym razem z niepodległościowego dziennika katalońskiego „La Nació” z 9 czerwca 1934 roku, z zakreślonym następującym zdaniem: Nigdy nie chcieliśmy negocjować z rządem hiszpańskim, bo zapach Cyganów nas mierzi, po czym dodawał: „Oto zapowiedź wojny. Oto dlaczego Franco musiał podrzeć talię kart - gracze okazali się oszustami

hołdującymi najniższym instynktom”. Teraz, na obczyźnie, pan Fâbregas zbierał fundusze, by, jak mówił, uwolnić Katalonię od bolszewickiej anarchii.

- Podoba ci się Rzym? - zapytałem Montse, by przełamać pierwsze lody.

- Podoba mi się tutejsza zabudowa, ale wolę ulice Barcelony. Rzymskie ulice przypominają naszą dzielnicę Barri Xines, tyle że pełno tu pałaców. I to jakich pałaców! A ty? Lubisz Wieczne Miasto?

- Zamierzam tu spędzić resztę życia - odparłem zdecydowanie.

Myśl ta chodziła mi po głowie od wielu miesięcy, jednak po raz pierwszy wypowiedziałem ją na głos.

- Jako stypendysta akademii? - zainteresowała się Montse.

- Nie, koniec wojny w Hiszpanii będzie równoznaczny z końcem akademii. Chcę otworzyć własną pracownię architektoniczną.

Dziwnym trafem to właśnie pisarz Ramón Valle-Inclán, ówczesny dyrektor Akademii Hiszpańskiej w Rzymie, ściągnął mnie do stolicy Włoch, abym badał tutejszą architekturę faszystowską, na wypadek gdyby niektóre jej elementy przydały się hiszpańskiej republice. Teraz Valle-Inclán spoczywał w rodzinnej galisyjskiej ziemi, a republika miała się lada moment rozsypać niczym źle skonstruowany budynek. Dzięki tematowi moich studiów uniknąłem, przynajmniej oficjalnie, podejrzeń ze strony sekretarza Olarry, do którego zadań należało donoszenie ambasadzie na osoby o niepewnych poglądach politycznych i dwuznacznym zachowaniu.

- Czemu nie chcesz wracać do Hiszpanii? Ja nie mogę się doczekać powrotu do Barcelony. Przecież właśnie architekci będą nam najbardziej potrzebni po wojnie.

Montse miała rację. Jeśli Franco wygra wojnę, będzie potrzebował inżynierów obeznanych z architekturą faszystowską. Jednak przyszłe potrzeby Franco miały się nijak do moich osobistych marzeń i oczekiwań.

- Nie mam rodziny. Nikt na mnie nie czeka w Hiszpanii - wyznałem.

Montse spojrzała badawczo, wyraźnie domagając się wyjaśnień.

- Moi rodzice nie żyją, podobnie zresztą jak moi dziadkowie. Na dodatek jestem jedynakiem.

- Ale masz chyba wujka czy kuzynów? Każdy ma jakiegoś kuzyna...

- Owszem, mam wujów i kuzynów, ale mieszkają w Santander i nie utrzymuję z nimi kontaktu. Wujków widziałem parę razy w Madrycie, gdy przyjechali dzielić spadek po moich dziadkach. Zresztą moi rodzice się z nimi poprzytkali i podział



majątku nie wyszedł nikomu na zdrowie. A jeśli chodzi o moich kuzynów, to dla mnie zupełnie obcy ludzie...

- Rodzina to miniatura państwa: zawsze znajdzie się w niej jakiś zdrajca - rzuciła Montse i westchnęła.

Tym razem ja zerknąłem na nią zdziwiony.

- Tak mawia mój tata. Mój stryj Jaime jest komunistą. Ojciec zabronił nam wymawiać nawet jego imię - dodała.

- A ty właśnie to zrobiłaś - zauważyłem.

- Bo nie chcę, by mój ojciec i stryj skończyli jak Kain i Abel.

Już miałem zapytać, komu wyznaczyła rolę Kaina, a komu Abła, ale ugryzłem się w język, nie chcąc wywołać sporu, który Bóg wie jak by się zakończył. Ostatnie miesiące nauczyły mnie, że podczas wojny słowa często prowadzą do nieporozumień, a nawet rękoczynów.

- W gruncie rzeczy twój ojciec ma rację. Rodziny są niczym państwa. Gdy ich członkowie wypowiedzą sobie wojnę, dbają już tylko o sprzyjający układ sił, nie zwracając uwagi na cierpienia, jakie sobie zadają - dodałem.

Ponte Sisto przeszliśmy na drugą stronę Tybru, zatykając nos, by nie wdychać unoszących się nad wodą lepkich, gnilnych oparów. Rzeka przypominała ropiejącą bliznę na skórze miasta. Na jednym z końców mostu ktoś namalował fasces - topór wetknięty w wiązkę różeg - symbol władzy konsulów i liktorów w starożytnym Rzymie, przyjęty przez Mussoliniego na godło swego ruchu.

Przy placu Navona, na wysokości fontanny dei Fiumi, Montse wspomniała o legendzie dotyczącej najślawniejszej fontanny Berniniego.

- Podobno kolosy symbolizujące Nil i Rio de La Plata odwracają głowę, by nie patrzeć na kościół Sant'Agnese in Agone architekta Francesca Borrominiego, którego niechęć do Berniniego, zresztą odwzajemniona, była wszystkim dobrze znana.

- Całe miasto powtarza tę bajkę wyssaną z palca - powiedziałem. - Fontanna powstała wcześniej niż kościół. Postać uosabiająca Nil ma zasłoniętą twarz, bo nie dotarło wtedy jeszcze do źródeł rzeki. Rzym pełen jest legend próbujących za wszelką cenę wyolbrzymić jego historię. Zupełnie jakby Wieczne Miasto nic było pewne swej urody i szukało sposobu, by się odmłodzić utrzymać przy życiu.

W antykwariacie - stareńkim sklepiku pełnym sławnych rycin Vedute di Roma Piranesiego i regałów uginających się od książek - powitał nas mężczyzna na oko pięćdziesięcioletni, obrzmiały i purpurowy, o okrągłej, nalanej twarzy, jaskrawoczerwonych policzkach, wytrzeszczonych, nabiegłych krwią oczach, haczykowatym nosie i lubieżnych wargach.

- Marcello Tasso - przedstawił się. - Przyszyła was zapewne pan Pérez Comendador. Czekałem na was.

Za ladą dostrześliśmy stół z inkrustowanego drewna, a na nim otwartą starą księgę i kilka metalowych przedmiotów podobnych do narzędzi chirurgicznych. Widok ten tak nas zaskoczył, że pan Tasso pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Nie tylko skupuję i sprzedaję stare woluminy, ale również je odnawiam, a nawet przywracam im życie - stwierdził. - Niektórzy klienci nazywają mnie rzymskim lekarzem książek, z czego jestem bardzo dumny. Noszę się z myślą, by otworzyć muzeum sponiewieranej książki i udowodnić, że głównym jej wrogiem nie są owady, płomień ani nawet słońce, wilgoć czy czas, lecz człowiek. Zakrawa to bez wątpienia na paradoks, skoro właśnie człowiek jest ich twórcą. To tak, jakby stwierdzić, że największym wrogiem człowieka jest Bóg... Choć niewykluczone, że Bóg pogardza ludzkością, podobnie jak ta pogardza książkami... Ale lepiej będzie się nam gawędziło w moim gabinecie. Proszę za mną.

Zanim się obejrzałem, pan Tasso odebrał mi książki, dając tym wyraźnie do zrozumienia, że znajdujemy się na jego terytorium.

Nie wiadomo, dlaczego panujący w księgarni stęchły zapach papieru nadjedzonego przez mole oraz entuzjizm właściciela przepelniały mnie poczuciem bezpieczeństwa. Zupełnie jakbym przeniósł się do czasów przedwojennych, do świata, w którym nie ma miejsca na przemoc. Jednak gdy tylko znalazłem się w gabinecie, wyrwała mnie z tego błędnego stanu zawieszona na ścianach kolekcja rycin: cykl Carceri d'Invenzione (Więzienia wyobraźni) - szesnastce akwafort wykonanych przez samego Piranesiego w 1762 roku - w którym artysta przedstawił nierealne konstrukcje z kładek i schodów wiodących do strasznego podziemnego świata, niewykluczone, że do samego piekła. Na rycinach wykonanych wbrew pozorom w dobie oświecenia dominują mrok i światłocienie. Na jednej z nich dojrzałem zdanie historyka Liwiusza dotyczące Marcjusza Ankusa - pierwszego króla, który polecił zbudować w Rzymie więzienie:

#### AD TERRORES INCRESCENTIS AUDACIE

- Podobają ci się Więzienia Piranesiego? - zagadnął mnie pan Tasso, widząc, że nie odrywam wzroku od sztychów.

- Niespecjalnie. Zbyt mroczne jak na mój gust - odparłem.

- Bo i są mroczne. Piranesi przedstawił tu wszystko, co pęta człowieka: lęk i cierpienie płynące z faktu, że jesteśmy śmiertelni, ogrom przestrzeni, przypominający o naszej znikomości, ludzką istotę przemienioną w Syzyfa, świadomą, że pojedynek z życiem jest z góry przegrany... Ale proszę, rozgośćcie się.

Nie ruszyliśmy się z miejsc, ponieważ na obu fotelach przeznaczonych dla gości leżała sterta zakurzonych książek.

- Napijcie się czegoś? - zaproponował po chwili gospodarz.

Odmówiliśmy ruchem głowy, choć od spaceru i zdenerwowania zaschło nam w gardłach.

- Zobaczmy, co my tu mamy.

Pan Tasso obejrzał towar niezwykle starannie, z wprawą osoby, która wie, z czym ma do czynienia. Jednym spojrzeniem obrzucił okładki, spis treści, jakość papieru oraz zbadał stan oprawy każdego egzemplarza.

- Skąd to wzięliście? - zapytał na koniec, podnosząc brwi i wskazując na jeden z woluminów.

- Wszystkie książki pochodzą z biblioteki Akademii Hiszpańskiej - wyjaśniła Montse doskonałym włoskim, który wprowadził mnie w zdumienie.

Pan Tasso odczekał kilka sekund, po czym dodał:

- To bardzo cenna książka. Słyszeliście o Pierusie Valerianusie?

Znów pokręciliśmy głowami.

- Był protonotariuszem apostolskim papieża Klemensa VII. Napisał dzieło Hieroglify, czyli komentarz do świętych znaków Egipcjan tudzież innych plemion, które składało się z pięćdziesięciu ośmiu rozdziałów i ukazało się drukiem w roku 1556 w Bazylei. Valerianus należał do pierwszych pisarzy, starających się odszyfrować egipskie hieroglify. Podkreślał przy tym znaczenie symboliki zwierzęcej w nawiązaniu do nauk przyrodniczych. Było to nie lada wyzwanie, zwłaszcza że mówimy o czasach wzmożonej działalności kontrreformacji.

- I? - zapytała Montse.

- Wasz egzemplarz pochodzi właśnie z tamtego pierwszego wydania z 1556 roku.

- Czyli go pan kupuje - stwierdziłem pewny siebie.

Pan Tasso rozsunął wargi w szerokim uśmiechu, ukazując nam przy tym ostro karmazynowy język.

- Powiedzmy, że mam na niego kupca, kogoś, kto zapłaci za waszego Valerianusa niezgorszą sumkę.

- A co z resztą książek? - wtrąciłem, by zakończyć negocjacje.

- Resztę bioreę ja. Wojna w Hiszpanii przyczyniła się do wzrostu zainteresowania waszą literaturą wśród włoskich czytelników. A w sprawie Valerianusa wpadnijcie jutro o tej samej porze.

Dobiwszy interesu, z pieniędzmi w kieszeni, sięgnąłem po cenny wolumin i skierowałem się ku drzwiom.

- Lepiej niech Valerianus zostanie tutaj, pośród moich książek. Zaopiekuję się nim jak należy - zaproponował gospodarz.

Zerknąłem na księgarza nieufnie, ale po chwili przyznałem mu rację. Jego sklepik będzie nazajutrz stać w tym samym miejscu - jak przez ostatnie trzydzieści lat.

- Zgoda, ale proszę wypisać pokwitowanie. I obiecać, że jeśli książka zostanie skradziona lub dozna uszczerbku, możemy liczyć na sprawiedliwe odszkodowanie.

Mnie samego zdumiały me zdolności handlowe, zwłaszcza że pan Tasso sięgnął po pióro, by spełnić moje żądanie.

- Twoja godność?

- José Maria Hurtado de Mendoza.

Wyszliśmy ze sklepu, nie posiadając się z dumy i zadowolenia. W kieszeniach mieliśmy pełno gotówki, a nazajutrz miało być jej jeszcze więcej. A przecież w akademii czekało na nas jeszcze mnóstwo książek. Przy odrobinie szczęścia nadchodzącą zimę dane nam będzie spędzić w ciepłe i przy suto zastawionym stole. Nie mieliśmy pojęcia, jak bardzo miało się niebawem zmienić nasze życie.

### 3

Bezsenność wywabiła mnie z łóżka około północy. Postanowiłem wyjrzeć na taras i spytać o wieści z Hiszpanii. Oczywiście były to informacje przesiane przez sito cenzury. Sekretarz Olarra, piastujący urząd komisarza politycznego, skrzętnie powiadał nam o sukcesach nacjonalistów, krytykując przy tym zawzięcie ducha republiki i mieszając z błotem broniących jej żołnierzy, których nazywał pogardliwie „hołotą bez twarzy”.

Rubiños, najmłodszy z trzech radiotelegrafistów, pełnił dyżur z przymkniętymi oczami i słuchawkami na uszach. W prawej ręce trzymał ołówek, w lewej - niewielki notatnik, w którym zapisywał komunikaty napływające zza Pirenejów. Z jego miny można było wnosić, że morzy go sen i lada chwila wpadnie w objęcia morfeusza.

- Coś nowego? - zapytałem.

Rubiños zerwał się z krzesła niczym uspiiony szarak nakryty w norze przez myśliwego. Jasne, cienkie i delikatne włosy przylgnęły mu do ciemienia, niebieskie źrenice kręciły się w oczodołach, szukając właściwej pozycji, by na mnie spojrzeć.

- Nic szczególnego, panie stypendysto. Może tylko tyle, że czerwoni nadal mordują duchownych, każąc im połykać krzyże i paciorki różańca. Jednej zakonnicy urznęli cycki i porzucili martwą na plaży w Sitges. A w madryckim zwierzynku wpychają księży do klatek z lwami, zupełnie jak starożytni Rzymianie chrześcijan...

Rubiños należał do młodzików, którzy nie przemilczą niczego i pławią się z rozkoszą w makabrycznych szczegółach. Okrucieństwo przeciwnika pomagało mu najwyraźniej utwierdzić się we własnych poglądach.

- Proszę mi oszczędzić szczegółów.

- Papieroska? - zaproponował Rubiños. - To krajanka włoskiej produkcji, gorsza od kostki rosołowej, jaką popalałem w mojej rodzinnej Galicii. Tato mawia, że do wojowania potrzebne są dwie ręce, dwie nogi, para jaj oraz tytoń i kawa z prawdziwego zdarzenia. Jeśli tytoń i kawa są liche, w wojsku upada morale.

Go ciekawe, Rubiños mówił, jakby front znajdował się za Tybrem, nie dwa tysiące kilometrów od nas. Ja natomiast nie umiałem przeżywać wojny w pierwszej osobie.

- Dziękuję, nie palę.

- To prawda, że udało się panu sprzedać pół tuzina książek za kupę szmalu? - zainteresował się.

Wciągnąłem do płuc łyk gęstego, rozgrzanego powietrza o smaku wilgoci i słodkim aromacie papierosa Rubiñosa.

- Tak jakby - odparłem lakonicznie.

- Tato zawsze powtarza, że rzeczy najcenniejsze są na pozór bezwartościowe. Na przykład książki.

Pomyślałem o Montse. Wyobraziłem sobie, że śpi, skrywając swą urodę pod wysłużoną pościelą akademii. Choć zapewne i w tym przypadku nie słuchała rad ojca. Być może spała, kusząc sen odsłoniętymi nogami i ramionami, podczas gdy prześcieradło obrysowywało jej piersi. Nagle zapragnąłem ją objąć, posiąść, uczynić swą własnością. Dostałem nawet gęziej skórki, jakbym rzeczywiście musnął jej ciało. Ten ułamek sekundy wystarczył, bym się speszył i zawstydział.

- Twój tato ma rację. Gdyby ludzie więcej czytali, wszystko wyglądałoby teraz inaczej - stwierdziłem.

Rubiños zerknął na mnie z miną świadczącą o tym, że nie wie, jak rozumieć moje słowa.

- Proszę mi wybaczyć, panie stypendysto, ale muszę wracać do radiotelegrafu - skwitował.

Wszelkie próby wytłumaczenia Rubinosowi, że posada stypendysty nie wiąże się z żadną rangą wojskową ani akademicką, spełzły na niczym. W tym przypadku był równie ceremonialny jak rzymianie, którzy zwykli nazywać rozmówcę „doktorem”, „inżynierem”, „profesorem” a nawet „komandorem” bez względu na to, czy tytuł taki rzeczywiście mu przysługiwał.

Podszedłem do balustrady, by rzucić okiem na Rzym. Miasto pogrążone było w błogim, mrocznym śnie, zakłócanym jedynie przez daleki warkot silnika i słabe bursztynowe światła latarni. Gdy mój wzrok oswoił się z ciemnością, zamajaczyły przede mną, niczym widma, niezliczone kopuły i wieże. Jak zwykle, kiedy zachodziłem na taras, począłem je wyliczać od prawej do lewej; Santi Bonifacio e Alesio, Santa Sabina, Santa Maria in Cosmedin, Ii Palatino, San Giovanni in Laterano, Il Vittoriano, Il Gesu, Sant' Andrea della Valle, Il Pantheon, Sant'Ivo alia Sapienza, Trinita dei Monti, Villa Medici oraz, na samym korku, San Pietro. Żaden inny widok Rzymu nie dorównywał panoramie roztaczającej się z tarasu Akademii Hiszpańskiej]. Nawet Stendhal pisał, że jest to miejsce wyjątkowe. Trudno się było oprzeć wrażeniu, że ogląda się miasto z obłoków - hen, znad głów mieszkańców, sponad dachów a nawet sponad historii Rzymu. W pogodne dni za wyraźną i majestatyczną panoramą stolicy majaczyły w oddali wzgórza Albano oraz Castel Gandolfo - letnia rezydencja papieska. Skąpane w promieniach słońca kopuły połyskiwały, a mleczne światło zalewało czarny bruk. Natomiast w burzowe dni niskie chmury rozciągały burą zasłonę nad miastem - niekiedy była to tylko mgła, której strzępki muskały kopuły oraz wieże - nadając mu ulotny, nierealny wygląd, jednak czy deszcz, czy słońce, nigdzie i mimo najszczerzych chęci - nie dałoby się dostrzec spełnionego marzenia Mussoliniego o nowym Rzymie; mieście ogromnym, potężnym i doskonale urządzonym, niczym w czasach pierwszego cesarza Augusta. Duce rozkazał architektom, urbanistom i archeologom „uwolnić pień wielkiego dębu (czyli Rzymu) od wszystkiego co go zasłania i co go obrosło przez stulecia dekadencji”. W rzeczy samej historyczne centrum miasta zostało odciążone przez wytyczenie ulic Fori, Imperiali, Consolazione, Teatro Marcello i Corso del Rinascimento. Poza tym realizowano właśnie kilka obiecujących projektów, jak chociażby budowa Palazzo Littorio czy izolacja akustyczna mauzoleum Augusta, prowadzona pod kierunkiem architekta Antonia Munozza. Jednak wciąż wiele brakowało, by Rzym upodobnił się do nowoczesnej metropolii.

Gdy odwróciłem się, by pójść do swojego pokoju, ujrzałem inne widmo - posępną i strzelistą postać Olarry, przypominającą cmentarny cyprys. Sekretarz przyglądał mi się badawczo bez słowa.

- Co ty tu robisz? - zapytał w końcu, widząc, że go dostrzegłem,

Olarra traktował nieufnie wszystkich odwiedzających stację radiotelegraficzną upatrując w nich republikańskich szpiegów. Swą impertynencją chciał zastraszyć rozmówcę, w głębi duszy nie dowierzał bowiem nikomu. Ów podejrzliwy Olarra, zaciekle obrońca karkołomnych teorii moralnych, społecznych i politycznych faszystów, w niczym nie przypominał już człowieka, który dwa i pół roku wcześniej

współpracował ramię w ramię z Valle-Inclanem, gdy republika była jeszcze świetlaną wizją przyszłości, „oczkiem w głowie Hiszpanów”, wedle słów Salvadora de Madariagi.

- Nie mogłem zasnąć ~ odparłem,

- Osoby, które mają kłopoty ze snem, wydają się w większym lub mniejszym stopniu winne, bo podnoszą status nocy.

- Nie jestem niczemu winien - rzuciłem.

- Więc może dokucza ci sumienie - zasugerował po chwili.

Dla Olarry triumfalizm wydawał się jedynym dopuszczalnym stanem ducha, bo tylko dzięki bezgranicznemu optymizmowi można było osiągnąć cel - przywrócić Hiszpanii ład i tradycyjną moralność. Ostrożność czy powściągliwość stanowiły oznakę słabości i braku wiary w sprawę. W rzeczywistości wojowniczy zapał, jakiemu hołdował nasz sekretarz, był po prostu przesadą - zupełnie jakby szumny entuzjazm stanowił główny wykładnik bronionych przez niego ideałów. I właściwie tak było: Olarra był silniejszy aniżeli jego poglądy.

- Wszystko przez ten gorąc - mruknąłem.

- Jutro zaczyna się jesień. Lada dzień nadciągną deszcze i zrobi się chłodniej. A co najważniejsze, w tym roku nie będzie zimy. Za trzy, cztery tygodnie nastanie wiosna. Franco idzie przez półwysep jak burza. Tylko patrzeć, jak padnie Asturia, a wtedy cały front północny znajdzie się w rękach nacjonalistów. Bez przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, skoncentrowanych na północy, republika długo nie pociągnie. W następnej kolejności oddziały Queipa de Liano zamkną pierścień wokół Madrytu. Właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek powinienes przyłożyć się do swych badań, bo niebawem ojczyzna będzie nas potrzebować.

Czasami zachodziłem w głowę, gdzie Olarra nauczył się tej drętwej, propagandowej mowy. Wystarczyło się jednak rozejrzeć, by zrozumieć, że jest nieodrodnym dziecięciem swego wieku. Wystarczyło zajrzeć do westybulów, korytarzy i gabinetów - przykładu monumentalnej architektury Mussoliniego - aby dojść do wniosku, że pasują do nich tylko nadęte i pompatyczne dyskursy.

- Tak czy owak, nawet jeśli w tym roku zima nas ominie, powinniśmy nadal wyprzedawać książki. Wiadomo, strzeżonego Pan Bóg strzeże... - zauważyłem, gdyż prasa włoska donosiła, że trzy pierwsze bitwy stoczone pod Madrytem wyczerpały i osłabiły obie walczące strony. - Ponoć we Włoszech zapanowała moda na literaturę hiszpańską.

- A to dzięki naszej krucjacie. Niech Bóg błogosławi caudilla! Niech Bóg błogosławi duce! A teraz marsz do łóżka. Tego tylko brakowało, byś mi wystraszył damy.

- A pan nie śpi? - zapytałem.

- Spać? W takiej chwili? Jako kapitan okrętu żeglującego pośród nawałnicy muszę czuwać. Zresztą, jakbym nie miał już dość na głowie, zobowiązałem się przetłumaczyć na hiszpański zasady katalogowania Biblioteki Watykańskiej, które jak na razie są autentycznym grochem z kapustą.

Ukończywszy *cum laude* Watykańską Szkołę Bibliotekoznawstwa, sekretarz Olarra postanowił zebrać wszystkie istniejące opracowania w jedną rozprawę w języku hiszpańskim, ułatwiającą skatalogowanie nieprzebranego księgozbioru Watykanu. Zajęciu temu poświęcił ostatnie lata, przez co - paradoksalnie - zaniedbał zbiory akademii. Choć odkąd miał do pomocy Montse, wszystko wyglądało inaczej.

## 4

Montse ruszyła przed siebie, nieświadoma, że idzie na spotkanie z przeznaczeniem. Wyszedłszy na ulicę Garibaldię, znów przeobraziła się w to samo co wczoraj tryskające życiem i przebojowe dziewczę. Poczulem, że skropiła się obficie perfumami, więc uznałem, iż zrobiła to specjalnie dla mnie - trudno o lepszy dowód mojego zauroczenia. Zaczęła ze mną gawędzić z narastającym zainteresowaniem, a ja starałem się jej odwdziżyć, wypytując o wspomnienia z Barcelony oraz o plany na przyszłość. Raptem rzuciła znienacka:

- Gdy tylko dostaniesz pieniądze, oddasz mi je.

Na widok mojej zdumionej miny poczuła się zobowiązana dodać:

- Specjalnie w tym celu wzięłam mieszek.

- Nie ufasz mi? - spytałem.

- Powiedz, jesteś artystą czy intelektualistą?

Jedną z głównych zalet Montse była łatwość i naturalność w nawiązywaniu rozmowy na pierwszy lepszy temat. Zawsze nazywała rzeczy po imieniu i nigdy nie traciła dobrego humoru ani nie zapominała o uśmiechu. Nie lękała się słów, co dawało jej przewagę nad rozmówcą.

- Dlaczego pytasz?

- No, odpowiedz - nalegała.

Oczywiście nigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi się wypowiadać w kwestii tak niejednoznacznej i subiektywnej.

- Może artystą? - bąknąłem nader powściągliwie.



- No właśnie, a artyści nie mają drygu do interesów - zawyrokowała.

- Co byś odpowiedziała, gdybym wybrał drugą możliwość? - spytałem z czystej ciekawości.

- To samo, intelektualiści również nie mają zielonego pojęcia o pieniądzach.

Zdumiała mnie dobitność, z jaką to mówiła - pewności siebie dodawały jej zażyłe związki rodu Fâbregas ze światem finansów. Ani chybi, wielokrotnie słyszała z ust ojca kapitalistyczne wywody, dzielące osoby podług praktycznej strony ich działalności.

- Podobnie jak dwudziestoletnie córeczki katalońskich przedsiębiorców - odciąłem się.

- Jedenastego stycznia kończę dwadzieścia jeden lat Zresztą już jako osiemnastolatka pomagałam ojcu w biurze. Znam się na stenografii i księgowości, potrafię wypełnić formularze na import i eksport dóbr konsumpcyjnych, wiem, co oznaczają rubryki „winien” i „ma”. Poza tym władam płynnie pięcioma językami: angielskim, francuskim, włoskim, katalońskim i hiszpańskim.

Jej swada odebrała mi mowę.

- W trzydziestym pierwszym, gdy proklamowano republikę, mój ojciec do spółki z wujem Ernestem i ciocią Olgą postanowili uprzykrzyć życie stryjowi Jaime, temu, którego imienia nie wolno mi wymawiać, bo sympatyzował z Frontem Ludowym i był zamieszany w Bóg wie jakie polityczno-finansowe machlojki - opowiadała Montse. - Po zażartej dwuipółletniej batalii prawnej zdołali wysiudać go z rodzinnego interesu i wpędzić w ruinę. By mieć na chleb, musiał nawet sprzedać złoty zegarek odziedziczony po moim dziadku. Pół godziny po transakcji dwaj nieznani sprawcy napadli stryja trzysta metrów od sklepu jubilerskiego, solidnie obili i okradli, omal nie posyłając na tamten świat. Ja jedna odwiedziłam go wtedy w szpitalu, ma się rozumieć, po kryjomu.

Z opowieści Montse wynikało, że pobicie ciążyło raczej na sumieniu jej ojca i wuja, a nie jubilera, jednak wolałem trzymać język za zębami.

- Pan Tasso nie wygląda na zabijakę - zauważyłem tylko.

- Jednak na wszelki wypadek oddaj mi od razu pieniądze, najlepiej tak, by nikt nie widział.

Przed księgarnią stał samochód marki Italia - podobny do tego, jaki Valle-Inclan porzucił w San Pietro in Montorio przed powrotem do Hiszpanii - o rejestracji złożonej z ciągu liter i cyfr: SMOM 60. W środku drzemał kierowca z czapką szoferską nasuniętą na twarz. Domyśliłem się, że mam przed sobą samochód służbowy.

- Czyżby nasz kupiec? Z takim wozem to chyba jakaś gruba ryba - zastanawiała się Montse.

Gruba ryba okazała się szczupłym młodzieńcem, na oko trzydziestoletnim, o wzroście stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, ogorzałej cerze, kształtnych rysach, szpiczastym podbródku zakończonym rowkiem, ciemnych źrenicach zerkających żywo i bezczelnie oraz czarnych lśniących włosach, przyklejonych brylantyną do czaszki. Miał czarną koszulę i gołębio szare spodnie - strój włoskich faszystów - poza tym roztaczał silną woń drogiej wody kolońskiej.

- Poznajcie księcia Junia Valeria Cimę Vivariniego, znanego paleografa. Bardzo mu zależy na waszej książce - zabrał głos pan Tasso.

Fakt, że nasz nowy znajomy jest sławnym paleografem, wydał mi się dość osobliwy - równie dobrze pan Tasso mógłby go przedstawić jako utalentowanego rzeźnika. W rzeczywistości bardziej niż na błękitnokrwiste książątko wyglądał on na członka *principi*, faszystowskich bojówek posyłanych do łamania strajków i rozpędzania manifestacji antynazistowskich. Ale można by go też z powodzeniem uznać za podwórkowego hałaburdę, *bullo di quartiere* - typowego awanturnika i mąciwodę z komedii rzymskich - który woli stracić przyjaciela niż zaprzepaścić okazję do dosadnej riposty.

- *Piacere*<sup>1</sup> - rzucił młodzieniec, prężąc się i stukając głośno obcasami w najczystszy germańskim stylu.

Nigdy jeszcze nie widziałem sceny równie cudacznej: księżę paleograf o faszystowskich sympatiach raczył nas wojskowym pozdrowieniem w antykwariacie pełnym zakurzonych woluminów. Mussolini miał rację, mówiąc, że „całe życie jest gestem”.

- *Piacere* - powtórzyła Montse, ściągając chustkę z głowy.

Po tonie jej głosu zrozumiałem, że ją straciłem, że nigdy nie wydam się jej równie interesujący jak ten typ z włoskiej operetki. Choć wiedziałem, że łatwo kogoś olśnić - to tylko kwestia chwili - znacznie trudniej sterować światłem tak, by nie oślepić osoby stojącej przed nami. A Junio nie wyglądał na mężczyznę, któremu tylko jedna kobieta w głowie (miał na niej tyle rozmaitych spraw, że brakowało mu stałości niezbędnej w związku). Upłynęły miesiące, nawet lata, zanim zdołaliśmy skompletować mapę osobowości Junia, istoty tak złożonej, że na pierwszy rzut oka aż pospolitej. Był człowiekiem najbardziej okrutnym, a jednocześnie najbardziej dobrodusznym, wzorem nietolerancji i wyrozumiałości, istotą nieskończenie dumną, ale również wyjątkowo skromną, potężną i wielce podatną na zranienie. Uprawiał, podobnie jak Montse, grę pozorów, stosownie do towarzystwa, w którym się akurat obracał - dysponował nawet kilkoma tożsamościami. Teraz, ze względu na tragiczne, budzące litość okoliczności jego śmierci, uznałbym, że był ofiarą swych czasów. Szaleńcem, który przyszedł na świat akurat w chwili, gdy Europa postradała rozum.

---

<sup>1</sup> *Bardzo mi miło (wł.) - wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.*

Przyznać muszę, że choć z początku Junio odebrał mi Montse, groźny i nieprzystępny świat, jaki go otaczał, stopniowo popychał ją z powrotem w moje ramiona. Byłem ogniwem między nią a Juniem, i właśnie dzięki temu Montse w końcu zwróciła na mnie uwagę, ostatecznie mnie zaakceptowała. Musiałem jedynie poczekać. Ale zacznę od początku, bo Montse nie wróciła do mnie od razu, tylko niczym rozbity statek, którego części morze wypluwa na brzeg pojedynczo i jak popadnie - w wyniku długotrwałego, podporządkowanego morskim prądom procesu.

- Książka warta jest co najmniej siedem tysięcy lirów, ale jestem gotowy dać za nią nawet piętnaście tysięcy - zaoferował Junio.

Moje zniechęcenie wywołane zachowaniem Montse spotęgowało się, gdy młody książę uniemożliwił mi wprowadzenie w życie zalecenia Pereza Comendadora, by podwoić cenę wywoławczą, a następnie opuścić ją o połowę.

- Nie rozumiem. Skoro książka jest warta siedem tysięcy, dlaczego chce pan dać piętnaście? To nonsens.

Montse spojrzała na mnie wściekle, z dezaprobatą, uważając, być może, że to ona jest przyczyną owej przesadnej hojności

- Powiedzmy, że pieniądze nie grają dla mnie roli - stwierdził książę nie bez zadufania.

- W takim razie dlaczego nie miałby pan zapłacić szesnastu tysięcy albo, jeszcze lepiej, siedemnastu - podszeptałem.

- Niech będzie, daję siedemnaście tysięcy lirów - zgodził się kupiec.

Przez chwilę miałem wrażenie, że pojedynkujemy się wyłącznie o nasze ego.

- Umowa stoi - stwierdziłem.

- Zapominają panowie o mojej prowizji — wtrącił pan Tasso, który do tej pory nadstawiał tylko ucha.

- A ile ona wynosi? - zapytał książę, obyty bardziej niż ja w sztuce kupna i sprzedaży.

- Tysiąc lirów od każdej ze stron transakcji.

- To chyba rozsądna cena.

Obaj spojrzeli na mnie pytająco.

- Jestem tego samego zdania - rzuciłem w końcu.

Uznałem pertraktacje za osobiste zwycięstwo nad Juniem tudzież sposób na podniesienie mych notowań u Montse, nie podejrzewając, że prócz książki Junio

kupuje również nas. Ale wtedy było jeszcze za wcześnie, a i my byliśmy zbyt naiwni, by zdać sobie z tego sprawę.

Korzystając z chwili zamieszania, podsunąłem pieniądze Montse, zgodnie z jej życzeniem. Choć w rzeczywistości wystawiałem ją tylko na próbę.

- Nie, lepiej je zatrzymaj - powiedziała szeptem.

- A jeśli nas napadną jak stryjka Jaime? - przypomniałem jej.

- Niby kto? Księżę z szoferem? Faszystowski Robin Hood?

W słowach Montse pobrzmiewało coś więcej niż tylko zwykła ironia. Jej umysł puścił w ruch mechanizm, który pozwala pokładać w kimś bezgraniczne zaufanie, bazujące wyłącznie na fizycznym zauroczeniu. Wydało mi się to niesprawiedliwe, zwłaszcza że nie ja byłem powiernikiem tego zaufania. Jednak naówczas Montse była zbyt młoda, a w Rzymie roilo się od zdetronizowanych książąt - podobnie jak od bezpańskich kotów. Dopiero z biegiem czasu dostrzeżliśmy tę plagę.

## 5

Szesnaście tysięcy lirów zrobiło wrażenie tylko na sekretarzu Olarrze, który przeliczywszy dwukrotnie pieniądze, zawołał: - José Antonio Primo de Rivera dostawał co miesiąc od duce piętnaście tysięcy lirów na utrzymanie Falangi! A wy sprzedaliście jedną książkę za szesnaście tysięcy! Świat oszalał, słowo daję!

Reszta towarzystwa zajęta była komentowaniem przygody doñi Julii z grona „zbiegów”, wielce cenionej z racji swych umiejętności kulinarnych. Kobięcinę nawiedziło ponoć w czasie sjesty widmo straszące w akademii. Gdy jak co dzień położyła się, by odpocząć po obiedzie, z materaca wysunęły się i objęły ją długie, przezroczyste kobiece ramiona. Doña Julia, unieruchomiona w kleszczach uścisku, zamknęła powieki i zmówiła *Ojciec nasz*, jak podobno należy czynić w takich sytuacjach. Duch umknął, a jego ofiara wypadła z pokoju równie przerażona, co gotowa podzielić się ze wszystkimi swym doświadczeniem.

Dla stypendystów wieść o duchu nie była niczym nowym, przeciwnie - stanowiła nieodłączną część nieoficjalnej historii akademii. Niektórzy utrzymywali, że budynek nawiedza widmo Beatrice Cenci, rzymskiej arystokratki, która, zamordowawszy ojca - gwałciela, zginęła pod toporem kata, a jej zwłoki spoczęły w sąsiadującym z akademią kościele San Pietro in Montorio, odrąbana głowa zaś, złożona w srebrnej urnie, zaginęła w 1798 roku po wkroczeniu wojsk francuskich do Rzymu, co musiało rozwścieczyć ducha nieboszczki, który ponoć od tamtej pory błąka się po akademii i

upomina o swą własność. Inni zaklinali się, że akademię nawiedza widmo mnicha z mieszczącego się tu przed wiekami klasztoru Franciszkanów. Tak czy owak, „zbiegowie” dowiedzieli się o duchu zaraz po przyjeździe do Rzymu, można się więc było spodziewać, że wcześniej czy później wyobraźnia spleta im figla.

Posłuchawszy przez ponad godzinę szczegółów zdarzenia i opinii mieszkańców akademii (proponowano nawet zawezwać kapłana, który odprawiłby egzorcyzmy), wymknąłem się na spacer po Zatybrzu, by pozbierać myśli. Przepęniało mnie dziwne uczucie melancholii zmieszanej z niepokojem i, choć trudno było mi się do tego przyznać, w głębi duszy wiedziałem, że jest ono bezpośrednio związane z Montse. Czulem, że w jej poglądach jest coś dziwnego, co czyni ją dojrzałą od rówieśniczek, a nawet ode mnie, mimo że byłem siedem lat starszy. Starła się nacieszyć każdą chwilą - jakby w obawie, że będzie ona ostatnią - i dlatego była niezwykle wymagająca w stosunku do siebie oraz do innych. Pojawienie się Junia pozwoliło mi zrozumieć, że nawet jeśli Montse kiedykolwiek będzie moja, nigdy nie odda mi się całkowicie. Taka była jej natura: wolność stanowiła jej nieodłączną część i nikt ani nic, nawet najgorętsza miłość, nie mogły tego zmienić - w przeciwnym razie Montse upodobniłaby się do ptaka zamkniętego w klatce. Junio był więc nie tylko zagrożeniem, ale również kamieniem probierczym, pozwalającym mi zgłębić osobowość Montse. Gdyby nie on, nasz związek byłby chyba niemożliwy, a w każdym razie wyglądałby zupełnie inaczej. Tak, może i bylibyśmy jeszcze jakiś czas razem, niczym para zadurzonych nastolatków, ale Montse nie pozostałaby ze mną w Rzymie po zakończeniu wojny domowej, nie wyrzekłaby się dla mnie rodziny. Jak już mówiłem, coś zmusiło mnie wtedy do opuszczenia akademii, jakbym uciekał od własnych lęków.

Tym razem zszedłem po schodach łączących San Pietro in Montorio z ulicą Goffreda Mamelego. Potem skręciłem w ulicę Bertaniego, przeszedłem przez plac San Cosimato, uszedłem kawałek ulicą Natale del Grande, skręciłem w lewo w San Francesco a Ripa i zupełnie nieświadomie znalazłem się przed kawiarnią Frontoni - starym, podupadającym lokalem o rodzinnych tradycjach. Wszedłem i zamówiłem *cappuccino fredo*. Właściciel, don Enrico, po raz Bóg wie który zdradził mi, że ta popularna odmiana kawy zawdzięcza swą nazwę habitowi kapucynów o podobnych, brązowo-białych barwach. Mimo że od blisko dwóch lat byłem jego stałym klientem, ilekroć zamawiałem cappuccino, raczył mnie tą samą historyjką.

Przesiedziałem tam trzy kwadransy pogrążony w myślach, pod mesjańskim spojrzeniem duce obecnego w lokalu w postaci gigantycznego plakatu propagandowego, aż don Enrico wyrwał mnie z zadumy:

- Pewien kawaler prosił, bym pięć minut po jego wyjściu przekazał panu tę wiadomość.

Kiedy podniosłem oczy, uderzyło mnie podobieństwo don Enrica do Mussoliniego. Wydawać by się mogło, że wszyscy Włosi, jak jeden mąż, postanowili

upodobnić się do swego wodza, w myśl osobliwego fenomenu mimetycznego porównywalnego jedynie z tym dotyczącym psa i jego pana.

- Jaki kawaler? - zapytałem zdziwiony.

- Cudzoziemiec, podobnie jak pan.

- Stały klient?

- Nie, nigdy przedtem go tu nie widziałem. Wyglądał na... człowieka z północy - dodał, prawą ręką kreśląc znaki w powietrzu.

- Człowieka z północy?

- No, wie pan, włosy blond, jasne oczy, piegowata twarz. Gdybyśmy byli na Sycylii, powiedziałbym, że to potomek Normanów, ale skoro nie jesteśmy na Sycylii, powiem, że to Norman. A gdzie mieszkają Normanowie? Na północy.

Ta żelazna logika pozbawiła mnie argumentów, z czego don Enrico szybko skorzystał i wręczył mi podwójnie złożoną kartkę. Odczekałem kilka sekund, nim odważyłem się do niej zajrzeć i przeczytać:

*Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o SMOM 60, spotkajmy się jutro o piątej na cmentarzu protestanckim. Przed grobem Johna Keatsa. Przyrowadź dziewczynę.*

Uznałbym liścik za kiepski żart, gdyby nie wymieniono w nim rejestracji samochodu Junia, która od samego początku zwróciła moją uwagę.

Pojęcia nie miałem, kto i dlaczego wystosował to osobliwe zaproszenie. Tak czy inaczej, dowodziło ono jasno, że ktoś wie o transakcji, którą dopiero co zawarliśmy z księciem. Nie mniej zadziwiający był fakt, iż tajemniczy autor z góry zakładał, że zarówno ja, jak i Montse chcemy poznać tak zwane ukryte oblicze Junia, zwłaszcza że, jeśli o mnie chodzi, nie miałem bynajmniej zamiaru zadzierzgnąć z nim bliższej znajomości. Cóż mogło nas interesować to książątko z Bożej łaski i jego grzeszki? Uznałem więc liścik za fortel zdesperowanego kupca, próbującego za wszelką cenę zdobyć naszą książkę.

Rozpoczynając męczącą wspinaczkę ku akademii, najpierw przez Zatybrze, potem zboczem Gianicolo, nie sądziłem, że jestem śledzony, że moje życie i życie Montse ma niebawem doznać niespodziewanego *capovolgimento* - które zmusi nas do służenia sprawie, każe śledzić tych, którzy nas śledzą, oraz liczyć się z każdym słowem - ani że sytuacja ta potrwa siedem lat, aż do wkroczenia wojsk alianckich do Rzymu.

W akademii zapanowało *totum revolutum*. Gdy tylko sprawa widma została na dobre zamknięta, wieść o szesnastu tysiącach lirów rozniosła się w mgnieniu oka, doprowadzając do małej rebelii przed gabinetem Olarry. Sekretarz, chcąc nie chcąc, musiał uszczknąć z łupu nieco grosza i wręczyć go damom na zakup mięsa, którego nie próbowaliśmy od wielu tygodni. W wyniku głosowania jednomyślnie postanowiono kupić *trippa* i przyrządzić z niej flaczki po madrycku. Nawet ta niewinna rezolucja nie ustrzegła się konotacji politycznych - flaczki po madrycku miały symbolizować prędko upadek stolicy pod naporem sił nacjonalistycznych.

- I niech pieką w język! Tak jak Franco dopiecze czerwonym po zajęciu Madrytu!  
- zakrzyknął pan Fábregas, który zamienił się w drugą, po sekretarzu Olarrze, osobistość u sterów akademii.

Znalazłem Montse w bibliotece. Ostatecznie zastąpiła mnisią chustkę przepaską na włosy.

- Dlaczego nie krzątasz się na dole jak reszta kobiet? -zagadnałem.

- Bo nie jestem niewolnicą żadnego mężczyzny - odparła kategorycznie. -  
Przeładam księgozbiór, a nuż wyszperam jeszcze jakąś książkę o Egipcie lub na inny temat związany z paleografią.

- Dla księcia Cimy Vivariniego?

Nie zdołałem zdławić jadowitego podtekstu mego pytania, a wszystko przez to, że zawziętość Montse budziła we mnie zazdrość, gniew i jawny bunt.

- Zapłacił szesnaście tysięcy lirów za jedną książkę. Może ciągle interesuje go... nasz księgozbiór.

O tak, Montse nie była niewolnicą żadnego mężczyzny, choć najwyraźniej nie z braku chęci.

- Chyba powinnaś rzucić okiem na to - stwierdziłem, podsuwając jej liścik.

Przeczytawszy go, zapytała:

- Co to znaczy?

- Nie wiem. Popijałem cappuccino w kawiarni Frontom, gdy gospodarz wręczył mi tę kartkę, ponoć na prośbę kogoś o wyglądzie... człowieka z północy. To numery rejestracyjne samochodu twojego przyjaciela. Może komuś nie podoba się, że Pierus Valerianus trafił właśnie do niego, i chce nas namówić do wycofania się z transakcji.

Montse puściła mimo uszu „przyjaciela”, który nijak nie odzwierciedlał rzeczywistego stanu jej znajomości z księciem. Ja jednak uznałem, że choć widzieli się tylko raz, są sobie przeznaczeni.

- Jeśli to prawda, dlaczego ten ktoś nie zwrócił się do ciebie osobiście? Dlaczego bawi się w chowanego? No i dlaczego umawia się z nami na cmentarzu, na dodatek przy konkretnym grobie?

- Pojęcia nie mam. Pewnie cmentarz jest duży, więc trzeba było dokładniej określić miejsce spotkania. Może nasz tajemniczy nieznajomy jest Anglikiem, jak Keats.

- Przyrowadź dziewczynę - powtórzyła na głos Montse.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? - zapytałem.

Teraz uważam, że pozostawienie decyzji Montse było z mojej strony aktem tchórzostwa, zwłaszcza że decyzja ta zaważyła na naszym życiu. Chciałem się jednak przekonać, jak daleko dziewczyna gotowa jest się posunąć i czy słuszne są moje podejrzenia co do jej uczuć względem Junia.

- Ojciec mnie zabije, jeśli się dowie, że poszłam na cmentarz protestancki. Ale przecież ten człowiek może mieć nam coś ważnego do powiedzenia - argumentowała Montse.

- Ale jak wymkniemy się z akademii, nie budząc podejrzeń twojego taty? - zastanawiałem się.

- Nic prostszego - odparła, wskazując na stertę książek.

- Nawet jeśli zdołamy wywieść w pole twojego ojca, wątpię, by z Olarrą poszło nam równie łatwo. Ambasada nakazała mu mieć nas wszystkich na oku. Znam dwóch czy trzech stypendystów przebywających w Hiszpanii, których wzięto pod lupę wskutek jego raportów. Coś mi mówi, że niejeden skończy przez Olarrę w więzieniu lub przed plutonem egzekucyjnym. Zapewne każe nas śledzić do samej księgarni - zaoponowałem.

- W takim razie przed udaniem się na cmentarz złożymy wizytę panu Tasso. Doręczymy mu nową porcję książek i powiemy, że chcemy spotkać się ponownie z księciem, by zaprosić go do akademii i pokazać mu nasz księgozbiór, na wypadek, gdyby znalazł tu jeszcze coś interesującego. Olarra nie może nic podejrzewać, nie będzie miał powodów.

Zdumiała mnie przebiegłość Montse - nie mniej niż determinacja, z jaką chciała doprowadzić do kolejnego spotkania z Juniem.

Przerwał nam głos dońi Julii wzywającej do stołu.



Flaczki po madrycku spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem stołowników. Nie obeszło się bez toastu za Franco, Mussoliniego, Hitlera oraz japońskiego cesarza - czterech jeźdźców apokalipsy, mających wyrwać świat z łap niedźwiedzia komunizmu. Na zakończenie Olarra nastawił gramofon i wiele par, nie wyłączając dziesięcioletniego Miguelita i dziewięcioletniej Marianity, pomknęło na parkiet w rytmie wojskowego marsza. Mimo że scena ta była równie nie na miejscu, jak zgrzytliwe dźwięki żołnierskiej muzyki, nie zabrakło objawów nostalgii, a nawet łez, które wzmogły się, gdy Pérez Comendador i jego żona Magdalena Lerroux ogłosili, że wybierają się w długą podróż po Grecji.

- Pérez Comendador po prostu składa broń. Nie sądzę, by to była najlepsza pora na wakacyjne wojaże - usłyszałem słowa pana Fâbregasa skierowane do sekretarza Olarry.

- Jeśli jest pośród nas ktoś, na kim nie ciąży cień podejrzania, to właśnie Pérez Comendador. Sam jeden dał odpór Valle-Inclanowi, który próbował zamienić akademię w gniazdo anarchistów i rewolucjonistów. A zapewniam pana, że don Ramón Valle-Inclán miał charakter iście diabelski, jeśli nie gorszy, strach było mu się narazić. Poza tym za Pereza ręczy sam książę Infantado, dlatego może robić, co mu się żywnie podoba. Zresztą po jego wyjeździe będziemy mieć dwie gęby mniej do żywienia, proszę o tym nie zapominać - odpowiedział sekretarz Olarra.

- Jeśli ja stąd wyjadę, to tylko po to, by tłuc czerwonych - oznajmił pan Fâbregas.

- Jeśli pan stąd wyjedzie, to tylko dlatego, że wojna dobiegnie końca. Skoro chciał pan tłuc czerwonych, trzeba było zostać w Barcelonie - uciał sekretarz Olarra.

Gdy już wszyscy rozeszli się do pokojów, znów zajrzałem na taras. Zastałem Rubiñosa w tym samym stanie co poprzedniej nocy: chwiał się jak statek, próbując stawić czoło fali senności. Moje wejście zbiegło się z dzwonkiem telefonu.

- Przekłęte urządzenie! - zawołał Rubiños, przytomniejąc.

Mimo że silił się na wojskowy wygląd, bardziej niż żołnierza przypominał uczniaka bez pojęcia o wojaczce.

Podszedłem od razu do poręczy. Jednak zamiast wyliczać wieże i kopuły, poszukałem wzrokiem piramidy Cestiusza - grobowca, wokół którego powstał rzymski cmentarz protestancki. To mauzoleum w formie piramidy, zbudowane na rozkaz zmarłego w dwunastym roku przed Chrystusem Gajusza Cestiusza, pretora i trybuna ludu, w przeszłości - zanim jeszcze Porta San Paolo i Testaccio zostały wchłonięte przez miasto - inspirowało malarzy i poetów romantyzmu. Choć nigdy nie zajrzałem na pobliski cmentarz, dobrze znałem tamtą okolicę. Naprzeciw piramidy stał nowy budynek poczty, dzieło architektów Adalberta Libery i Maria de Renziego, wybitny przykład włoskiej architektury racjonalistycznej.

Mżawka i towarzyszący jej chłodny wietrzyk oraz gęsta mgła obwieszczały nadejście jesieni. Miasto zdawało się rozplywać mi w oczach.

Rzym zbudził się do nowego dnia pod pleciem liści o silnym kwaśnym zapachu przywodzącym na myśl przejrzałe owoce. Wydawało się, że lato odeszło już dawno - jedna noc całkowicie odmieniła miasto, oblekając je w odcienie ochry, brązu i żółci. Ta nagła zmiana skłoniła mnie do refleksji, że nic się nie dzieje zgodnie z naszymi oczekiwaniami, bo wiara, że wszystko pójdzie po naszej myśli, prowokuje rzeczywistość do płatania figli. Tak było z hiszpańską wojną domową: choć zanosilo się na nią od dawna, nie zdołaliśmy jej zapobiec. Wierzyliśmy, że to odległa przyszłość, nikt nie sądził, że kiedykolwiek wybuchnie. Podobnie i ja byłem przekonany, wbrew kalendarzowi, że do jesieni jeszcze daleko.

Umówiłem się z Montse po śniadaniu w krużgankach akademii. Udaliśmy się na piętro, do gabinetu sekretarza, by omówić z nim nasze plany zaproszenia kupca sławetnej książki. Przedstawienie Junia jako młodego włoskiego arystokraty, członka czarnych koszul i poważanego paleografa ułatwiło nam zadanie, ponieważ Olarrze na niczym tak nie zależało, jak na kontaktach z przywódcami partii faszystowskiej. Myślę, że w głębi duszy marzył, aby przedstawiono go duce, dla którego żywił bezgraniczne uwielbienie.

- Mówisz, że jak nazywa się ów książę? - zainteresował się sekretarz.

- Junio Valerio Cima Vivarini - powiedziałem.

Opuściliśmy gabinet, pozwalając Olarrze rozkoszować się niby ambrozją dźwiękiem tego nazwiska.

- Teraz pobiegnie do mojego ojca opowiedzieć mu o księciu i dadzą nam wolną rękę - stwierdziła Montse.

Po obiedzie zanieśliśmy panu Tasso sześć egzemplarzy Don Kichota - wszystkie, jakie znaleźliśmy w bibliotece. Montse była wyjątkowo podekscytowana z powodu swego przemysłnego fortelu, czekającej nas tajemniczej schadzki oraz faktu, że gdy Junio zjawi się w akademii, będzie już o nim sporo wiedzieć dzięki naszej wyprawie na protestancką nekropolię. Czegóż więcej mogła chcieć? Co do mnie, zacząłem się chyba godzić ze swoją rolą statysty i czekałem, aż sytuacja ostatecznie się wyklaruje.

- Nie chciała góra przyjść do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry. To świetny pomysł. Chętnie wproszę się i ja, jeśli tylko nie macie nic przeciwko - podsumował pan Tasso naszą propozycję.

Pierwsza część planu poszła jak z płatka.

Następnie wsiedliśmy do tramwaju jadącego na Testaccio. Pojazdem zarzuciło i Montse wpadła mi w ramiona. Zapragnąłem, by nasze życie pełne było takich przejazdów. Musiałem się powstrzymać, by nie zamienić tego przypadkowego

dotknięcia w zamierzony uścisk; na szczęście zreflektowałem się w porę, że to nie czas ani miejsce na okazywanie uczuć. Wysiedliśmy pod pocztą.

- Brzydki świat, brzydka budowla - stwierdziła Montse, nieobeznana z historią architektury.

Przeszliśmy ulicą Gajusza Cestiusza wzdłuż muru nekropolii aż do zamkniętej furty cmentarnej. Tabliczka głosiła:

CIMITERO ACATTOLICO DI TESTACCIO. PER ENTRARE BASTA  
SUONARE LA CAMPANA <sup>2</sup>.

Weszliśmy do środka i raptem znaleźliśmy się w jednym z najbardziej uroczych zakątków Rzymu: przed nami rozciągało się dwadzieścia lub dwadzieścia pięć tysięcy metrów kwadratowych usianych zabytkowymi nagrobkami oraz monumentalnymi grobowcami, między którymi, w cieniu murów Aureliana i piramidy Cestiusza, rosły azalie, hortensje, irysy, oleandry, glicynie, cyprysy, drzewa oliwne i laurowe oraz granatowce. Cmentarz oszałamiał swym pięknem. Kilka miesięcy później, gdy okoliczności skłoniły mnie do zainteresowania się poezją Keatsa i Shelleya, okazało się, że ten ostatni napisał w Adonisie - elegii na śmierć swego przyjaciela Keatsa - iż trudno nie pokochać śmierci, wiedząc, że spocznie się w takim miejscu.

- Grób Johna Keatsa? - zagadnąłem dozorcę.

- Groby Percy'ego Shelleya i Augusta Goethego na wprost, Johna Keatsa na lewo, Antonia Gramsciego na prawo - wyrecytował jak automat.

Montse, załęczniona i przejęta, wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Pstrokate połączenie cmentarne przemieniły się nagle w angielski ogród ze starannie przystrzyżoną trawą, stuletnimi drzewami o grubych pniach i rozłożystych koronach oraz porozrzucanymi tu i ówdzie nagrobkami. Grób Keatsa znajdował się na samym końcu, u stóp piramidy. Na płycie zamiast nazwiska widniało tylko epitafium:

*Here lies One Whose Name was writ in Water.*

Montse twierdziła, że zna angielski, więc zapytałem:

- Co to znaczy?

- „Tu spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie” - przetłumaczyła.

- Bardzo poetyckie - zauważyłem.

- Bo to grób poety.

---

<sup>2</sup> Cmentarz Protestancki na Testaccio. Aby wejść, należy zadzwonić (wł.).

Pięć minut później podszedł do nas mężczyzna w średnim wieku. Jego jasnozielone oczy, rude włosy, mleczna cera i twarz upstrzona piegami doskonale pasowały do opisu don Enrica.

- Widzę, że otrzymaliście moją wiadomość. Nazywam się Smith, John Smith - powiedział po włosku z silnym angielskim akcentem.

- To Montserrat Fâbregas, a ja nazywam się José Maria Hurtado de Mendoza.

Wymieniliśmy uściski dłoni.

- Na pewno zachodzicie w głowę, dlaczego was tu ściągnąłem, ale trudno będzie to wyjaśnić w kilku słowach, dlatego, jeśli nie macie nic przeciwko, opowiem wszystko od początku.

Smith - jeśli było to jego prawdziwe nazwisko - zamilkł w oczekiwaniu na naszą zachętę.

- Zamieniamy się w słuch - powiedziała Montse.

- Podzielę mą historię na trzy części, różniące się od siebie czasem zdarzeń, które są jednak ze sobą powiązane, jak sami się niebawem przekonacie - wyjaśnił.

- Jeśli nie chce pan wystawiać na próbę naszej cierpliwości, proszę opowiedzieć wszystko od razu - rzuciłem.

- Oto grób Johna Keatsa, jednego z najwybitniejszych poetów angielskich - zaczął. - A ten obok skrywa ziemskie szczątki malarza Josepha Severna, który opiekował się Keatsem aż do jego śmierci. Obaj przyплыnęli do Rzymu we wrześniu 1820 roku. Severn wybrał się w podróż po otrzymaniu złotego medalu londyńskiej Royal Academy, natomiast Keats, cierpiący na gruźlicę, w łagodnym włoskim klimacie pokładał nadzieje na wyzdrowienie. Przyjaciele, którzy poznali się zaledwie trzy dni przed wypłynięciem z Anglii, zatrzymali się w niewielkim mieszkanku pod numerem 26 przy placu Hiszpańskim. Keats nie tylko nie wydobrzył, ale jego stan pogorszył się tak bardzo, że na początku 1821 roku Severn zaczął się dla niego rozglądać za miejscem wiecznego spoczynku. Oto ono. W tamtych czasach, ma się rozumieć, cmentarz był nieogrodzony i nikt go nie doglądał - pod okiem pastuchów kozy skubały między grobami trawę, gęsto poprzątaną stokrotkami, narcyzami, hiacyntami i fiołkami. Keatsa zachwyciła opowieść Severna o cmentarzu, poprosił więc przyjaciela, by częściej tu zachodził. Pewnego razu Severn wdał się w pogawędkę z jednym z pasterzy, który wyznał mu pod koniec rozmowy, że znalazł dziwny dokument zakopany w kufrze u stóp pobliskiej piramidy Cestiusza. Okazało się, że to egipski papirus. Severn odkupił go dla Keatsa, chcąc odwrócić jego myśli od choroby. Keatsowi bardzo spodobał się prezent, bez zastanowienia opowiedział o nim swemu lekarzowi, doktorowi Clarkowi, który z kolei napomknął o znalezisku brytyjskiemu konsulowi w Rzymie. Wszystko wskazuje na to, że papirus Keatsa stał się ulubionym tematem rozmów bywalców lokali w stylu Antico Caffè Greco, gdzie spotykali się zagraniczni intelektualiści, i że w ten sposób o jego istnieniu dowiedział się ktoś z

kurii watykańskiej. Keats był przekonany, że papirus zaprowadzi go do skarbu faraonów egipskich lub pozwoli dokonać równie cennego znaleziska. Niestety, poeta zmarł dwudziestego trzeciego lutego tego samego roku. To jednak nie koniec historii. Nadążacie za mną?

- Proszę mówić dalej - rzuciłem.

- Ponieważ Kościół katolicki uznał Keatsa za protestanta, a w 1821 roku gruźlica uważana była za źródło epidemii, nakazano spalić cały dobytek poety: meble, ubrania, książki, zapiski... Dziś podejrzewa się, że Watykan chciał w ten sposób przywłaszczyć sobie papirus подарowany Keatsowi przez Severna.

- Niby dlaczego? - zapytała Montse.

- Bo mógł on zawierać pewną mapę, tak zwaną Mapę Stworzyciela.

- A cóż to za mapa? - odezwała się znów Montse.

Smith odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział:

- To zależy od indywidualnej wiary. Ponoć mapa zrobiona została przez samego Boga i zawiera klucz po poznania świata.

- Nic takiego nie może istnieć - zaoponowałem.

- Przejdźmy teraz do drugiej części naszej historii - stwierdził Smith, puszczać mimo uszu moją uwagę. - Zastanawiacie się zapewne, skąd mapa wzięła się u podnóża piramidy Cestiusza i kiedy tam trafiła. Słyszeliście o rzymskim wodzu Germaniku, jednym z najwybitniejszych mężów swych czasów? Był synem Druzusa i bratankiem cesarza Tyberiusza, który adoptował go po śmierci jego ojca. Jednak Tyberiusz widział w nim groźnego rywala, uwielbianego przez lud i wojsko, dlatego w siedemnastym roku naszej ery wysłał go do Antiochii, by ujął w rzy Partów. Jednak Germanik był nie tylko żołnierzem, ale także wrażliwą duszą: pisał i recytował poezję, a ponadto, bez zgody Tyberiusza, wybrał się w podróż do Egiptu. Wiosną dziewiętnastego roku dotarł nad Nil, gdzie zatrzymał się aż do jesieni. W ciągu tych sześciu miesięcy nawiązał kontakt z wieloma sektami pielęgnującymi kulturę i wiedzę starożytnych Egipcjan. Właśnie za ich pośrednictwem wszedł w posiadanie Mapy Stworzyciela.

- Ale w jaki sposób Egipcjanie zdobyli mapę? - zainteresowała się Montse.

- Mapa przywędrowała zapewne do Egiptu pięć wieków wcześniej, w czasach perskiej okupacji. Po powrocie do Antiochii Germanik został otruty przez Pizona na polecenie Tyberiusza. W ten sposób mapa trafiła do Rzymu wraz z całym dobytkiem wodza. Nie wiadomo, dlaczego ją ukryto, zwraca jednak uwagę fakt, że na schowek wybrano piramidę Cestiusza, budowlę typowo egipską.

- A więc mapa zawędrowała z Persji do Egiptu, z rąk Germanika trafiła do kogoś, kto ukrył ją pod piramidą Cestiusza, gdzie natknął się na nią pastuch, który

odsprzedał ją Severnowi. Po śmierci Keatsa natomiast mapa znalazła się w posiadaniu Watykanu - podsumowała Montse.

- W rzeczy samej. Ale została jeszcze trzecia, najważniejsza część tej historii, z której powodu się tu znaleźliście. W roku 1918 pewien samozwańczy arystokrata niemiecki, Rudolf von Sebottendorff, założył na gruzach Germanenorden - organizacji skupiającej pół tuzina stowarzyszeń nacjonalistycznych - okultystyczne Towarzystwo Thüle. Słowo „Thüle” nawiązuje do legendarnego królestwa o tej samej nazwie, nordyckiej odmiany Atlantydy, które zainspirowało nie tylko Richarda Wagnera. Sebottendorff mieszkał przez jakiś czas w Kairze i tam wstąpił do wolnomularskiej loży rytu Memphis, gdzie dowiedział się o Mapie Stworzyciela. Rok później inny członek Thüle, Anton Drexler, założył w Monachium polityczne ramię tej organizacji, Niemiecką Partię Robotniczą. Adolf Hitler, naówczas informator politycznej policji wojskowej, wstąpił do partii już na pierwszym wiecu, w którym wziął udział. Zaledwie kilka miesięcy później stanął na czele tej organizacji, przeobrażonej w Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partię Robotniczą, czyli w znaną nam dzisiaj partię nazistowską. Dojście Hitlera do władzy było jednoznaczne z udziałem Towarzystwa Thüle w strukturach władzy. Celem towarzystwa było naukowe dowiedzenie wyższości rasy aryjskiej. I tu właśnie pojawia się kluczowa postać naszej historii: Karl Haushoffer, profesor geopolityki, orientalista i członek Thüle, twórca teorii „krwi i ziemi”, w myśl której wyższość rasy uzależniona jest od podboju *Lebensraum* „przestrzeni życiowej”. Oznacza to, że przestrzeń nie jest tylko narzędziem władzy, ale jej kwintesencją. Aby ugruntować teorię Haushoffera, Thüle powołało do życia organizację Deutsche Ahnenerbe (Niemieckie Dziedzictwo Przodków), specyficzne stowarzyszenie naukowe zgłębiające pradzieje spuścizny duchowej, podzielone na wydział lingwistyki oraz badań nad treścią i symbolami prakultury germańskiej, która szuka dowodów na potwierdzenie wyższości rasy aryjskiej i jej ancestralnego prawa do podboju nowych terytoriów. Jak widać, poglądy Haushoffera przekonały Hermanna Göringa, który poinformował już o niemieckich planach zajęcia Austrii oraz Czechosłowacji i zażądał, by mocarstwa zachodnie dały Rzeszy wolną rękę w Europie Wschodniej. Wiadomo, że w najbliższych miesiącach powstać mają dwa nowe wydziały Ahnenerbe, które zajmą się germańską archeologią oraz wiedzą ezoteryczną. Naziści wierzą w istnienie tuzina „świętych przedmiotów” zapewniających swym posiadaczom nieograniczoną władzę. Jednym z nich jest właśnie Mapa Stworzyciela.

- Chce pan powiedzieć, że naziści poszukują tej mapy? - zapytałem, przyjmując na siebie rolę adwokata diabła.

- Odpowiem panu słowami Keatsa: *Fanatycy tworzą miraż i przeistaczają go w raj dla swej sekty*. Naziści mają chrapkę nie tylko na Mapę Stworzyciela, poszukują również Arki Przymierza, świętego Graala, Włóczni Longinusa oraz innych mistycznych przedmiotów. Wierzą w geomancję, podobnie jak w istnienie tak zwanej świętej geografii, wedle której państwo i jego terytorium nie kształtują się

przypadkowo, ale w myśl mistrzowskiego planu. Mapa Stworzyciela ma im właśnie pomóc w jego zgłębieniu.

- Niby jak? - zapytała Montse.

- Na przestrzeni dziejów wiele górskich szczytów uważano za siedzibę bogów, chociażby grecki Olimp, żydowskie Synaj i Horeb, Kanczendzangę tybetańskich buddystów, hinduskie szczyty Meru i Kalias. Zdaniem geomantów te święte góry są w rzeczywistości ośrodkami energii, które skupiają siły kosmiczne w formie opasujących ziemski glob świętych linii, zwanych również liniami leys. Dlatego świątynie, klasztory i inne miejsca kultu, budowane od pradawnych czasów u zbiegu energii tellurycznych, mają przemożny wpływ na ducha. A kto panuje nad duchem narodu, z łatwością zdobędzie również władzę polityczną. To tłumaczy wielkie znaczenie religii we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Mapa Stworzyciela przedstawia ponoć sieć tych linii promieniujących szczególną energią.

Sama myśl o takiej mapie wydała mi się nonsensowna. A ponieważ nasza obecność na cmentarzu również zaczęła mi się jawić jako czysty nonsens, uciąłem:

- Jestem architektem i mogę pana zapewnić, że nie ma dowodów, by lokalizacja budynku wpływała w jakikolwiek sposób na psychikę jego mieszkańców.

- Chińczycy nazywają to feng shui - zauważył Smith.

- Każdy zabobon ma swą nazwę. A zresztą, co my mamy z tym wszystkim wspólnego?

- Pierus Valerianus jest jedyną książką, która napomyka o Mapie Stworzyciela. W rzeczywistości znane nam dzisiaj egzemplarze z roku 1556 nie należą do pierwszego wydania dzieła. Istniało nieco wcześniejsze wydanie z tego samego roku, wycofane z obiegu właśnie ze względu na ową wzmiankę. Kościół nie uznawał istnienia mapy i dlatego polecił spalić w Bazylei całą *editio princeps*. Ale, jak to zwykle bywa, nie wszystkie egzemplarze „wydania specjalnego” zostały zniszczone. Od początku przypuszczano, że trzy lub cztery uniknęły płomieni, choć nikt nie wiedział, gdzie się podziewają. Wasza książka jest właśnie jednym z tych białych kruków.

- I myśli pan, że książkę Gima Vivarini chce sprzedać książkę nazistom - domyśliłem się.

Smith po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie myślę, jestem pewien. Książkę Cima Vivarini reprezentuje Towarzystwo Thüle w Rzymie. Choć jego ojciec pochodzi z Wenecji, matka jest austriacką arystokratką, blisko spokrewnioną z niemiecką szlachtą. Co ciekawe, mimo swego pochodzenia posługuje się paszportem najmniejszego państwa na świecie: Suwerennego Zakonu Rycerskiego z Malty.

- Mówi pan o wyspie Malcie? - przerwała mu Montse.

- Kawalerowie maltańscy utracili wyspę w pierwszym trzydziestoleciu zeszłego wieku. Wtedy właśnie przenieśli się do Rzymu, gdzie stworzyli niezależne państwo, którego terytorium to Pałac Maltański przy ulicy Condotti 68 oraz Villa Malta na Awentynie. W pałacu rezyduje wielki mistrz i odbywają się posiedzenia rządu, natomiast w willi na Awentynie ma swą siedzibę przeor zakonu oraz jego ambasada przy Stolicy Apostolskiej i Królestwie Włoch. Zakon ma własny rząd i niezależną jurysdykcję, utrzymuje stosunki dyplomatyczne z wieloma krajami, wydaje paszporty, drukuje znaczki i bije własne monety jak każde suwerenne państwo. Na rejestracjach samochodów tego kraju widnieją litery SMOM: Soverain Militaire Ordre de Malte.

Montse i ja spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem.

- Pan chyba żartuje... - stwierdziłem.

- Z początku i mnie trudno było w to uwierzyć. Rzym to jedyne miasto na świecie, na którego terytorium znajdują się trzy państwa: Królestwo Włoch, Państwo Watykańskie i Zakon Maltański. Należą do niego przedstawiciele najprzedniejszej arystokracji europejskiej, politycy i przedsiębiorcy o głęboko katolickich przekonaniach. Najbardziej wpływową grupę w zakonie stanowią Habsburgowie, Hohenzollernowie i Luksemburgowie, starodawne książęce rody niemieckie powiązane ze Stolicą Apostolską. Teoretycznie celem zakonu jest niesienie pomocy najbardziej potrzebującym, prowadzi on wiele klinik i szpitali wyposażonych we własne karetki pogotowia, oraz wspieranie uchodźców. W rzeczywistości jednak stanowi pomost między Watykanem a politycznym i finansowym establishmentem. Dlatego obawiamy się, że teraz, gdy Thüle zdobyło dowód na istnienie Mapy Stworzyciela, spróbuje ją wykraść z Biblioteki Watykańskiej.

- Nie wyjaśnił pan jeszcze, dlaczego nam o tym wszystkim opowiada - zwróciłem mu uwagę.

- Powiedzmy, że potrzebuję waszej pomocy - przyznał.

- Jakiej pomocy? - zaciekałem się.

- Zależy mi, byście podtrzymali znajomość z księciem Cimą Vivarinim i wybadali jego zamiary.

Ktoś, kto nie wierzy w przypadki, miał tu niezbity dowód na ich istnienie. Zdawać się mogło, że Montse przewidziała prośbę Smitha i dlatego zaprosiła Junia do akademii. Szpiegowanie kojarzyło mi się wtedy z przytykaniem ucha do drzwi sypialni i podsłuchiwaniem dobiegających stamtąd rozmów - nie wyobrażałem sobie innego rodzaju szpiegostwa. Już miałem odmówić Smithowi w imieniu nas obojga, gdy Montse mnie uprzedziła:

- Ja to załatwię. Znienawidziłam nazistów, odkąd w trzydziestym trzecim zabrali się do palenia książek.



Nie wątpię, że nasza rozmowa jest dla Montse równie pasjonująca jak lektura dreszczowca, podczas której czytelnik przeżywa i dzieli trwogę z bohaterem, lecz nie odczuwa na własnej skórze skutków jego działań.

- Nawet nie wiemy, czy mówi prawdę. Nie dał nam jeszcze przekonującego powodu, dlaczego mielibyśmy spełnić jego prośbę - próbowałem przemówić Montse do rozsądku.

- Święta racja - przyznał Smith. - Jednak dla waszego dobra mogę zdradzić na razie tylko tyle, że reprezentuję, że tak powiem, pewną grupę stojącą na straży demokracji w Europie i że od waszej decyzji zależy życie wielu osób.

- Ja to załatwię - powtórzyła Montse z uporem maniaka.

Byłem przekonany, że „demokracja” należała w domu Fâbregasów do słów zakazanych i że Montse nie rozumiała nawet dobrze jego znaczenia, więc chciała zostać Matą Hari z pobudek czysto sercowych. Dopiero później pojąłem, że jej decyzja była w rzeczywistości aktem buntu.

- Czy ty w ogóle wiesz, w co się pakujemy, przystając na taką propozycję? Pewnie uważasz to za świetną zabawę, ale Smith mówi o śledzeniu kogoś, kto może być... niebezpieczny - spróbowałem po raz kolejny nakłonić ją do zmiany zdania.

- Twój kompan ma rację - przyznał Smith. - Nie przeczę, że istnieje pewne ryzyko, ale przy zachowaniu środków ostrożności jest ono niewielkie.

- Załatwię to - niczym przyśpiewkę powtórzyła trzeci raz Montse.

Teraz poczułem się jak Chrystus, gdy Piotr trzykrotnie się go wyparł. Nie pojmowałem uporu Montse, wydawał mi się ubliżający. Żadne z nas nie należało do wielkiego świata polityki, byliśmy zwykłymi śmiertelnikami.

- Dobrze - zgodził się Smith. - Po spotkaniu z księciem pójdiesz do pizzerii Pollarolo przy ulicy Ripetta, zaraz obok placu Popolo. Zapytasz o Marca i przedstawiś mu się jako „Liberty” Usłyszysz od niego, że najlepszą pizzą jest margarita, i odpowiesz że lubisz margaritę z listkiem świeżej bazylii. Jak gdyby nigdy nic zjesz pizzę, zapłacisz, a potem stawisz się tu o piątej, jak dzisiaj. Nie zapisuj tego, co usłyszysz od księcia, i nie rozmawiaj z nikim na ten temat. Nawet z José Marią.

Słowa Smitha uświadomiły mi, że ta idiotyczna zabawa rozpoczęła się na poważnie, dlatego postanowiłem się do niej przyłączyć.

- Mogę jeszcze przymknąć oko na to, że Montse umówi się w księciem, by wyciągnąć z niego informacje, ale bieganie po Rzymie, posługiwanie się pseudonimem i doręczanie Bóg wie komu tajnych raportów to zbyt niebezpieczne. Niech już lepiej zajmie się księciem, a ja spotkam się tu z panem i przekażę wszystko w jej imieniu.

Musiałem przyznać, że i ja zostałem szpiegiem z pobudek czysto sercowych.

- To chyba dobry pomysł. W takim razie ty pójdziesz do pizzerii i porozmawiasz z Markiem. Jaki pseudonim sobie wybierasz?

- Niech będzie... „Trinidad” - odpowiedziałem.

Montse spojrzała na mnie badawczo, bardziej zaskoczona moim pseudonimem niż nagłą zmianą zdania.

- „Trinidad”? - zapytała z kpiną w głosie.

- Moje pełne imię brzmi José Maria Jaime Trinidad - przyznałem.

- W takim razie, „Liberty”, „Trinidad”, do zobaczenia - pożegnał nas Smith.

Kiedy jego sylwetka rozplynęła się w półmroku, Montse spojrzała na mnie z uśmiechem, najwyraźniej spodziewając się bury. Jednak poczęła zapadać noc i myślałem już tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się za murami cmentarza.

## 8

Junio zapowiedział się na wpół do piątej po południu. Dwadzieścia minut przed jego przybyciem sekretarz Olarra, administrator Fontana oraz reprezentujący „zbiegów” pan Fábregas utworzyli komitet powitalny, dopełniony później przez ich żony oraz Montse i mnie. Po dyskusji, jak należy się zwracać do księcia, uzgodniono, że skoro nie chodzi o spadkobiercę błękitnej krwi, najlepiej nazywać go po prostu „ekscelencją”. Tym właśnie się zajmowano, gdy wkroczył Junio w eskorcie księgarza Tasso i szofera, który okazał się krzepkim i rumianym młodym Węgrem o imieniu Gábor. Olarra powitał gościa okrzykiem: „Ekscelencjo! Wierzyć, słuchać, walczyć!”. Z miny księcia można było wyczytać, że jak ulał pasuje do niego hasło *Chi se ne frega* - „Kogo nic nie obchodzi” - wyszyte na jego czarnej koszuli, na tle trupiej czaszki i sztyletu, nie dał bowiem po sobie poznać ani wzruszenia, ani zadowolenia z tak osobliwego powitania. Olarra natychmiast rozpoznał jedno z odznaczeń na piersi księcia.

- To... to jest... - zaczął się jąkać, nie mogąc dokończyć zdania.

- Krzyż Świętego Ferdynanda. Walczyłem w oddziałach Queipa de Liano pod Malagą, gdzie zostałem ranny - wyjaśnił Junio.

- Bohater! Bohater! - zawołał Olarra, jakby miał przed sobą nie człowieka, lecz cudowne zjawisko.

Po obowiązkowych powitaniach, podczas których nie obyło się bez całowania rąk i rzymskich pozdrowień, rozpoczęto zwiedzanie. Olarra wziął na siebie rolę cicerone i

opowiedział Juniowi dzieje naszej instytucji od jej załóżków aż po współczesność, mnie natomiast, jako architektowi, przypadło w udziale pokazanie *tempietto* Bramantego - niewątpliwie najcenniejszego skarbu akademii. Przyznaję, że próbowałem wykorzystać sytuację i zabłysnąć wiedzą, by oczarować Montse. Jednak moja nadgorliwość bynajmniej nie wzbudziła ogólnego podziwu.

- Budynek wznosi się wokół okrągłej celi okalającej otwór wydrążony w skale, gdzie podług chrześcijańskiej tradycji ukrzyżowano świętego Piotra. Celę otacza perypteros złożony z szesnastu kolumn doryckich, podtrzymujących entablaturę z fryzem metopowo-tryglifowym zakończonym balustradą. Kopuła z latarnią, zwieńczająca okrągłą celę, to najbardziej godna uwagi cecha całej konstrukcji - rozwinąłem się.

- José Maria, nie jesteśmy na wykładzie uniwersyteckim - zganił mnie sekretarz Olarra, krzywiąc się z dezaprobatą...

- Wiadomo, dlaczego budynek ma akurat formę kolistą? - zainteresował się książkę.

- Owszem. Ma to związek z *tholos*, czyli dawnymi świątyniami rzymskimi wznoszonymi na planie koła, choć nie w celach religijnych, ale pamiątkowych. W epoce renesansu okrągłe budowle były symbolem kuli ziemskiej, a jednocześnie przedstawiały idealne państwo Platona.

- Bardzo ciekawe.

Olarra znów przejął inicjatywę i zaczął szczegółowo objaśniać księciu freski Nicolô Circignaniego, zwanego Pomarancio, przedstawiające życie i dzieła świętego Franciszka, które zdobiły lunety w dolnej części renesansowych krużganków.

- Interesuje mnie również pochodzenie zakupionej przeze mnie książki. Mogę państwa zapewnić, że to najprawdziwszy biały kruk - rzucił książkę, uznając zwiedzanie budynku za zakończone.

- Nie sposób ustalić, kiedy i jak książka trafiła do zbiorów akademii, ale najprawdopodobniej otrzymaliśmy ją w spadku po mieszczącym się tu kiedyś klasztorze - znów zabrał głos Olarra. - Krótco po utworzeniu w 1541 roku Towarzystwa Jezusowego budynek zamieszkiwali liczni duchowni, którzy, jak na przykład sam święty Franciszek Ksawery, wstąpili później do nowo powstałego zakonu. Być może książka znalazła się tu za sprawą jakiegoś jezuitę albo franciszkanina. Któż to wie? Wstyd przyznać, ale przed przyjazdem panny Montserrat w naszej bibliotece panował potworny bałagan. Tak wielki, że sam nie miałem pojęcia, iż przechowujemy tu takie cacko. Gdybym wiedział o jego istnieniu i wartości, nigdy nie dopuściłbym do sprzedaży.

- Moja Montse zawsze miała słabość do książek - wtrącił pan Fâbregas. - W dzieciństwie wolała czytać bajki niż bawić się z rówieśnikami. A zapytana, kim chce

zostać, gdy dorośnie, odpowiadała, że bibliotekarką, by poznać wszystkie istniejące na świecie książki.

- Tato, proszę! - zaprotestowała Montse głosem zdradzającym zawstydzenie.

Właśnie w bibliotece Montse porzuciła rolę drugoplanową i przemieniła się w gwiazdę. Z jej twarzy znikł ślad jakichkolwiek uczuć i przemówiła tonem neutralnym i statecznym, dowodząc, że znaleźliśmy się w jej królestwie. Była to doskonała strategia, by zwrócić uwagę Junia, a jednocześnie przypodobać się ojcu. Gdy pięć minut później pan Fâbregas ujął mnie pod rękę, tłumacząc, że powinniśmy zostawić Montse sam na sam z gośćmi, by spokojnie oprowadziła ich po bibliotece, zrozumiałem, że akceptuje związek córki z księciem. Przed wyjściem zerknąłem jeszcze na nich oboje i choć głos zabrał akurat pan Tasso, a Montse nadal udawała obojętność, zdałem sobie sprawę, że rozgrywa się między nimi coś decydującego. Może w owej chwili uświadomiłem sobie słabość ludzkiej istoty oraz fakt, że Montse, wiedząc, iż dusza tego księcia z bajki jest twarda jak rzemień, da się ponieść mirażom i nie zdoła odróżnić obłędu od rzeczywistości. Złąłem się nawet, że zapomni o obietnicy danej Smithowi, o swej roli Maty Hari. Równie osobliwie zachowywał się Junio, któremu najwyraźniej nie przeszkadzało niskie pochodzenie Montse ani jej wygląd znacznie odbiegający od kanonów estetycznych rasy aryjskiej. Zresztą i jemu było do nich daleko. Ale przecież zauroczenie między dwiema osobami sprowadza się właśnie do chęci złamania wszelkich konwencji, co wyraźnie dowodzi, że gdy przyjdzie co do czego, ideologia zawsze przegra z przypadkiem.

Tymczasem skupiłem uwagę na książącym szoferze, oczekującym w krążgankach na rozkazy. Mimo upływu lat nadal widzę młodego Gabora niczym członka tebańskiego świętego zastępu, którego wojownicy szli do boju parami, gotowi w każdej chwili oddać życie za towarzysza. Podobno żołnierzy tych łączyły silne związki uczuciowe, a nawet homoseksualne - zresztą nie zdziwiłbym się, gdyby tak było również w przypadku Junia i Gabora. Nigdy nie miałem dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń, nie sądzę też, by Montse je podzielała (zapewniłaby mnie raczej, że kobiety instynktownie wyczuwają orientację seksualną mężczyzny), ale więź między Juniem i Gaborem wykraczała poza zwykłą przyjaźń. Istniała między nimi bezgraniczna lojalność, którą szermowali w razie potrzeby, broniąc swej intymności. Zawsze gdy mówili o sobie nawzajem, robili to bardzo ostrożnie, mając się na baczności i posługując się własną osobą niczym tarczą. Przekonałem się o tym zresztą tamtego popołudnia, gdy próbowałem wypytać Gabora o książące zajęcia. Zaczął robić uniki, udając skromnego szofera, który właściwie tylko prowadzi samochód, a jeśli akurat nie siedzi za kierownicą, ma obowiązek czekać i nie zwracać na siebie uwagi. Była to jednak udawana skromność. Swym zachowaniem Gabor w nad wyraz kulturalny sposób dawał mi do zrozumienia, że nie mam prawa wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Wizyta księcia zakończyła się w dwójnasób pomyślnie. Po pierwsze, Junio i pan Tasso wybrali książki, za które gotowi byli zapłacić kolejne szesnaście tysięcy lirów, a po drugie, książę zaprosił Montse na podwieczorek w podzięce za jej uczynność. Pan

Fábregas uważał, co prawda, że nieco za wcześnie na pierwszą randkę, ale Olarra przypomniał mu, iż książę jest bohaterem hiszpańskiej wojny domowej, czym nie może się pochwalić żaden mieszkaniec akademii, nawet on sam. Nie należało też zapominać o korzyściach, jakie związek Montse z księciem i przedstawicielem czarnych koszul w jednej osobie, obracającym się w najwyższych faszystowskich sferach, mógł przynieść naszej instytucji. Przyznaję, że za wszelką cenę próbowałem wkręcić się na ten podwieczorek, ale pan Tasso pozbawił mnie miejsca w samochodzie.

- Italia może, co prawda, pomieścić pięć osób, ale tylko w wyjątkowych przypadkach. Nielegancko byłoby przecież posadzić młodą damę między dwoma kawalerami - usprawiedliwiał się Gabor.

Pożegnawszy orszak na dziedzińcu przed kościołem San Pietro in Montorio i puściwszy oko do Montse, by przypomnieć jej naszą wspólną tajemnicę oraz misję, której się podjęła, zdecydowałem się poszukać schronienia na tarasie.

Zastałem tam Rubiñosa, który słuchał Radia Watykańskiego. Był najwyraźniej oszołomiony czymś, czego się właśnie dowiedział.

- Panie stypendysto, czy pan rozumie Kościół? - zagadnął.

- Oj, Rubiños, jeszcze się taki nie urodził, kto zrozumiałby Kościół - odparłem.

- Też tak sobie myślę, ale czasem zastanawiam się, czy jest to zachowanie godne prawdziwego faszysty. Guillén twierdzi, że faszysta powinien ślepo wierzyć dowódcem i Kościołowi, bo na wojnie potrzebna jest przede wszystkim wiara, a zaraz potem posłuszeństwo.

Rubiños mówił o swym bezpośrednim przełożonym, kapralu José Guillenie, żołnierzu o religijnym powołaniu i chorych poglądach.

- Może wcale nie jesteś faszystą. Nie wzięłeś tego pod uwagę?

Rubiños odczekał kilka sekund, po czym odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Skoro nie jestem faszystą, to kim?

- W obliczu wielkich tragedii wszyscy jesteśmy nikim, Rubiños. Teraz właśnie jesteśmy nikim, po prostu rozbitkami.

- Guillen powiedział też, że indywidualizm to najgroźniejszy nowotwór współczesnego społeczeństwa.

- Guillen ma głowę pełną sieczki, politycznych hasel, które powtarza jak papuga. Problemem naszego społeczeństwa jest nie model państwa, ale brak sprawiedliwości i podstawowych praw.

- Z pana to niezły komuch, panie stypendysto. Gdyby Olarra to usłyszał, miałby się pan z pyszna. Nic nie sprawiłoby mu większej frajdy niż rozstrzelanie kogoś w ogrodach akademii. Marzy o zorganizowaniu najprawdziwszego *auto da fe*, by poczuć się jak na wojnie.

- Olarra to również nikt - stwierdziłem.

Rubiños uśmiechnął się do mnie szelmowsko na znak, że podziela moje zdanie.

- W końcu okaże się, że nie rozumiem Kościoła, bo nie rozumiem ludzi - skwitował.

Rubiños miał rację: niełatwo zrozumieć ludzi. Przynajmniej póki udają wiecznych malkontentów i nie chcą się opamiętać.

Oparty o balustradę dopełniłem tradycji i przeliczyłem wieże oraz kopuły odcinające się na tle sinego nieba, choć w rzeczywistości próbowałem wypatrzeć miejsce - jakby było to w ogóle możliwe - gdzie Montse i Junio raczyli się właśnie podwieczorkiem. Ale nie, to było niemożliwe, mimo że ciekawość kazała mi wyobrazić ich sobie w tym lub w innym miejscu, w tej lub w innej pozie, rozkoszujących się szczęściem, które parzyło mnie od środka. Nagle z któregoś domu przy ulicy Goffreda Mamelego dobiegł głośny krzyk, a moja podświadomość przemieniła to gardłowe rżenie w harmonijną piosnkę, której refren powtarzał raz za razem: *Ah! Com'c bello essere innamorati!*

## 9

Montse wróciła w porze kolacji. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak uszczęśliwionej. Było to szczęście nieświadome, prawie dziecinne, zachowywała się, jakby żyła we śnie. Zamiast mówić, bez przerwy się uśmiechała; nie chodziła, ale zdawała się lewitować. W pierwszej chwili złożyłem jej zachowanie na karb emocji spowodowanych niebezpieczeństwem, które przeminąwszy, skłania nas do wesołości, ale zaraz potem musiałem przypisać jej stan porywowi serca. Zawsze zachodziłem w głowę, dlaczego szczęście tak dziwnie działa na ludzi. Zupełnie jakby osoby szczęśliwe chciały żyć prędzej, szybciej, mimo że powinno być dokładnie odwrotnie. Może wynika to ze świadomości, że szczęście jest ulotne, że nie będzie nam dopisywało przez całe życie, dlatego pragniemy się nim nacieszyć, gdy na chwilę się do nas uśmiechnie. Było jasne, że Montse natknęła się na nie niespodziewanie właśnie owego popołudnia, i dlatego teraz - jakby chodziło nie o szczęście, ale o wierzchowca - smagała je i poganiała bez ustanku. Dla mnie natomiast teren, po którym stąpała, był nieznanym do tego stopnia, że czułem się nieswojo, byłem zdenerwowany. W efekcie i ja zdawałem się uczestniczyć w tym frenetycznym wyścigu w pogoni za mirażem.

- Jak ci poszło? - zapytałem.

Jej źrenice błyszczały jak dwa świetliki i podobnie jak w przypadku tych owadów, blask ów służył zwabieniu partnera.

- Poszło mi cudownie, bo i Junio jest cudowny. Ale objadłam się tak, że aż mi wstyd - odparła.

Montse akceptowała ludzi bez cienia uprzedzeń: zamykała oczy i zapominała o przeszłości, zupełnie jakby nie istniała. Mimo to nazwanie „cudownym” faszysty blisko związanego z nazizmem wydało mi się grubą przesadą.

- Mniemam, że w przerwach między kęsami udało ci się jednak porozmawiać z księciem.

- Oczywiście, rozmawialiśmy na wiele tematów, między innymi o cnotach faszystowskich. Według Junia składają się na nie: wytrwałość w pracy, skrajna powściągliwość w słowie i geście, męstwo fizyczne i moralne, nieugiętość w powziętej decyzji, bezgraniczna wierność złożonej przysiędze oraz poszanowanie tradycji, idące w parze z entuzjastycznym spojrzeniem w przyszłość. Junio mówi, że wolność nie jest celem, ale środkiem pomagającym w jego osiągnięciu i dlatego powinna być poddana nadzorowi i kontroli, oraz że w społeczeństwie takim jak włoskie najpierw trzeba spełnić obywatelski obowiązek, a dopiero potem żądać praw. Wiedziałaś, że zdaniem Mussoliniego młodość to boska przypadłość, z której zdrowieje się po trochu każdego dnia?

- W gruncie rzeczy niewiele wiem o Mussolinim - przyznałem. - Choć na widok jego marmurowego oblicza i posepnego spojrzenia nie potrafię pozbyć się wrażenia, że mam przed sobą pospolitego zabijakę.

- Oczywiście księżę nie podziela poglądów Mussoliniego, w każdym razie nie wszystkie. Junio to faszysta z własnym światopoglądem. Jest patriotą, a zarazem człowiekiem nowoczesnym. Czyta poezję, głównie Byrona i Leopardiego, oraz interesuje się malarstwem abstrakcyjnym. I jest wolny.

Jeśli Montse próbowała wyprowadzić mnie z równowagi, była na najlepszej drodze.

Odczekawszy kilka sekund, dodała:

- Mieliśmy również okazję porozmawiać o sławetnej mapie.

Zazdrość kazała mi patrzeć złym okiem na jakikolwiek temat, który Montse poruszyłaby przy Juniu. Dlatego rzuciłem, nie kryjąc niezadowolenia:

- Powiedziałaś mu o Mapie Stworzyciela?

- Dlaczego miałabym nie mówić? Przecież o to właśnie chodziło Smithowi - odparła.

- Tak, o to chodziło Smithowi, tyle że to książkę miał rozpocząć rozmowę na ten temat. Jeśli twoje zainteresowanie wydało mu się podejrzane, może stracić do ciebie zaufanie.

- Dobrze, dobrze, ale skoro wyszperałam książkę w bibliotece i przeznaczyłam ją na sprzedaż, można założyć, że do niej zajrzałam. Dlaczego więc miałabym nie napomknąć kupcowi książki o jej treści? Zresztą nie użyłam nazwy, jaką posługiwał się Smith. Po prostu powiedziałam księciu, że ostatni rozdział zawiera wzmiankę o istnieniu pewnej osobliwej mapy...

- I jak to przyjął? - wszedłem jej w słowo.

- Zupełnie normalnie. Nie wiem, czy mapa ta jest, czy nie jest bezcenna, w każdym razie Junio nie wydaje się przypisywać jej wielkiej wartości. Powiedział, że według legendy Bóg własnoręcznie sporządził mapę, na którą naniósł główne ziemskie linie i punkty mocy, zatopione kontynenty oraz podziemne miasta zamieszkałe przez rasę nadludzi. To taki kartograficzny odpowiednik tablic Mojżeszowych. Junio wspomniał również, że przesłał książkę dowódcy SS Heinrichowi Himmlerowi, ponieważ naziści szukają dowodów, że „w złotym wieku bogowie mgłą spowici błakali się wszędy po ziemi”. Teraz Junio czeka na polecenia z Niemiec.

- Bogowie mgłą spowici...?

- Tak pisał Hezjod, nawiązując do mitu zaginionego kontynentu, na którym bogowie żyli pośród ludzi. Naziści uważają się za potomków jednej z tych mitycznych cywilizacji, dlatego wierzą, że Watykan jest w posiadaniu nie tylko Mapy Stworzyciela, ale również tajemnego rękopisu przedstawiającego historię Atlantydy, czyli Thüle, ojczyzny ich wielkich przodków. Ponoć plemiona aryjskie, uratowane stamtąd przed potopem przez ostatniego nadczłowieka, czyli człowieka-boga, osiedliły się w Europie i Azji, od pustyni Gobi po Himalaje. Właśnie tam, na dachu świata, założyły Wyrocznie Słońca, by z jej pomocą władać planetą. Od tamtej pory ich potomkowie nie przestali wcielać się w przywódców różnych plemion ocalałych z potopu.

Musiałem przyznać, że Montse spisała się na medal, choć ani myślałem jej tego mówić.

- W takim razie wszystkim nieszczęściom nawiedzającym nasz świat winni są nadludzie. A przecież wystarczy spojrzeć na Hitlera tudzież jego pomagiera Himmlera, by wiedzieć, że co jak co, ale do nadludzi im daleko. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego Smith zawraca głowę sobie, a przy okazji i nam, sprawą tak absurdalną. Twierdzenie, że jakaś mapa może wpłynąć na bieg dziejów, to wierutna bzdura.

Wówczas nie podejrzewałem jeszcze, jak bliski jestem prawdy. Myliłem się tylko w kwestii, która okazała się potem wyjątkowo ważna - tak, mapa, włócznia lub kielich nie mogą zmienić biegu Historii, ale może na niego wpłynąć fanatyzm osób



omamionych apokaliptycznymi i mesjanistycznymi właściwościami przypisywanymi tym przedmiotom. Teraz wiem już na pewno, że hitlerowcy uganiali się za nimi wyłącznie po to, by domniemanym poszukiwaniem wyższego stanu świadomości usprawiedliwić własną nieświadomość i brak humanitaryzmu. Zupełnie jakby chcąc zbliżyć się do Boga, musieli najpierw podpisać pakt z Diabłem, jakby Bóg i Diabeł byli jednym i tym samym.

- Mnie się to wydaje emocjonujące.

- Tobie podoba się książkę i tyle - odciąłem się.

Montse nareszcie zsiadła z konia szczęścia.

- A tobie to najwyraźniej przeszkadza - stwierdziła.

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Chyba tylko przyznać jej rację. Ale to nie była pora na wyznania, które zepchnęłyby mnie na przegraną pozycję.

- Myślę, że powinniśmy przerwać to szaleństwo, zanim będzie za późno. Nie jesteśmy żadnymi szpiegami. Zaraz jutro spotkam się ze Smithem i powiem mu, że się rozmyśliliśmy - rzuciłem, powracając do głównego wątku naszej rozmowy.

- Obawiam się, że już jest za późno. Umówiłam się z Juniem na pojutrze - wyznała. - A teraz rozstańmy się, nim mój tata zacznie podejrzewać, że coś knujemy.

Czyżby nie chciała, by jej ojciec posądził mnie o stawanie na przeszkodzie jej amorom z Juniem? W rzeczy samej, nie miałbym nic przeciwko temu, by pan Fábregas odniósł takie wrażenie. Choć w owej chwili przepełniał mnie wielki żal i myślałem tylko, jak odplacić Montse pięknym za nadobne. Teraz, z perspektywy czasu, sądzę, że ostatnie słowa Montse były dla mnie bodźcem do zmiany postawy wobec wojny w Hiszpanii i wydarzeń w Europie, zrozumiałem bowiem, że lekceważy mnie z powodu mojego braku zaangażowania, że brzydzi się aurą nijakości, w jakiej żyję, nie chcąc widzieć tego, co dzieje się wokół. Zupełnie jakby wystarczyło zamknąć oczy, by uniknąć problemów. Co gorsza, w moim sposobie bycia na próżno doszukiwano by się obłudy. Po prostu taka była moja osobowość. Może w innych okolicznościach, w czasie pokoju, moje zachowanie nie miałyby większego znaczenia, ale w chwili, kiedy Hiszpania się wykrwawiała, a Europa miała wnet pójść jej śladem, potrzebne były osoby takie jak Junio, Smith lub chociażby sekretarz Olarra - gotowe poświęcić się sprawie. Nie liczyły się półsłówka ani obojętność - należało opowiedzieć się po którejś ze stron i zaangażować w pełni, bez względu na konsekwencje. Tylko dzięki temu można było zachować pewną godność w czasach, w jakich przyszło nam żyć - w przeciwnym razie pozostawało obrać niegodziwość jako sposób na życie. Chyba właśnie wtedy postanowiłem przyłączyć się do Smitha, niewykluczone, że tylko dlatego, iż stając po jego stronie, nie musiałem nosić munduru ani zgrywać fanfarona, krzykacza czy ważniaka na zebraniach partyjnych i wiecach. Przyznaję, że nigdy nie pociągały mnie hasła faszystowskie, choć oprócz kwestii czysto ideologicznych mój sprzeciw wynikał głównie z drzemiącego we mnie ducha indywidualisty oraz z

niechęci do przyłączenia się do stada - zawsze stroniłem od tłumu. Nie przypuszczałem tylko, że świeżo powzięta decyzja wcześniej, niż należałoby oczekiwać, zmusi mnie do nierozważnych poczynań.

## 10

Montse nie zeszła na śniadanie. Ponoć męczył ją kaszel i bolało gardło. Jeśli chodzi o mnie, zacząłem się zastanawiać, czy aby księżę nie otruł jej podczas podwieczorku jedną z tych niewykrywalnych trucizn, które zabijają powoli - jak miłość.

- Naszykuję jej w try miga cebulę na kaszel i kilka plastrów pomidora na gardło - zaoferowała się doña Julia.

- Cebulę i plastry pomidorów? Na miłość boską, doño Julio, czy chce pani zrobić mi z dziecka surówkę? - zainteresowała doña Montserrat, matka Montse, kobieta o charakterze powściągliwym i uległym, żyjąca w cieniu silnej osobowości męża.

- Zapewniam panią, moja złociutka, że nic nie leczy kaszlu tak skutecznie jak przekrojona cebula położona przy łóżku chorego. Cebulowe opary czynią cuda. To samo dotyczy kataplazmu z pomidorów nałożonego na gardło: ból ustępuje jak ręką odjął - nie poddawała się doña Julia.

- Jak ręką odjął? Dobra kobieto, proszę nam oszczędzić tych bredni. Pani rady to policzek wymierzony nauce. Choć trudno w to uwierzyć ze względu na specyficzne okoliczności, w jakich przyszło nam żyć, nadal znajdujemy się na terenie akademii, gdzie nie ma miejsca na zabobony. Proszę o tym nie zapominać - przemówił sekretarz Olarra.

- A czy natura nie jest matką nauki? Założę się, że dzięki cebuli i pomidorom nasza mała wydobrzeje jeszcze przed obiadem - odgryzła się doña Julia, po czym wzięła nóż i przecięła sobie opuszek palca.

- Można wiedzieć, co pani robi? - oburzył się Olarra.

- Udowodnię panu, gdzie kryje się prawdziwa nauka. Proszę przeciąć sobie palec tak jak ja - wyjaśniła doña Julia.

- Mam sobie rozciąć palec? No nie, doño Julio, naprawdę odjęło pani rozum.

- Niech pan natnie sobie lekko palec i posmaruje ranę spirytusem albo jodyną. Ja użyję do tego samego celu białego cukru. Jutro rano pana skaleczenie będzie się ciągle goiło, a po moim prawie nie zostanie ślad. Doño Montserrat, poproszę o cukier.

Matka Montse spełniła polecenie doñi Julii, która sypnęła cukrem do rany jak do filiżanki kawy.

- Teraz rozumiem, dlaczego tylko pani widuje naszą zjawę - powiedział sekretarz Olarra.

- Wczoraj znów odwiedziła mnie podczas sjesty. Przyglądała mi się oparta o parapet okna - zapewniła doña Julia.

- Czyli ma głowę - wywnioskowała doña Montserrat.

- Zupełnie jak pani albo jak ja. Ma kasztanowe włosy, wielkie brązowe oczy, powieki pokryte siatką niebieskich żyłek i bladą, prawie przezroczystą skórę. To bardzo piękna młoda kobieta - wyjaśniła doña Julia.

- To samo mówiono o Beatrice Cenci, dlatego ojciec zrobił jej wiadomo co - zauważyła doña Montserrat.

- I dlatego ona zrobiła ojcu wiadomo co - skwitowała doña Julia.

- Ojciec, który gwałci własną córkę, zasługuje na kastrację - zawyrokowała doña Montserrat.

- Na śmierć, zasługuje na śmierć. Przyobiecałam zjawie, że jeszcze dziś po południu zapalę w jej intencji świeczkę w kościele San Pietro in Montorio i zrobię co w mojej mocy, by dowiedzieć się, gdzie jest jej głowa. Biedaczka chce po prostu odzyskać swą własność i spocząć nareszcie w pokoju.

- Słyszałam, że głowę skradł francuski żołnierz - wtrąciła doña Montserrat.

- Niejaki Jean Maccuse. Ale Beatrice zdradziła mi, że po dokonaniu tak horrendalnego czynu typ ów nie zaznał w życiu spokoju. Założył się, że nie wie pani, jak skończył Jean Maccuse.

- Pojęcia nie mam.

- Został ścięty, a jego głowa trafiła do urny należącej do pewnego afrykańskiego sułtana. Wiadomo, kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

- To wszystko prawda?

- Słowo ducha Beatrice Cenci - oznajmiła doña Julia uroczyście.

Doña Montserrat przeżegnała się dwukrotnie.

- Na litość boską, jeszcze trochę, a zaczną panie wykrzykiwać „Viva la muerte!” - oburzył się Olarra.

- Nasza Montse zakochała się w księciu, ot i cała choroba. Nie ma gorączki, sprawdziłem, za to patrzy niewidzącym wzrokiem i bez przerwy wzdycha - wtrącił pan Fábregas, powracając do kwestii złego samopoczucia córki.

- Ma to po mnie. Gdy ja zakochałam się w swoim mężu, przez dwa lub trzy dni nie wstawałam z łóżka. Dostawałam palpacji i omdlewałam na samą myśl o nim - poinformowała doña Montserrat, jakby mówiła o kimś nieobecnym, bo mężczyzna, który przyprawiał ją o tak silne przeżycia, i jej mąż byli dwiema różnymi osobami.

Próbowałem właśnie przełknąć komentarz ojca Montse, gdy poczułem, że pan Fábregas patrzy na mnie przenikliwie. W ułamku sekundy zdążyłem wyczytać mu z oczu: „Chłopcze, będziesz musiał zadowolić się ochłapami”.

Dzięki domniemanej chorobie Montse udało mi się ją odwiedzić. W jej pokoju, podobnie jak w całej akademii, panował ziąb i Montse dygotała w pościeli, przykryta dwoma kocami. Na ramionach miała matczyną chustę, nadającą jej dziewiczy wygląd a plecami opierała się o poduchy z gęsiego pierza. Udawała, że czyta, ale zgodnie z zapewnieniami ojca wydawała się zmęczoną i patrzyła na jakiś nieokreślony punkt na ścianie.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

- Tata mówi, że wojna skończy się za kilka tygodni, ale Junio twierdzi, że potrwa lata. Jak myślisz, kto ma rację?

Słowa te przekonały mnie, że pan Fábregas postawił słuszną diagnozę: miłość poważnie nadwerżyła zdrowie Montse. Rokowania wolałem zachować dla siebie.

- A co wolisz? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Chcę, by wojna skończyła się jak najszybciej, choćby jutro, jeśli to możliwe, ale jednocześnie nie chcę wyjeżdżać z Rzymu - wyznała.

- Niedawno zapewniałaś mnie, że nie możesz się doczekać powrotu do Barcelony - odświeżyłem jej pamięć.

- To było kiedyś. Zapominasz, że teraz jesteśmy szpiegami?

W rzeczywistości chciała powiedzieć coś innego: „Zapominasz, że teraz jestem zakochana?”.

- Jakże mógłbym zapomnieć. Podobnie jak nie potrafię zapomnieć, że Matę Hari rozstrzelano za zdradę stanu. Boję się.

- Jeśli spodoba mi się księciu, nie mamy się czego bać. A już moja w tym głowa, by mu się spodobać. Rozmawiałam z ojcem i zgodził się przeznaczyć pewną sumę na odnowienie mojej garderoby. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

Słowa Montse dotkliwie mnie zaboląły. Nie chciałem być jej powiernikiem, współnikiem jej grzeszków, choć wszystko wskazywało na to, że tę właśnie rolę mi wyznaczyła.

- Chyba nie powiedziałaś ojcu o naszej sprawie?

Kładąc nacisk na zaimek dzierżawczy, szukałem jedyne pocieszenia, jakie mi jeszcze pozostało, by czuć się z nią jakoś związany.

- Spokojna głowa, mój ojciec myśli, że chcę złować księcia, i nie ma nic przeciwko temu.

- A czego ty chcesz?

- Ratując ludzkość, być może zdołamy również uratować Junia - wyjaśniła.

Montse nie brała pod uwagę tego, że mamy ratować ludzkość od księcia i ludzi jego pokroju, że właśnie przeciwko nim przyjdzie nam walczyć. Wołałem jednak milczeć i nie pogarszać sytuacji.

- Tak, może uda ci się go uratować.

- Moja matka mawia, że kobieta może wszystko, jest zdolna nawet do rzeczy niemożliwych. Istnieją dobrzy i źli faszyci, zupełnie jak w winnicy Pana. Junio zalicza się do tych pierwszych. Sam mi powiedział, że szlachectwo nosi się w sercu, nie w nazwisku, nawet jeśli jest się Bóg wie jakim księciem.

Myśl, że Montse widzi w Juniu dobrego samarytanina, doprowadzała mnie do szewskiej pasji. Po latach, wspominając nasze ówczesne rozmowy, doszliśmy do wniosku, że w tamtych chwilach niepewności tylko marzenia pomagały rozjaśnić życie. Trudno mi wyrzucać Montse jej zachowanie, skoro i ja uczepliłem się jej osoby jak marzenia i punktu odniesienia. W pewnym sensie zdawało się nam, że życie potoczyło się zgodnie z fabułą powieści, której byliśmy bohaterami - dlatego mieliśmy prawo postępować jak postaci z bajki. Teraz, gdy powieść ta jest już od dawna zamknięta, a na jej okładce gromadzić się zaczyna kurz zapomnienia, wiem już, że byliśmy ofiarami tamtych czasów oraz świata rządzonego przez katów.

\*\*\*\*\*

Brak 2 stron (fuck)

\*\*\*\*\*

dziki zwierz zacząłem krzyczeć, wzywając dozorcę. Wtedy spomiędzy grobów niby armia żywych trupów zaczęły wylaniać się sylwetki. Przysięgam, że w pierwszym odruchu pomyślałem, że to naprawdę istoty z zaświatów, ale w miarę jak mnie otaczały, zrozumiałem, że mam do czynienia z członkami groźnej OVRA - politycznej policji Mussoliniego do zwalczania wrogów dyktatury. Osunąłem się na kolana, sam nie wiem, czy po to, by błagać o litość, czy się modlić, przekonany, że wybiła moja godzina. Poczulem, jak ktoś narzuca mi kaptur na głowę i pęta ręce sznurem, po czym zaprowadzono mnie do samochodu i wepchnięto do bagażnika.

- Radzę nie krzyczeć i nie robić zamętu, bo w przeciwnym razie... To potrwa siedem, góra osiem minut - usłyszałem dochodzący z zewnątrz męski głos.

Pomyślałem, że tyle zostało mi jeszcze życia: siedem, góra osiem minut. Choć jeśli ci ludzie chcieli ze mną skończyć, równie dobrze mogli to zrobić na cmentarzu. Chyba że zamierzali mnie torturować. Ma się rozumieć, nie myślałem stawiać oporu, wręcz przeciwnie: byłem gotów opowiedzieć im wszystko, byle tylko ocalić życie. Potem przyszło mi do głowy, że może dopadli też Montse i spotkamy się na sali tortur. Zapragnąłem gorąco, by tak się właśnie stało, nie tylko dlatego, że wspólnymi siłami łatwiej byłoby wyjaśnić naszym porywaczom całe nieporozumienie - że jesteśmy tylko dwojgiem nierozważnych żółtodziobów - ale przede wszystkim, by raz jeszcze ujrzeć ją przed śmiercią.

Gdy samochód stanął i bagażnik znowu się otworzył, puściły mi zwieracze.

- *Porca miseria!* Ten typ się sfajdał! - zawołał inny głos.

Fetor przyprawił mnie o mdłości.

- Spokojnie! Nic panu nie grozi - powiedział ten sam mężczyzna, który odezwał się do mnie wcześniej w samochodzie.

Nigdy nie czułem się równie upokorzony, dlatego teraz to ja chciałem umrzeć. Liczyłem, że przy odrobinie szczęścia serce mi nawali podczas przesłuchania.

- Duszę się - zdołałem wybełkotać.

- Załatwcie mu jakieś czyste portki - rozkazał mężczyzna, który najwyraźniej dowodził akcją.

Zaraz potem dwie inne pary rąk zawlekły mnie do pomieszczenia, gdzie rozwiązano mi nadgarstki i ściągnięto kaptur. Czekają tam na mnie czyste spodnie oraz mydło i miednica z wodą, w której się umyłem.

Kiedy moje oczy przywykły do światła, dostrzegłem przysadzystego mężczyznę o twarzy, którą słońce gęsto poorало zmarszczkami, o czarnych jak węgiel oczach, południowych rysach i oliwkowej skórze - prawdziwego Włocha z południa.

- A więc to pan jest „Trinidad”. Gdyby przyszedł pan na cmentarz dziesięć minut wcześniej, dotrzymywałyby pan teraz towarzystwa Smithowi na tamtym świecie. Miał pan fuksa - powiedział.

- Nazywam się José Maria Hurtado de Mendoza - poprawiłem go, nie zamierzając się do niczego przyznawać.

- Ale pański pseudonim brzmi „Trinidad”. Proszę się wyluzować, jest pan wśród przyjaciół - zapewnił.

- Ma pan osobliwe pojęcie o przyjaźni - powiedziałem z wyrzutem.

- Mieliśmy pana ocalić i spełniliśmy zadanie.

- Ocalić przed kim?

- Przed typami, które zabiły Smitha.

- A kim są te typy? - zapytałem.

- OVRA? Naziści? Watykan? Któż to wie? - odparł.

- Zapomniał pan o księciu Cimie Vivarinim - zwróciłem mu uwagę.

Mężczyzna uśmiechnął się i dodał:

- O nie, mogę pana zapewnić, że nie zapomniałem o księciu Cimie Vivarinim.

- Kim pan jest? - pytałem dalej.

- Powiedzmy, że nazywam się... John Smith.

- Smith nie żyje - przypomniałem mu.

- My wszyscy nazywamy się... John Smith - stwierdził mężczyzna, wykonując ręką gest, jakby chciał objąć swoich nieobecnych towarzyszy, którzy zdążyli już cichaczem opuścić pokój.

- John Smith przynajmniej wyglądał na Johna Smitha, ale pan... - mruknąłem.

- Mniejsza o wygląd, najważniejsze, że walczymy o uwolnienie Europy od faszyzmu.

- Strój upodabnia was raczej do tajnej policji Mussoliniego - zwróciłem mu uwagę.

- Proszę jednak nie ufać pozorom. Chyba pan słyszał, że aby zamaskować się przed wrogiem, najlepiej ubrać się tak jak on. Powtarzam, że jesteśmy pańskimi przyjaciółmi.

Tak czy owak gotów byłem powiedzieć im dokładnie wszystko.

- Czego chcecie?

- Usłyszeć wiadomość, którą miał pan przekazać Smithowi.

- I wtedy mnie wypuścicie?

- Nikt tu pana nie trzyma siłą. Proszę mówić i droga wolna.

Nie mogłem wykluczyć, że gdy wszystko powiem, dostanę od nowego Smitha kulkę w łeb, nie miałem jednak wyboru.

- Cima Vivarini przekazał książkę Heinrichowi Himmlerowi i czeka na dalsze wskazówki. Na razie nie istnieje plan wykradzenia Mapy Stworzyciela.

- Coś jeszcze?

- Niemcy szukają również rękopisu dotyczącego Atlantydy, który napomykałby o rasie naddludzi. To wszystko.

- I po krzyku. Jest pan wolny. Ach, byłbym zapomniał! Następne spotkanie odbędzie się już na innych zasadach: pójdzie pan do pizzerii i tam dowie się od Marca miejsca i godziny spotkania. Po dzisiejszej wpadce musimy być ostrożniejsi. Podróżując tramwajem, proszę po drodze wielokrotnie wysiadać i wsiadać, poza tym radzę odwiedzać tylko zatłoczone lokale wyposażone w kilka wyjść; niech pan nigdy nie wchodzi i nie wychodzi tymi samymi drzwiami.

- Myśli pan, że po tym, co się dzisiaj stało, mam jeszcze ochotę bawić się w szpiega?

- W takim razie proszę nie uważać tego za zabawę, ale za obowiązek wobec ludzkości - zasugerował.

- To tylko puste słowa. Zabijacie się dla jakiejś głupiej mapy, dla zwykłego... zabobonu. I kto się tu bawi? - zarzuciłem mu.

- Niewiele nas obchodzi, czy Hitler i Himmler wierzą w ezoteryczne właściwości „głupiej”, jak pan to raczył ująć, mapy. Niepokoi nas natomiast, że może ona posłużyć jako usprawiedliwienie ataku na kraje graniczące z Niemcami. Groźna jest nie sama mapa, lecz teoria przestrzeni życiowej, pogląd, że Rzesza jest przeludniona i potrzebuje nowych terytoriów.



- Żąda pan, bym oddał życie za kogoś, kto i tak jest już martwy? Gdyby przynajmniej Smith żył...

- Widzę, że nie rozumie pan, o co toczy się ta gra - zauważył nowy Smith.

- Czyżby o demokrację? Proszę mnie nie rozśmieszać. Co zrobiła demokracja dla biedaków, oprócz tego, że pozwoliła im głosować, jaki typ ubóstwa preferują? Tak, teraz zapewne usłyszę, że demokracja to najmniej szkodliwy system rządów, na co będę musiał odpowiedzieć, że się z panem zgadzam. Jednak i tak wolę trzymać się z boku.

Nowy Smith słuchał mojego ataku, ani na chwilę nie tracąc uśmiechu.

Miałem wrażenie, że dostrzegam w jego oczach źrenice Montse, kiedy dawała mi wzrokiem do zrozumienia, że brak ideałów musi mi bardzo utrudniać życie. W rzeczywistości było to przesycone litością spojrzenie, jakie śle się nieuleczalnie choremu.

- W takim razie proszę to zrobić dla swojej przyjaciółki - rzucił po chwili Smith.

- Dla niej to również tylko zabawa. Zakochała się w księciu i robi wszystko, byle być blisko niego.

- Sam pan powiedział: jest zakochana i dlatego nie zrezygnuje z zadania, którego się podjęła. Doprowadzi je do końca, bo człowiek zakochany nie porzuca rozpoczętej roboty, tylko liczy na jeszcze jedną szansę, nawet jeśli sprawy przybiorą zły obrót. Nie pańska przyjaciółka się nie wycofa.

- Zrobi to na wieść, że Smith został zabity najpewniej na rozkaz jej księcia - stwierdziłem, jakbym wykladał na stół kartę którą zamierzałem wygrać całą partię.

- Czyżby? Potrafi pan udowodnić, że Cima Vivarini zlecił zamordowanie Smitha? Co najwyżej zrazi pan do siebie swą przyjaciółkę, która uzna, że kieruje panem zazdrość.

Czyżby moje uczucia do Montse były aż tak oczywiste? Nowy Smith miał rację. Najlepiej nie wspominać jej o moich podejrzeniach. Nie miałem dowodów na udział Junia w zabójstwie. Ogarnęła mnie ta sama trwoga, którą poczułem na widok zatrzaśniętej cementarnej furtki.

- A jeśli księżę będzie chciał się jej pozbyć? - począłem się zastanawiać.

- Nie ma mowy. Nawet jeśli nas zdemaskuje, wykorzysta pańską przyjaciółkę, by wyciągnąć z niej informacje lub, w przypadku ich braku, zmylić ją fałszywymi danymi. To popularna szpiegowska sztuczka.

- Szpieg szpiegowany... No, ale co się stanie, kiedy moja przyjaciółka będzie już księciu niepotrzebna?

- Odsuniemy ją od czynnej służby, zanim będzie spalona, obiecuję. Wyczuwamy, kiedy sprawy przybiorą zły obrót. Nam przede wszystkim zależy, by nikt nie ucierpiał, bo nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Nowy Smith był pewny siebie i mówił z przekonaniem, jednak dla mnie jego usta przypominały szczelinę wiodącą do przepaści bez dna.

- Jak mniemam, to samo planowaliście w przypadku Smitha, a jednak spalił się z kretesem na waszych oczach - dodałem. - Dlatego pana argumenty bynajmniej mnie nie przekonują.

- Smith to co innego. Zresztą bez względu na to, czy moje argumenty przekonują pana, czy nie, ma pan tylko jedno wyjście: współpracę z nami. W przeciwnym razie pańska przyjaciółka będzie musiała przejąć pańskie zadanie, a tym samym znajdzie się w podwójnym niebezpieczeństwie.

- Zgoda, mogę nadal z wami współpracować pod warunkiem, że ewakuujecie nas z Rzymu, jeśli sprawy skomplikują się jeszcze bardziej.

Nie znałem jeszcze wtedy dwóch podstawowych zasad szpiegostwa - po pierwsze: jeśli wszystko pójdzie dobrze, nikt ci nie podziękuje, po drugie: jeśli coś pójdzie źle, nikt się do ciebie nie przyzna.

- Zgoda. Wywieziemy was z Rzymu, jeśli sytuacja się skomplikuje - obiecał mój rozmówca. - A teraz jeden z moich ludzi znów włoży panu kaptur i odwiezie pana w bezpieczne miejsce. Nie powinien pan wiedzieć, gdzie się teraz znajdujemy. To chyba zrozumiałe, prawda?

Nie odpowiedziałem. Miałem już dość formułowania próżnych sprzeciwów. Pozwoliłem zasłonić sobie twarz i zawlec się z powrotem do bagażnika. Znowu zapragnąłem, by Montse zobaczyła całą tę scenę. Chciałem jej powiedzieć, że to wszystko jej wina.

Wyrzucono mnie pod bramą parku Villa Doria Pamphili na Gianicolo, pięć minut od akademii. Na wysokości fontanny Acqua Paola zdumiał mnie widok Rzymu - nie mniej ponury niż stan mojego ducha. Wtedy stanął mi przed oczami Smith. Zacząłem się zastanawiać, co by pomyślał (oczywiście gdyby nieboszczyk mógł analizować przyczyny własnej śmierci). Czy powiedziałby sobie w duchu: „Mimo wszystko było warto”? To z kolei zrodziło we mnie pytanie: Czy naprawdę warto?

Jak co noc Rubinos pełnił dyżur, pałac po kryjomu. Tym razem nie drzemał, był najwyraźniej głęboko pogrążony w rozważaniach. Po chwili wzruszył ramionami, jakby dając do zrozumienia, że nie pojmuje tego, o czym myśli. Wyglądał na to czym był - na żalostnego idiotę zagubionego na odległym tarasie w dalekim kraju. Co ciekawe, Rubinos do dzisiaj pozostaje dla mnie przykładem człowieka zniewolonego, właśnie przez swą nieświadomość, że jest zwykłym pionkiem, marionetką w rękach siły wyższej, dla której ludzie nic a nic się nie liczą. Czasami ta nadprzyrodzona siła przyjmuje postać wojny wznieconej przez szalbiercze interesy, innym razem - katastrofy naturalnej. Ale ofiary są zawsze te same - podobne do Rubiñośa. Z jakiegoś powodu, dla mnie niepojętego, na myśl o bombardowaniu Durango, Guerniki czy choćby Madrytu widzę zmasakrowane, rozrzucone pośród gruzów trupy osób takich jak Rubinos. Nie dostrzegam nigdzie Olarry, pana Fâbregasa, księcia Cimy Vivariniego ani Smitha, ale właśnie Rubiñośa. Może dlatego, że należał do osób, które służalczość przemieniają w cnotę.

- Jakieś wieści z Hiszpanii? - zapytałem.

Rubinos rozgniółł papierosa podeszwą buta i zerwał się na równe nogi.

- Ach, to pan, panie stypendysto! Ale mnie pan wystraszył! Myślałem, że to sekretarz Olarra! Nie, nic nowego, w każdym razie nic, co przyćmiłoby dzisiejsze wydarzenia w akademii.

- A cóż takiego się tu wydarzyło?

- Cud, Doña Julia uleczyła pannę Montse cebulą i trzema plastrami pomidora. Mimo pomstowania sekretarza Olarry „zbiegowie” uznali to za znak boskiej opatrności. Twierdzą, że skoro biedna i bezbronna kobieta może przegnać chorobę cebulą i pomidorem, to czego nie dokona Franco dzięki działom i samolotom, które w dzisiejszym przemówieniu radiowym obiecał mu duce.

- Proszę, proszę.

- Pan Fâbregas przez cały dzień wznosił okrzyki w stylu: „Niech drży Historia, bo przyjdzie jej teraz stanąć twarzą w twarz z naszym caudillem!” albo „Za Hiszpanię! Kto jej broni, niech ginie w chwale, a kto ją porzuci, niech nie zazna, zdrajca, ni w świętej ziemi spoczynku, ni krzyża na swym truchle, ni synowskiej dłoni na martwych powiekach!”. A potem wszyscy ruszyli na mszę, by dziękować Bogu za pomoc duce.

Odsapnąwszy, dodał:

- Wiedział pan, że cukier goi rany lepiej niż jodyna?

- Owszem, Rubiñoś, miałem dzisiaj przyjemność jeść śniadanie z doñą Julią.

- Skoro doña Julia ma rację, jutro posypię sobie tyłek białym cukrem, bo hemoroidy żyć mi nie dają.

- Środki zaradcze doñi Julii są w pełni zgodne z prawami natury. Sęk w tym, że mało kto zna te prawa.

Rubiños znów umościł się na krzesło, skręcił kolejnego papierosa i powiedział:

- Panie stypendysto, jest w panu coś intrygującego. Mogę zadać panu pytanie?

- Śmiało, Rubiños.

- Dlaczego, panie stypendysto, przychodzi pan tu co noc i kontempluje widoki jak jakiś, za przeproszeniem, półgłówek?

- Ano dlatego, Rubiños, że stąd roztacza się najpiękniejszy widok na miasto. I jeszcze dlatego, że widać tu jak na dłoni Drogę Mleczną. A nie wspomnę już o jakości tutejszego powietrza - odparłem, napełniając płuca orzeźwiającym haustem.

- Stąd właśnie moje wątpliwości, panie stypendysto. Naprawdę widzi pan tam Rzym?

Spirale białego dymu płynęły powoli w górę. Nim się rozplynęły, na kilka sekund tworzyły nad głową Rubiñosa aureole.

- A pewnie. Cóż innego miałbym widzieć?

- Bo ja nie widzę Rzymu, panie stypendysto - przyznał radiotelegrafista.

- A co, jeśli można wiedzieć?

- Galicję, panie stypendysto, moją rodzinną Galicję. Widzę wieże katedry w Santiago, mury obronne Lugo, plac Maria Pita, estuarium Ribadeo i wyspę Toja. Podchodząc do balustrady, czuję się, jakbym wyglądał z balkonu w moim domu w Galicji. W każdym razie Rzymu to ja tu zupełnie nie widzę.

- Wszystko dlatego, Rubiños, że patrzy pan oczami nostalgii. Mogę pana jednak zapewnić, że światła u naszych stóp to Rzym,

Zwróciłem głowę ku zanurzonemu w posepnym mroku miastu i zrozumiałem, że komuś, kto nie zna Rzymu na pamięć, tak jak ja, jego zarysy mogą się wydać obce. Kłopot Rubiñosa polegał na tym, że nie miał czasu poznać Wiecznego Miasta za dnia, dlatego nie zdążył się z nim oswoić.

- Nawet czuję zapach owoców morza - dodał tęsknie.

- Od jak dawna jest pan w Rzymie? - zapytałem.

- W zeszłym tygodniu upłynęło dziesięć miesięcy.

- A ile nocnych dyżurów zaliczył pan w tym czasie?

- Uf, tyle, że zmieniły mi się nawet pory snu.

- No i mamy źródło pańskich omamów.

- Tak pan sądzi?

- Nocne życie nie pozostaje bez wpływu na nasze poczucie rzeczywistości, tracimy bowiem perspektywę. Świat jawi nam się niczym ściana mroku, dlatego, chcąc nie chcąc, musimy wypełnić ją za pomocą wyobraźni. A ponieważ rzadko opuszcza pan akademię i prawie nie ma wspomnień z Rzymu, przywołuje pan znajome obrazy i zapachy. Pan po prostu wyświetla na tle cieni własny film.

- Tak, tak, święta prawda, czuję się, jakbym oglądał film - przyznał Rubiños z otwartymi ustami.

Dla pogorszenia udręki owej nocy pełnej widm przyśnił mi się Smith. Stał przed grobem Keatsa, odwrócony do mnie plecami. Niczym litanie powtarzał epitafium wyryte na płycie: *Tutaj spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie*. Dotknąłem jego ramienia, by zwrócić na siebie uwagę, a wtedy odwrócił się i zobaczyłem, że nie ma ust, choć nadal słyszałem wyraźnie jego głos.

*Duch mój nazbyt jest słaby - śmiertelność mnie wgniata  
W ziemię swoim ciężarem jak niechętny jawie  
Sen; każda wizja trudów nadludzkich w wyprawie  
Ku szczytom wróży jedno: czeka mnie zatrata;  
Tak chory Orzeł w niebo wzrokiem tylko wzlata... <sup>3</sup>,*

...wyrecytował fragment poematu Keatsa. „Oszukał mnie pan, powiedział, że nie nam nie grozi, a tymczasem jest pan martwy”, czyniłem mu wymówki. „Każdy chce być inny, niż jest, każdy kryje w sobie wzburzoną duszę, dlatego życie może się okazać takie niebezpieczne”, odpowiedział. „Co pan chce przez to powiedzieć?”, zapytałem. Smith zmrużył oczy, unosząc w uśmiechu pulchne policzki, i dodał: „Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: Tak, było warto. A teraz niech pan nie traci przeze mnie więcej czasu i wraca do swych zajęć”.

Obudziłem się nagle zlany potem, jakbym od dobrej chwili uciekał w popłochu przed tymi widziadłami, i wystraszony, że koszmar może przeżyć samą śmierć.

Jednak to związek Montse z księciem Cimą Vivarinim, których spotkania były coraz częstsze, sprawił mi prawdziwy ból. W ciągu dwóch tygodni Montse porzuciła szpiegostwo dla kina dźwiękowego, kostiumów z flaneli, kolacji przy świecach i wieczornych spacerów po najromantyczniejszym mieście świata (wąskie rzymskie uliczki są wynikiem starań metropolii o obronę prywatności swych mieszkańców i gości). A ja mogłem tylko czytać z jej twarzy przebieg wydarzeń. Zdumiewające, jak wiele można się dowiedzieć o czymś nastroju z ruchu źrenic lub grymasu warg, nawet

---

<sup>3</sup> John Keats, *Na obejrzenie marmurów lorda Elgina*, przeł. Stanisław Barańczak.

jeśli osoba obserwowana próbuje ukryć swe uczucia. Tak było właśnie z Montse - dwoiła się i troiła, by nie dać po sobie poznać niepokoju, zdenerwowania, lęku. Czasami wystarczało drżenie jej podbródka, bardziej niż zwykle rozwarte płatki nosa lub oczy błyszczące niczym klejnoty. Wiedziałem, jak rozumieć te niewinne gesty. Były to wyraźne oznaki miłości, którą żyła.

Widywałem Montse tylko na śniadaniu (dzięki wstawiennictwu Junia zaczęła uczęszczać do biblioteki Pałacu Corsinich na kurs katalogowania, który wypełniał jej większość dnia), kiedy zdawała relację matce i doñi Julii z postępów swego związku. Co prawda robiła to nieświadomie - a przynajmniej w sposób zawoalowany - wyłuszczając im fabułę filmu, obejrzanego poprzedniego dnia w towarzystwie księcia. Do dzisiaj pamiętam kilka tytułów, głównie ze względu na melodramatyczne znaczenie, jaki miały dla mnie te filmy (zresztą były to najczęściej melodramaty). Jeden z nich to *Sotto la croce del sud* Guida Brignonego, traktujący o znaczeniu nieznanych doświadczeń oraz ich wpływie na rozwój duchowy. Tematyka pasowała jak ulał do Montse, która odkrywała właśnie zalety nowego życia, nie myśląc o jego ujemnych stronach. Randki z księciem były dla niej próbą inicjacyjną przed wstąpieniem w dorosłość. Następnie rozmowa przy śniadaniu koncentrowała się na ubraniu, jakie Montse powinna włożyć owego wieczoru. Pan Fábregas dotrzymał słowa i garderoba Montse wzbogaciła się o cztery lub pięć nowych kreacji, do których dodać należało kostiumy i sukienki użyczane jej przez pozostałe mieszkanki akademii. Jadalnię zalewały zniechęcające mi słowa: adria, alpaga, aplikacje, baskinka, batik, bufy, bureta, cache-nez, cardigan, cekiny, cloqué, crépe-chiffon, dekatyzacja, deseń, dewetyna... - i tak aż do zet. Korzystałem z tych chwil, by czytać jak z książki z twarzy Montse, która zaczynała się odprężyć, zmniejszała czujność, pewna, iż znalazła odpowiedź na pytania, które chwilę wcześniej nurtowały ją w skrytości serca.

Wobec takiego obrotu sprawy szukałem azylu na tarasie. Zachodziłem tam pół godziny przed zmrokiem, kiedy światło tramonto gasło, barwiąc miasto złotawymi refleksami, które po chwili ustępowały miejsca tęczy w odcieniach sepia, a następnie fioletu - jakby noc rodziła się, dusząc, a umierający dzień osaczał miasto w agonii. Lubilem patrzeć, jak Rzym rozplywa się na moich oczach niczym piękny sen, a kiedy był już tylko niewyraźnym widmowym zarysem, moje źrenice nadawały mu groźne oniryczne kształty. Wydawało się, że cienie wprawiają budynki w ruch: kościoły włąziły na okalające je murki, odległość między wieżami i kopułami zalewał mrok, tworząc jeden gigantyczny wykusz z czerni, wielka marmurowa bryła pomnika Wiktora Emanuela przeistaczała się w całun strasznej zjawy, a wzgórze Awentynu, Palatynu i Kapitolu - za dnia urzekające baszty wartownicze - stapały swe dziedzictwo świątyni i ruin z widnokretem, który zdawał się wykuty w kamieniu. W takich chwilach przychodziło mi na myśl, że prawdziwa tragedia Rzymu polega nie na byciu Wiecznym Miastem, ale na tym, że jest skazany na życie po wieczne czasy. Pisarze tacy jak Quevedo, Stendhal, Zola czy Ruben Dario opiewali jego dekadencję lub wieszczili jego rozkład, nieświadomi, że na Rzymie ciąży przekleństwo trwania - w lepszym czy gorszym stanie - na wieki w przestronnym świecie wspomnień.

Pewnego dnia stało się coś, co udowodniło Montse, że teren, po którym stąpa, nie jest tak pewny, jak sądziła. Doszedłem nawet do wniosku, że sama nie wiedziała, po czym stąpa.

Któregoś wieczoru, wyszedłszy na taras, zobaczyłem, że zajęła mój punkt obserwacyjny i stoi przy Rubiñosie, który w sposób nader abstrakcyjny próbuje jej wyjaśnić obsługę lornetki.

- Co robicie? - zapytałem.

- Panna Montse szuka jakiegoś okrętu zakotwiczonego na tamtym wzgórzu, panie stypendysto - pierwszy opowiedział Rubiños.

- Chcę namierzyć Awentyn, ale ten wynalazek to machina istic diabelska - rzuciła Montse, oddając lornetkę radiotelegrafiście.

- Proszę opowiedzieć mu o okręcie. Jeśli ktoś wie wszystko o widoku roztaczającym się z tego tarasu, to właśnie pan stypendysta - przekonywał ją Rubiños.

- To pewnie dyrdymały, historyjka, o której napomknął mi Junio.

- Jaka historyjka?

- Dzisiaj po południu zaprosił mnie na kawę, a potem zapytał, czy chcę z nim pójść na plac Kawalerów Maltańskich, do przeoratu zakonu. Miał dostarczyć tam jakieś dokumenty, bo członkowie zakonu gotują się podobno do podróży...

Na razie wszystko brzmiało normalnie.

- No i?

- Gdy stanęliśmy przed bramą, kazał mi zajrzeć przez dziurkę od klucza...

- ... i zobaczyłaś kopułę Bazyliki Świętego Piotra okoloną aleją cyprysową, niczym na widokówce - wszedłem jej w słowo.

- Skąd wiesz?

- Bo każdy gość lub mieszkaniec Rzymu zerknął choć raz przez to buco. Całość jest projektem Piranesiego. Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, to jedyne dzieło architektoniczne Piranesiego, którego prochy spoczywają w kościele Santa Maria del Priorato, wchodzącego w skład tego zespołu pałacowego.

- Oniemiałam na ten widok - przyznała Montse.

- O to właśnie chodziło Piranesiemu. Za pomocą efektu optycznego chciał pokonać odległość (a może należałoby raczej powiedzieć „przestrzeń”) dzielącą Awentyn od Bazyliki Świętego Piotra, tak by obserwator, zaglądnący przez dziurkę od klucza, miał wrażenie, że kopuła znajduje się tuż za ogrodem, a nie wiele kilometrów dalej - wyjaśniłem.

Montse przez kilka sekund rozważała moje wyjaśnienia, potem zapytała:

- A co powiesz o okręcie?

- O jakim okręcie?

- Widzę, że każdy w Rzymie zaglądał przez ową dziurkę od klucza, ale nikt nie słyszał o okręcie. Po wyjściu z pałacu Junio zapewnił mnie, że wzgórze, na którym stoi przeorat zakonu maltańskiego, to w rzeczywistości olbrzymi statek gotowy w każdej chwili wypłynąć do Ziemi Świętej. Nie dowierzałam mu, więc wymógł na mnie obietnicę, że zaraz po powrocie do akademii wyjdę na taras i przekonam się na własne oczy, że południowe zbocze wzgórza zostało ścięte w kształcie wielkiej litery V, by służyło za dziób.

- Okręt potrzebuje czegoś więcej niż tylko dziobu, by wypłynąć w morze - zauważyłem.

- Wiem. Brama willi kawalerów maltańskich jest ponoć wejściem na pokład, labiryntowe ogrody to zwoje takielunku, murki okalające ogród tworzą kasztel, a zdobiące plac posągi - maszty.

- I uwierzyłaś w tę bajeczkę?

- No tak, dusza z ciebie iście kartezyjska - zarzuciła mi.

- Za to Junio kupczy snami - przystąpiłem do kontraktu.

- Ustawiłem ostrość na Awentyn - przerwał nam Rubiños.

Montse bezczelnie wyrwała mu lornetkę.

- Nie do wiary, zespół pałacowy rzeczywiście przypomina okręt! - wykrzyknęła.

- Niech spojrzę.

Przez szkła powiększające nie zobaczyłem nic prócz kilku budynków zwisających ze zbocza awentyńskiego oraz drzew, żywoplotów i wypielęgowanych ogrodów.

- Faktycznie, jak statek, choć nic nie wskazuje na to, by miał wypłynąć już tej nocy. Możesz spać spokojnie, twój książę nie ucieknie przed nadejściem przyływu, czyli za jakieś dziesięć tysięcy lat - pokpiwałem.

- Bardzo śmieszne.

W końcu przyszła kolej na Rubiñosa:

- A mnie to przypomina parafię galisyjską, ale taką, gdzie się nie szczędzi na tace, a wszystko przez te marmury.

Dobrą chwilę zajęło mi przekonanie Montse, że Rzym to mieszanka wielu różnych miast (cesarskiego, średniowiecznego, renesansowego, barokowego,



neoklasycznego i Rzymu Mussoliniego, ale także Rzymu naziemnego oraz tego istniejącego pod jego ulicami i alejami, Rzymu grzesznego i Rzymu zbawionego, bogatego i biednego, żywego i ekshumowanego na podobieństwo trupa), z których jedno, a mianowicie Rzym „perspektywy”, uwielbia barokową skłonność do oszustw i sztuczek. To Rzym pałacu Spada, fałszywej kopuły kościoła św. Ignacego Loyoli, wzgórza Testaccio (usypanego ze skorup amfor po winie i oliwie z dawnego portu), piramidy Cestiusza i egipskich obelisków, czyli zabytków niestosownych w stolicy chrześcijaństwa, jednym słowem Rzym figli Piranesiego.

Już myślałem, że udało mi się przekonać Montse, gdy Rubiños odciął się od moich wywodów:

- No i proszę, nie tylko ja widzę stąd dziwne rzeczy - zauważył. - Wszystko dlatego, panie stypendysto, że niektóre rzeczy istnieją, choć są niezauważalne. Dam panu przykład. Pewnego razu, gdy spacerowałem boso po plaży w mojej rodzinnej Galicji, poczułem raptem silne ukłucie w podeszwie prawej stopy. Nachyliłem się w poszukiwaniu szkła, lecz nic nie znalazłem. Ból się jednak nasilał, więc przestraszony zacząłem rozgrzebywać piasek. No i zobaczyłem zakopaną rybę, ostrosza, wiperę lub żmijkę, różnie ją zwą, która w płetwie piersiowej i grzbietowej gromadzi silną truciznę, a na czas odpływu zagrzebuje się na dnie. Tak więc na plaży była ryba, choć niewidoczna. Może to samo dotyczy okrętu panienki.

Przypomniałem sobie metaforę wiosłującego pod prąd okrętu, używaną przez sekretarza Olarrę w odniesieniu do akademii, i pomyślałem, że może naprawdę jesteśmy dryfującym okrętem. Tak, być może właśnie tak widział akademię ktoś, kto obserwował nas przez lornetkę z Awentynu - niczym statek przemierzający niebo Rzymu.

## 14

Trzy tygodnie później Junio zaprosił Montse na zwiedzanie Biblioteki Watykańskiej, a ja, w obawie, że skorzysta z okazji, by wykraść Mapę Stworzyciela, wprosiłem się do towarzystwa. O dziwo, Junio nie tylko się nie sprzeciwił, ale nawet przysłał po nas samochód do akademii.

Gabor powitał nas uśmiechem osoby wielce z siebie zadowolonej. Zacząłem nawet podejrzewać, że wie o zdarzeniach na cmentarzu protestanckim i że to moja osoba nastraja go tak radośnie. Pomyślałem, że to on zamordował Smitha. Tak, teraz wszystko wydawało się jasne: na pewno był równie wytrawnym szoferem, co mordercą i gdyby zaszła potrzeba, mógłby równie dobrze kogoś pobić lub torturować. Brał na siebie mokrą robotę, podczas gdy książę wymigiwał się od odpowiedzialności i

czytał wiersze Byrona, by następnie, w dowód nadzwyczajnej wrażliwości, recytować na uszko damom w modnych kawiarenkach:

*Oto epoka wynalazków świeżych  
Do zabijania ciał, zbawiania dusz,  
Która z intencją najlepszą się szerzy*<sup>4</sup>.

- Księżę czeka przy wejściu do Biblioteki Watykańskiej - poinformował nas Gabor.

Przejechaliśmy całe Gianicolo, przecięliśmy plac Świętego Piotra i objechaliśmy mury Leona IV, by w końcu zatrzymać się przed bramą Ingresso di Santa Anna.

- Proszę wejść w tę uliczkę i skierować się ku ulicy Belvedere. Tam właśnie oczekuje księżę - poinstruował nas szofer.

Rzeczywiście, Junio stał przy wejściu na Cortile di Belvedere w towarzystwie mężczyzny z krucyfiksem na szyi. Gawędzili swobodnie jak dobrzy znajomi. Wbrew przekonaniu, że spojrzawszy księciu w oczy, dowiem się, czy jest zamieszany w śmierć Smitha - zupełnie jakby morderstwo zostawiało widoczny ślad lub plamę - nic szczególnego w nich nie wyczytałem. Junio zachowywał się jak zwykle. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak bardzo wstrząsnęła mną śmierć Smitha i że moje podejrzenia biorą się z zazdrości.

- Montserrat, José María, poznajcie ojca Giordana Sansovina. Ojczę, to właśnie moi hiszpańscy znajomi - przedstawił nas Junio.

Po ceremonialnych uściskach dłoni duchowny powiedział:

- Ubolewam nad tym, co dzieje się w państwa ojczyźnie. To niczym otwarta rana w sercu katolicyzmu.

I przeżegnał się.

Był to mężczyzna o poważnej, wychudzonej twarzy, zapadłych oczach i grubych brwiach. Choć nie miał sutanny ani koloratki, jego ubiór był bardzo surowy. Ilekroć myślę o ojcu Sansovinie, przypominam sobie, jak po wyjściu z biblioteki Junio wyjawiał nam, że jego znajomy należy do watykańskiej komórki kontrwywiadowczej, utworzonej na początku wieku przez kardynała Merry'ego del Val na polecenie Piusa X, i że swego czasu był członkiem niejakiego Russicum - wydziału szkolącego duchownych przetrzucanych do Związku Radzieckiego w celach szpiegowskich. Junio opowiedział nam to wszystko z rozbijającą szczerością, jakby wyjawienie tajemnicy takiego formatu nie miało najmniejszego znaczenia.

---

<sup>4</sup> *Przeł Jacek Woźniakowski.*

- Studiowaliśmy razem w Szkole Paleografii i Dyplomacji założonej przez papieża Leona XIII. Obecnie Giordano jest jednym ze *scriptores* w Bibliotece Watykańskiej i będzie dzisiaj naszym cicerone - wyjaśnił Junio po powitaniach.

- Wyłącznie cicerone. Nie zamierzam tracić popołudnia na dyskusje o banialukach - dorzucił duchowny.

- Od godziny staram się dowiedzieć, gdzie przechowywana jest Mapa Stworzyciela, wspomniana w książce, którą od was nabyłem, ale Giordano nie puszcza pary z ust - wyjaśnił Junio.

Do dzisiaj zastanawiam się, co książkę chciał osiągnąć taką otwartością, demaskując siebie i swego rozmówcę. Czasem myślę, że jego zachowanie wynikało z euforii, którą żyły naówczas zwycięskie zastępy włoskich faszystów. Trudno się dziwić, skoro Watykan zawdzięczał swe istnienie ruchowi faszystowskiemu, a Stolica Piotrowa nie miała już tylko jednego Boga - teraz musiała czcić również Mussoliniego. Być może dlatego Junio i jemu podobni puszyli się tu jak we własnym domu, czuli się niczym bogowie w swych świątyniach i uważali, że mają prawo żądać od Stolicy Apostolskiej daniny. Choć złośliwcy twierdzili, że podpisując w 1929 roku traktaty laterańskie przyznające Watykanowi niepodległość, Mussolini chciał mieć pod kluczem i na oku „czarne karaluchy”, jak faszyci pogardliwie określali członków kurii papieskiej.

- Tysiąc razy ci mówiłem, że taka mapa nie istnieje, a nawet gdyby istniała i znajdowała się właśnie tutaj, byłaby nieskatalogowana - odpierał ataki ojciec Sansovino.

- Czy aby nie ze względu na jej tajny charakter? - zasugerował Junio, nic sobie nie robiąc z usiłowań rozmówcy, by zmienić temat.

- Bynajmniej. Po prostu w bibliotece znajduje się ponad półtora miliona woluminów, sto pięćdziesiąt tysięcy manuskryptów, tyleż map oraz sześćdziesiąt tysięcy kodeksów podzielonych na trzydzieści różnych księgozbiorów. Do dzisiaj znamy treść tylko około pięciu tysięcy z nich, mimo że katalogujemy je od 1902 roku. Jedna osoba może opracować najwyżej dziesięć rocznie. Odczytanie, weryfikacja i systematyzacja ich treści jest bardzo czasochłonna, dlatego upłynie jeszcze wiek, zanim dowiemy się, co naprawdę kryje Biblioteka Watykańska. Zresztą rok w rok dokonujemy jakiegoś odkrycia, przypomnę chociażby o IV księdze *De Re Publica* Cycerona, ale szczerze wątpię, byśmy natrafili na mapę narysowaną przez... Boga. To byłoby...

Ojciec Sansovino przeżegnał się ponownie.

- Skoro Bóg przekazał Mojżeszowi tablice z dziesięcioma przykazaniami, dlaczego niby nie miałyby sporządzić mapy świata? - argumentował Junio.

- Bo nigdzie nie wspomniano o takiej mapie.

- Owszem, jest o niej wzmianka w *editio princeps* Pierusa Valerianusa oraz w korespondencji malarza Josepha Severna i poety Johna Keatsa.

- Zapewniam cię, że czytałem listy Johna Keatsa i nie ma w nich mowy o takiej mapie.

- Keats nie wiedział, z czym ma do czynienia, podobnie zresztą jak Severn. Dlatego po śmierci poety Kościół pod pretekstem zapobieżenia epidemii zarekwirował mapę i spalił listy, w których wspomina się o papirusie kupionym przez Severna na cmentarzu protestanckim. Coś mi mówi, że ukryto go w tutejszych Tajnych Archiwach.

Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę nie Junia, ale Smitha.

- Bzdura! Tajne Archiwa stworzono do przechowywania oficjalnych dokumentów, a nie do ukrywania czegokolwiek.

- Wszystkim wiadomo, że w Tajnych Archiwach Watykańskich istnieje tajne archiwum. Zastanawiam się, dlaczego nie ujawniliście ani jednego dokumentu z tych przechowywanych tam na dole.

- Zapewne dlatego, że Watykan istnieje jako państwo zaledwie osiem i pół roku. Czy ośmioletnie dziecko może mieć do ukrycia ważne tajemnice? Co najwyżej kilka niewinnych grzeszków.

Junio zaśmiał się gromko i przystąpił do kolejnego ataku:

- Racja, Państwo Watykańskie powstało całkiem niedawno, jednak Kościół istnieje od ponad tysiąca dziewięciuset lat, a swe przetrwanie zawdzięcza w dużej mierze kontroli informacji na temat własnych działań oraz działań wrogów. Pod tym względem Watykan nie różni się od innych krajów, wasze państewko stoi na wielkiej mrocznej i ponurej piwnicy, gdzie trafia wszystko to, co ze względu na przyzwoitość lub wasze interesy nie powinno ujrzeć światła dziennego tak drogiego każdemu czystemu sumieniu. Jeśli mam was do kogoś porównać, to na pewno nie do niewinnego ośmiolatka, prędzej do samego czarta.

W tym miejscu przyjaźń ustąpiła miejsca wyraźnej urazie.

- Niekiedy odnoszę wrażenie, że jesteś wszystkim, tylko nie badaczem. Choć niewątpliwie polityka ma wiele wspólnego ze zmianą, jaka w tobie nastąpiła. Przecież wiesz dobrze, że większość zbiorów Tajnych Archiwów przepadłaby w świetle dziennym. Niektórych woluminów i pergaminów nie można nawet otworzyć bez ryzyka, że ulegną bezpowrotnemu zniszczeniu. Ujawnienie tekstu to jedno, a wyciągnięcie go na światło dzienne to coś zupełnie innego. Sumienie nie ma tu nic do rzeczy.

- Dlatego Tajne Archiwa to idealna kryjówka dla „osobliwych” dokumentów, takich jak Mapa Stworzyciela. Jeśli ty nie chcesz pójść mi na rękę, może zrobi to inny *scriptor*.

Aluzja Junia, że zamyśla przekupić któregoś z bibliotekarzy, nie wyczerpała cierpliwości kapłana. Wręcz przeciwnie, odezwał się na pozór uprzejmie:

- Lepiej wejdźmy, bo inaczej twoi znajomi zanudzą się na śmierć.

- Skądże, mnie rozmowa ta wydaje się pasjonująca - wtrąciła się Montse.

- To nic w porównaniu ze skarbami, które kryją się za tymi murami. Proszę za mną - rzucił duchowny.

Choć Junio, Montse a nawet sam ojciec Sansovino nie zwrócili na to być może uwagi, pierwszym skarbem Biblioteki Watykańskiej była sama jej siedziba - dzieło architekta Domenica Fontany, który stworzył podwaliny nowożytnego Rzymu. Weszliśmy po schodach między dziedzińcami Belvedere i Pigna a po przejściu wielu korytarzy i pomieszczeń, które doprowadziły nas do Dziedzińca Papug, znaleźliśmy się w dawnym pałacu papieża Mikołaja V - pierwotnej siedzibie biblioteki. Składała się z czterech obszernych sal różnej wielkości, gdzie uwagę zwracały gęsto pokrywające ściany freski Melozza da Forli, Antoniazza Romana oraz Domenica i Davide Ghirlandaio. Stamtąd kontynuowaliśmy wędrówkę aż do przedsionka Sali Sykstusa V, gdzie oparci o ściany, mogliśmy podziwiać przepiękne inkrustowane pulpity - dzieło Giovannina de Doki, budowniczego Kaplicy Sykstyńskiej. Inkrustacje przedstawiały dawne szafy biblioteczne z uchylonymi drzwiczkami, a w środku - ułożone poziomo (zgodnie z ówczesnym zwyczajem) książki. Dreszcz emocji przejmował na myśl, że przy pulpitych tych zasiadali artyści tacy jak Rafael czy Bramante. Kolejnym punktem zwiedzania były krużganki i olbrzymia Sala Sykstusa, licząca ponad sześćdziesiąt metrów długości i piętnaście szerokości. Zdumiewała tu równowaga zachowana między architekturą i dekoracją, mimo przewagi stylu manierystycznego.

- W tych drewnianych szafach pod ścianami przechowywano dawniej rękopisy, ale w czasach Pawła V, czyli na początku XVII wieku, postanowiono przenieść dokumenty do sąsiedniego budynku. Właśnie wtedy powstały znane wszystkim dobrze Tajne Archiwa - wyjaśnił ojciec Sansovino. - Tyle że, ma się rozumieć, nie stworzono ich, by cokolwiek ukrywać; po prostu w wieku XVII zbiory watykańskie znacznie się powiększyły, między innymi o bibliotekę pałacową Heidelbergu, manuskrypty księstwa Urbino i księgozbiór szwedzkiej królowej Krystyny, wobec czego należało wygospodarować więcej miejsca.

Minęliśmy kolejne sale o sklepieniach pokrytych freskami przedstawiającymi na przykład przeniesienie egipskiego obelisku na plac Świętego Piotra - nadzorowane przez samego Fontanę, który temu zleceniu zawdzięcza przydomek „Pana Obelisku”. Na koniec dotarliśmy do czytelnicy. Pierwsza i największa sala, nazwana Salą Leona na cześć papieża Leona XIII, który zmodernizował bibliotekę i którego kamienna

podobizna zajmowała tu honorowe miejsce, składała się z dwóch naw dwupiętrowych - z jednej z nich roztaczał się widok na okazałą kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Następnie przeszliśmy przez bibliotekę Cicognara, ze starymi woluminami oraz książkami o sztuce, i przez gabinet numizmatyczny, kończąc zwiedzanie w Sali Manoscritti - średnich rozmiarów pomieszczeniu zastawionym długimi stołami z pulpitemi o nieskazitelnie białych ścianach upodabniających to miejsce do schludnego warsztatu rzemieślniczego. Tuzin badaczy o żadnym wiedzy spojrzeniu, uzbrojonych w lupy i rękawiczki, mozolnie wczytywało się w dokumenty pod czujnym okiem *scriptores*. Słychać było tylko szelest kartek, których ruchowi, niczym skrzydłom olbrzymiego motyla, towarzyszył wzbijany w powietrze obłoczek pyłu. Sala manuskryptów tchnęła subtelnym pięknem; nie mniej interesujące było jednak to, co kryło się wewnątrz biblioteki. I nic dziwnego, skoro mowa o „bibliotece bibliotek”, jak zwykli nazywać ją specjaliści - największym na świecie ośrodku dokumentacji historycznej. Tu właśnie przechowywano sławny Kodeks B (Biblię, którą Konstantyn przekazał w prezencie głównym bazylikom po soborze nicejskim w roku 325 i po swym nawróceniu), rękopisy Michała Anioła, Petrarki, Dantego i Boccaccia, teksty Cycerona, listy Lukrecji Borgii do ojca, papieża Aleksandra VI, oraz Henryka VIII do Anny Boleyn, epistoły cesarza Justyniana i Marcina Lutera, a także niezliczone kodeksy arabskie, greckie, hebrajskie, łacińskie, perskie i tak dalej, i tak dalej.

- Kluczami strzegącymi tych skarbów są roztropność, umiarkowanie i mądrość. A teraz pokażę wam dwanaście kilometrów nowych stalowych regałów, które polecił niedawno zamontować Ojciec Święty - rzekł ojciec Sansovino.

- Dwanaście kilometrów! - wykrzyknęła Montse.

- Do których dodać należy trzynaście dotychczasowych, co daje razem dwadzieścia pięć kilometrów, i nie wliczam w to Tajnych Archiwów. Biblioteka i Tajne Archiwa mają w sumie jakieś pięćdziesiąt kilometrów półek z książkami. A zapewniam was, że i to nie wystarcza, by pomieścić wszystkie zbiory.

- Przed wstąpieniem do zakonu Pius XI był bibliotekarzem - wtrącił Junio. - Dlatego posłał wykwalifikowanych duchownych bibliotekoznawców do Waszyngtonu, aby zapoznali się z technikami klasyfikacji stosowanymi w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Przypomniałem sobie, że sekretarz Olarra tłumaczy właśnie z języka Szekspira na hiszpański podręcznik zasad katalogowania Biblioteki Watykańskiej.

- Obowiązuje tu tylko jedna zasada: Nie dotykać - przestrzegł nas ojciec Sansovino.

Wchodząc w ten labirynt półek uginających się od woluminów, poczułem, że zapuszczam się w świat tajemniczy, a zarazem groźny. Czy to przez mrok, czy też brak świeżego powietrza, wkrótce doznałem tego samego wrażenia, które oszołomiło mnie podczas zwiedzania katakumb świętego Kaliksta na Via Appia - wszystkie korytarze wydawały się takie same, wszystkie półki, splecione w rzędy nieskończonych nisz,

były identyczne. Tutaj również pachniało wilgocią. Zacząłem się zastanawiać, co ja tu robię, drepcząc za ojcem Sansovinem i księciem Cimą Vivarinim, który po wstępnym rozpoznaniu był już gotowy do kolejnego natarcia:

- Tu nie ma nic ciekawego! Tylko książki i książki! - zaczął się zżymać.

- A co innego chciałeś znaleźć w bibliotece? - ofuknął go duchowny.

- Sekrety, Giordano, chcemy sekretów! - wykrzyknął ponownie książę.

- Zajrzyjmy teraz do „kliniki”, jednego z najważniejszych miejsc w bibliotece - bibliotekarz puścił mimo uszu protesty przyjaciela. - Choć trudno w to uwierzyć, oprócz brudu, uszkodzeń mechanicznych, mikroobów, insektów oraz partactwa poprzednich konserwatorów, największym wrogiem książek jest wilgoć. Jeśli przekracza pięćdziesiąt pięć procent - źle, jeśli temperatura spada poniżej osiemnastu lub podnosi się powyżej dwudziestu jeden stopni - jeszcze gorzej. Sami widzicie, okazuje się, że najbardziej szkodzi książkom sama biblioteka.

Właśnie przyglądaliśmy się różnym odmianom tuszów i klejów, technikom pozłoty oraz różnym narzędziom używanym przez konserwatorów książek, gdy książę oznajmił:

- Jestem gotowy zapłacić ci za mapę dwieście pięćdziesiąt tysięcy lirów.

W pierwszej chwili uznałem to za czcze przechwałki, ale wystarczyło spojrzeć na twarz Junia, by zrozumieć, że mówi poważnie i chce wypróbować bibliotekarza.

- Widzę, że tutejszy zaduch zmałował ci zmysły - skwitował ojciec Sansovino.

- Racja, chyba tracę głowę. Podnoszę stawkę do pół miliona.

Oferta księcia w rzeczy samej graniczyła z absurdem.

- Dość tego, Junio, dograłeś się. Moja cierpliwość ma swe granice. Wracamy na górę - rzucił z rezygnacją kapłan.

- Montse i José Maria są świadkami, że próbowałem przekonać cię po dobroci. Wyłącznie ty odpowiadasz za to, co może się teraz wydarzyć - przestrzegł go Junio.

- Czy moja odpowiedzialność będzie mniejsza, jeśli dam się „przekonać” twoimi liram? Nie, nie dopniesz swego, Junio. Nigdy.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale chciałbym pracować z tobą ręka w rękę.

- Współpraca z tobą oznaczałaby współpracę z Mussolinim albo, co gorsza, z jego chlebobawcą Hitlerem. - A ja winien jestem posłuszeństwo wyłącznie Ojcu Świętemu, pasterzowi Kościoła naszego Pana Jezusa Chrystusa.

- Nie proszę, byś odwrócił się od Chrystusa. Ale podobnie jak istnieje władza niebieska, istnieje również władza ziemską, bliższą i bardziej prozaiczną, którą

dzierżyć musi mocna ręka człowieka. Pomyśl tylko, co wyczyniają komuniści w Rosji, a zrozumiesz, że Bogu grozi zagłada, podobnie jak naszej cywilizacji. Czy aby nie sam Pius XI powiedział, że komunizm jest zły w samej swej istocie, podkopuje bowiem ludzkie, boskie, racjonalne i naturalne fundamenty życia i aby przetrwać, musi się utwierdzać w despotyzmie, okrucieństwie, groźbie bicia i więzienia?

- Owszem, to właśnie powiedział, ale mogę cię zapewnić, że jego opinia o nazizmie jest całkiem podobna. Nie, mój drogi, wiara, a tym samym Kościół, nie są zagrożone, w przeciwieństwie do ideologii, w końcu w polityce liczy się tylko łut szczęścia. Czy ktokolwiek wierzy, że Trzecia Rzesza będzie istnieć tysiąc lat, jak wieszczą jej przywódcy? Zapewniam cię, że Historia nie zna wiecznej władzy z wyjątkiem rządów Boga, dawcy wszelkiej władzy. Wieczność nie należy do człowieka, ani nawet do jego duszy. I nie myśl, że to moje słowa, dawno już zostały one spisane, a Historia dowiodła ich słuszności. Dlatego sądzę, że ulegasz politycznemu uniesieniu, które opanowało świat niczym pierwsza lepsza moda. Teraz żyjesz zamroczony euforią, lecz gdy tylko ona opadnie, znów oślepi cię światło rzeczywistości.

- Może i masz rację, ale Kościół również nie przetrwa tego tysiąclecia, jeśli komunizm rozpełźnie się po Europie. Moja propozycja pozostaje w każdym razie aktualna - nie dawał za wygraną Junio.

I tak, w sposób gwałtowny i w podminowanej atmosferze, dobiegła końca nasza wizyta w Bibliotece Watykańskiej. Ale nawet osoba niezbyt spostrzegawcza domyśliłaby się, że Junio i ojciec Sansovino dopełniali się mimo różnicy zdań. To samo dotyczyło Junia i Montse, a także Montse i mnie. Potrzebowaliśmy się nawzajem, byliśmy ogniwami jednego łańcucha, choć nasze potrzeby i poglądy były różne. Poeta Hölderlin powiedział: *Gdzie niebezpieczeństwo, tam i wybawienie*<sup>5</sup>, dlatego przeciwieństwa mogą się z czasem zetknąć, a nawet upodobnić.

---

<sup>5</sup> Friedrich Hölderlin, *Patmos*, przeł. Antoni Libera.



Dwudziestego czwartego grudnia na polecenie sekretarza Olarry udaliśmy się na wspólną pasterkę do kościoła Matki Boskiej z Montserrat położonego przy ulicy Monserrato. Świątynia, zbudowana przez papieża Aleksandra VI na miejscu hospicjum dla katalońskich pielgrzymów, od XVII stulecia była punktem spotkań Hiszpanów osiadłych w Rzymie. Wszystkie hiszpańskie święta otrzymywały tu religijną oprawę. Schody przed kościołem były miejscem wymiany informacji: osoby świeżo przybyłe zza Pirenejów dzieliły się tu z rodakami nowinami, a wyjeżdżającym można było podać list, wiadomość lub przekazać pozdrowienia dla rodziny i przyjaciół.

- Książę! Tak się cieszę, że pana widzę! Ale dlaczego wystaje pan na takim zimnie? Proszę do środka, serdecznie zapraszamy - powitał Junia pan Fâbregas.

Książę, którego obecność na pasterce była dla wszystkich niespodzianką, wykręcił się odpowiedzią wzbudzającą powszechne zdumienie:

- Bardzo dziękuję, panie Fâbregas, ale czekam na króla.

- Króla Włoch? - zaciekawiał się pan Fâbregas, skonfundowany, a jednocześnie wniebowzięty na wieść, że sam Wiktor Emanuel III weźmie udział w pasterce.

- Nie, na waszego monarchę, króla Hiszpanii.

Pan Fâbregas nie wziął pod uwagę, że dla arystokraty król pozostaje królem, nawet jeśli, jak Alfons XIII, musiał umknąć z ojczyzny goły jak święty turecki.

- W takim razie do zobaczenia po mszy. Z przyjemnością uścisknę dłoń monarsze - dodał pan Fâbregas z nutką poufałości w głosie.

Jeszcze tej samej nocy książę zdradził Montse, że zjawił się pod kościołem na osobisty rozkaz duce, którego Alfons XIII poprosił o pomoc w odzyskaniu tronu. Mussolini, mimo że wspierał materialnie działalność polityczną falangistów, wolał na wszelki wypadek - nigdy nie wiadomo, co zgotuje przyszłość... - zachować dobre stosunki z hiszpańską rodziną królewską, a w tych sprawach trudno o lepszego pośrednika niż książę z czarnych koszul.

Pięć minut po wypełnieniu się kościoła wkroczył król w towarzystwie małżonki, dzieci oraz dziennikarza Cesara Gonzaleza-Ruana, który towarzyszył monarsze na wygnaniu jako reportażysta.

Modlitwy za poległych przeciągnęły się dłużej niż homilia. Odmawialiśmy je niemal przez całą mszę. Modliliśmy się za szesnastu biskupów osądzonych i straconych w trybie doraźnym, za siedmiu innych, którzy zaginęli bez śladu, za pięć tysięcy ośmiuset zabitych zakonników i zakonnice, sześć i pół tysiąca bestialsko

zamordowanych księży oraz dziesiątki tysięcy ofiar cywilnych. Słowem nie wspomniano natomiast o kapłanach z prowincji Guipúzcoa i Vizcaya, których Franco nakazał rozstrzelać za probaskijskie poglądy, ani o cywilach poległych po drugiej stronie frontu. Brakowało tylko modłów, by zdetronizowany monarcha o smętnym, woskowym jak gromnica obliczu, zasiadający w pierwszym rzędzie, odzyskał koronę utraconą w powszechnych wyborach. Ponoć Alfons XIII upadł na duchu, bo na obczyźnie jego rozrywki ograniczały się wyłącznie do brydża i kobiet. Gra w karty nie była mocną stroną monarchy, czym budził politowanie osób zmuszonych go oskubać, za to wszyscy zgodnie twierdzili, że jego wysokość jest prawdziwym buhajem - w Hiszpanii lista jego kochanek nie miała końca. Ale sytuacja uległa radykalnej zmianie po przyjeździe króla do Rzymu. Teraz musiał swawolić z damami w swoim pokoju hotelowym, na dodatek stres związany z wygnaniem zaostrzył jego przewlekły halitosis, wobec czego niewiasty zaczęły się od niego odsuwać. W ten właśnie sposób pod wpływem ogólnego przekonania, że Burbon bez kochanic to tylko pół Burbona, król został najpierw uznany za fanfaron, potem za pechowca, aż w końcu Włosi na wzmiankę o nim odpukiwali w niemalowane. Junio i w tym przypadku różnił się od swych *connazionali*, nie wzbraniał się bowiem przed zajęciem miejsca u boku króla, zaraz po jego lewicy, a nawet podał mu rękę, gdy don Alfonso uklęknął po komunii.

Po pasterce stanąłem przed kościołem obok grupki Hiszpanów (z sekretarzem Olarrą oraz rodziną Fâbregas w komplecie), którzy chcieli złożyć monarsze życzenia świąteczne. Do dzisiaj pamiętam słowa, które don Alfonso skierował do Cesara Gonzaleza-Ruana po wyjściu ze świątyni:

- Nie rozumiem, jak można narzekać na hotele. Są wygodniejsze od pałaców królewskich.

Po raz pierwszy i ostatni słyszałem wtedy don Alfonsa. Osobliwy ton jego głosu sprawił, że w duchu przyznałem rację Jose Marii Carreterowi, posługującemu się pseudonimem „Zuchwały Rycerz”, który w jakimś dzienniku pisał, nawiązując do koczowniczego życia króla: *Wydawało się, że jego dusza usiłuje czym prędzej oddalić się od przeszłości, która szła za nim krok w krok...* Z bliska z twarzy don Alfonsa wyczytać można było ślad wszystkich epitetów, jakimi obdarzali go kronikarze i historycy: król polemiczny, król dziwak, król wiarołomca, król zdrajca, król oczerniony, król karlista, król patriota. Nie wiem, który z nich najlepiej pasował do niego oraz do jego czynów, byłem jednak pewien, że choć don Alfonso opuścił Hiszpanię, tłumacząc, iż woli uniknąć rozlewu krwi, w rzeczywistości uciekał, bo nie miał poparcia wojsk które pozwoliłyby mu rozlać krew i utrzymać się na tronie.

Po latach zrozumiałem, że César González-Ruano, pisząc, iż *śmierć polega czasem na utracie zwyczaju życia*, ma na myśli Alfonsa XIII, który już wtedy, w Boże Narodzenie 1937 roku stracił ochotę do życia, przeczuwając być może, że przyjdzie mu umrzeć w pokoju hotelowym, choćby najwygodniejszym, a jego kości spoczną w kościele, który właśnie opuszczał.

Ale tamta wigilijna noc zarezerwowała dla mnie jeszcze jedną niespodziankę. Gdy wraz z Rubiñosem piąłem się ulicą Garibaldiego ku akademii, mój towarzysz oznajmił:

- Panie stypendysto, wracam do Hiszpanii.

- Odsyłają cię do domu? To wspaniale! Gratuluję! - wykrzyknąłem.

- Nie wracam do domu, panie stypendysto, jadę na front Zgłosiłem się na ochotnika.

- Na ochotnika, Rubiños? Mój znajomy z Hiszpanii zwykł mawiać, że na ochotnika warto zgłaszać się tylko do burdelu.

- Miał pan rację. Nie mogę dalej żyć w tym mroku.

- Nigdy w niczym nie miałem racji, Rubiños. Poza tym, kto mnie teraz nazwie półgłówkiem, gdy wyjdę na taras, by niczym ostatnia lebiega gapić się na widoki?

- Miałem kuzyna w Barcelonie. Księdza. Właśnie znaleziono jego zwłoki z krzyżem wbitym w szczękę.

- Przykro mi.

- To mnie jest przykro, że utknąłem w tym mieście dewotek i wyperfumowanych facetów. W obawie przed skandalem dyplomatycznym Olarra ocenzuował wiadomość, że Włochów wysłanych do Hiszpanii trzeba gnać na front bagnietami, bo gdy tylko usłyszą świst kul, robią w portki. Słyszał pan o wydarzeniach w Guadalajarze? Olarra wolał je przemilczeć, więc ja panu powiem. Po klęsce na polu bitwy oddziały włoskie rozpierzchły się w popłochu, aż musiała się nimi zająć żandarmeria. Ostatecznie dziesięć tysięcy Włochów trafiło do obozu koncentracyjnego w Puerto de Santamaria: trzy tysiące z nich to dezertery, kolejne dwa tysiące zostało uznane za nieudaczników i odesłane do Włoch. Tymczasem tym, którzy chcą przelać krew za Hiszpanię, każą zażywać kąpeli słonecznych na rzymskim tarasie.

Rubiños zakończył przemowę i splunął symbolicznie pod nogi.

- Pan również narobiłby w portki, gdyby kazano mu walczyć za obcy kraj. Dobrze, Rubiños, jeśli chce pan sobie postrzelać, droga wolna, proszę tylko nie mówić, że to ja podsunąłem panu ten pomysł, bo gdyby się coś stało, czułbym się...

- Proszę się nie martwić, panie stypendysto, nie pan podsunął mi ten pomysł. Jestem człowiekiem czynu, nie pomysłów. Na pocieszenie mogę mu zresztą powiedzieć, że i pan przypomina mi wyperfumowanego Włocha.

Wzgarda Rubiñosa wróciła mi spokój ducha.

- Na dowód, że nie zżymam się bez powodu, proszę tylko spojrzeć, jak mnie dzisiaj zaciął balwierz - ciągnął mój towarzysz. - Kazałem ostrzec się na zero i

porządnie ogolić, tak po prostu, a on zaczyna masować mi włosy i brodę, wcierać w twarz jakieś pomady, perfumować i pudrować. Aż mi się niedobrze zrobiło. Zacząłem się trząść ze złości i szast! - dostałem brzytwą po policzku.

- W Rzymie nazywają to *fare bella figura*, czyli poprawą wyglądu. Tutejsi balwierze mają się za artystów i chcą za wszelką cenę zrobić klienta na bóstwo.

- Gdyby hiszpańscy balwierze zajmowali się *fare bella figura*, jak pan mówi, skończyliby w więzieniu za wynaturzone zachowanie.

- A jeśli w Hiszpanii okaże się, że tęskni pan za Rzymem?

- Ani ja nie będę tęsknić za Rzymem, ani Rzym za mną. Mój stosunek do tego miasta przypomina mój związek z Marisma, moją pierwszą dziewczyną: patrzeć, ale, broń Boże, nie dotykać. Nie, nie zakochałem się w Rzymie, panie stypendysto, o to nie musi się pan martwić - odparł Rubiños.

- I kiedy pan wyjeżdża? - zapytałem.

- Wypływam z Ostii jutro po południu. Statek zawiezie mnie do Malagi, gdzie przyłączę się do oddziałów generała Queipo.

- Rozumiem.

Resztę drogi powrotnej odbyliśmy w milczeniu, pogrążeni w myślach, omijając tumany kurzu podobne do miniaturowych cyklonów. Na szczycie wzgórza Gianicolo chłodny podmuch z zachodu przypomniał mi o hulającym po świecie wichrze oblędu. Gdy złapaliśmy oddech, uścisnęliśmy się i życzyliśmy sobie szczęścia.

## 16

Dwudziestego szóstego grudnia administrator akademii Cesare Fontana opowiedział mi zawiłą historię. Ponoć Rubiños zostawił mu książkę, prosząc, by mi ją doręczył w tajemnicy (czyli bez wiedzy sekretarza Olarry), ja natomiast miałem ją oddać Montse po przeczytaniu liściku dołączonego do egzemplarza, który zresztą pochodził ze zbiorów akademii.

Administrator, mężczyzna całkiem żwawy, o chłodnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniu, zwykł używać górnolotnego języka, którego nauczył się od samego Olarry. Był okiem i uchem sekretarza w zagmatwanym i prozaicznym świecie spraw gospodarczych, choć zaczął nadużywać stanowiska i uzurpować sobie władzę godną królewiatka. Był odpowiedzialny za intendenturę i osoby potrzebujące dodatkowej żarówki lub nowego krzesła do gabinetu musiały wdawać się z nim w negocjacje. Kto

nie chciał pójść na ustępstwa, zostawał ukarany zwłoką. Rozmowa z administratorem oznaczała więc pertraktacje, w których każda strona próbowała wytargować jak najwięcej dla siebie.

- Czego żąda pan w zamian za milczenie? - zapytałem bez ogródek.

- Mówimy o książce zakazanej, dlatego będzie to pana kosztować dziesięć lirów.

- Jest pan złodziejem, don Cesare. Jeśli się nie mylę, w Akademii nie ma książek zakazanych - argumentowałem.

- Myli się pan. Wiele z nich pochodzi z czasów republikańskich, a w nowej Hiszpanii generała Franco książki republikańskie są zakazane - usłyszałem w odpowiedzi.

- Franco nie wygrał jeszcze wojny, więc nie miał okazji cegokolwiek zakazać - pouczyłem go.

- Racja, ale akademia wspiera narodową krucjatę, dlatego wszystko, co ma związek z republiką, cuchnie. Na własne uszy słyszałem, że sekretarz zamierza spalić książki czerwonych na stosie.

Nie chcąc przeciągać dyskusji, ugiąłem się przed szantażem. „Zakazana” książka okazała się *Buntem mas* don José Ortegi y Gasset. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

Pytanie brzmiało, skąd, u licha, książka ta znalazła się u Rubiñosa - człeka ugodowego i na pozór pozbawionego świadomości filozoficznej. Uznałem to za sprawkę Montse. Poszukałem listu, o którym wspomniał administrator. Była to ćwiartka papieru - wypełniona eleganckim pismem przypominającym pochod mrówek - o następującej treści:

*Panie stypendysto, przepraszam za uwagi, którymi uraczyłem Pana zeszłej nocy. Pan nie jest niczemu winien (mam na myśli moją decyzję) i nie zalatuje od Pana aż tak bardzo wodą kolońską (choć sugerowałem coś przeciwnego). Od wielu miesięcy staram się dojść do ładu z samym sobą, bo czasem nie rozumiem, dlaczego robię to, co robię. Próbowałem temu zaradzić, słuchając Radia Watykańskiego i gawędząc z Panem, ale kołowrót myśli nie dawał mi spokoju, zupełnie jak tasiemiec, który żywi się tym, co jedzą inni. Nie wiem, czy Pan rozumie, o czym mówię, choć w tym przypadku i tak liczą się czyny. Panna Montse zawsze wydawała mi się wcieleniem anioła, nigdy przedtem, słowo daję, nie spotkałem osoby równie dobrej i czytanej, dlatego pomyślałem, że może ona mi pomoże. Gdy się jej zwierzyłem, powiedziała, że mam problem natury egzystencjalnej (by nie wyjść na idiotę, nie przyznałem się, że nie wiem, co znaczy to słowo, zresztą - będę z Panem szczery - nadal nie wiem), po czym wręczyła mi tę książkę. Tak, właśnie tę, którą ma Pan teraz przed sobą. Podobno napisał ją bardzo ważny filozof, który powiedział: Ja to ja i moje okoliczności, i jeśli nie uratuję moich okoliczności, nie uratuję i siebie, co ma*

*niby oznaczać, że wszyscy jesteśmy uwarunkowani przez otaczający nas świat. Nie naśmiewam się z filozofii, bo nie mam wystarczająco tęgiego łba, ale moim zdaniem fakt, że pan filozof musi aż napisać książkę, by powiedzieć podobne głupstwo, woła o pomstę do nieba. Nie żebym się z nim nie zgadzał, ale coś takiego wie nawet noworodek. Choć dobrnąłem tylko do trzeciego rozdziału książki, zdążyłem wyciągnąć z lektury liczne wnioski. Pana Ortegi y Gassetta nie sposób zrozumieć, co przytrafia się często osobom zbyt inteligentnym, które piszą po hiszpańsku tak dobrze, że ich język brzmi jak obca mowa - to raz. Jeśli nie podoba mi się moje obecne życie, to właśnie z winy otaczających mnie okoliczności - to dwa. Aby był na powrót sobą, okoliczności muszą być inne - to trzy. Tylko w ten sposób ja stanę się znów sobą a okoliczności okolicznościami - to cztery. I aby zrealizować to założenie, zdecydowałem się właśnie zgłosić na front.*

*Niech żyje Hiszpania!*

*Szeregowy Rubiños*

*Postscriptum: Proszę opiekować się panną Montse, bo coś mi mówi, że jej okoliczności też nie są sprzyjające. Ten statek zakotwiczony w zbroczu Awentynu pewnego dnia wypłynie w morze.*

Udałem się do Montse, by spełnić polecenie Rubiñososa, a przy okazji pokazać jej list i poprosić o wyjaśnienie.

- Tak, poleciłam mu *Bunt mas*. Ortega y Gasset to humanista w zdehumanizowanym świecie i uznałam, że Rubiñosowi potrzeba właśnie ludzkiego ciepła, zrozumienia - tłumaczyła się.

- Być może masz rację co do Ortegi. Ale Rubiños jest teraz pociskiem w magazynku karabinu wycelowanego w zdehumanizowany świat. Powinnaś mu była raczej podsunąć Biblię.

- Powiedział, że ilekroć po rozmowie z tobą wygląda z tarasu, Rzym przypomina mu rozpruty brzuch z wywalonymi na wierzch flakami. Porównywał labirynt ulic *centro storico* ze splątanymi błoniastymi jelitami, których soki żołądkowe trawią z wolna budynki, kościoły i pomniki. Jego zdaniem miasto zostanie niebawem zwymiotowane i obrócone w gruzy, bo wszystko, co przegniłe i zwiędłe, musi w końcu runąć. Bogiem a prawdą, powinnaś mu była chyba wysłać do psychiatry.

- Spoglądając nocą na miasto z tarasu, można ujrzyć przeróżne rzeczy, nawet nieistniejące - przyznałem.

- Rzym był dla niego straszniejszy niż więzienie - dodała Montse.

- Mam nadzieję, że dla ciebie Rzym nigdy nie stanie się więzieniem.

- A niby dlaczego miałyby się stać?

- Bo wierzysz, że wzgórze Awentynu to okręt gotowy do wypłynięcia w morze. Ty również zacznasz widzieć rzeczy nieistniejące.

- Wszyscy widzimy rzeczy, które istnieją wyłącznie w naszej wyobraźni. W tych wizjach tkwi to, co zwykliśmy nazywać nadzieją - zauważyła.

- W takim razie miejmy nadzieję, że Rubiños postąpił słusznie.

Wiedziałem, że owego ranka książę Cima Vivarini wyjechał na kilka dni do rodziny w Wenecji, a ponieważ w ostatnich tygodniach zdobył nade mną dużą przewagę, postanowiłem skorzystać z okazji i zaprosiłem Montse na obiad.

- Za stare czasy - namawiałem, widząc jej niezdecydowanie.

- Przyjmuję zaproszenie, ale pod warunkiem, że po obiedzie pójdziesz ze mną załatwić pewną sprawę. Tylko nie pytaj jaką. To tajemnica.

- Zgoda.

Wybrałem restaurację Alfredo, jedną z najslawniejszych w mieście. Dzięki Juniowi Montse przywykła najwyraźniej do goszczenia w tego typu lokalach, bo nie wytknęła mi rozrzutności. Na rozgrzewkę zamówiliśmy zuppa *all'ortolana*, a na drugie *fettucine all'Alfredo* - danie, którego sława dotarła za Atlantyk dzięki aktorskiej parze: Douglasowi Fairbanksowi i Mary Pickford.

Odczekawszy, aż masło z *fettucine* stopi się w ustach Montse z plasterkami parmezanu, powiedziałem:

- Przykrzy mi się bez ciebie. Powinniśmy częściej umawiać się na obiad.

- Junio mógłby być zazdrosny - odparła.

- Co spotęgowałoby tylko jego zainteresowanie twoją osobą. A im większą będzie miał do ciebie słabość, tym łatwiej zyskasz jego zaufanie. A jeśli zyskasz jego zaufanie...

- Od razu widać, że nigdy nie byłeś o nikogo zazdrosny - weszła mi w słowo. - Zazdrość budzi podejrzliwość, nie zaufanie.

- A gdybym ci wyznał, że trawi mnie zazdrość? Teraz, w tej właśnie chwili, czuję się zazdrosny...

- Powiedziałabym, że to, co czujesz do osoby, którą ponoć kochasz, to bynajmniej nie miłość. W przeciwnym razie wiedziałbyś, że zazdrość budzi nieufność, a nie jej przeciwieństwo.

Musiałem dołożyć wszelkich starań, by nie zakląć szpetnie. Na deser uraczyliśmy się profiterolami, które zjedliśmy w milczeniu.

Potem Montse przeprosiła mnie na chwilę, wstała i znikła za drzwiami prowadzącymi, jak sądziłem, do toalety. Wróciła uśmiechnięta z wypchaną torbą w ręce.

- A to co? - spytałem zdziwiony.

- Resztki dla kotów - odparła bardzo rada.

- Jakich kotów?

- Rzymskich. Lubię je dokarmiać.

Poczułem zażenowanie na myśl, że Montse być może przyjęła moje zaproszenie tylko po to, by zdobyć odpadki dla bezpańskich kotów.

- Gdy Junio zaprasza cię na obiad, też idziesz do kuchni no resztki? - zapytałem po chwili.

- Nie, bo przy nim nie czuję się dość swobodnie. No, chodź pokarmimy koty. Przecież obiecałeś.

Niekiedy miałem wrażenie, że Montse i ja jesteśmy jak dwaj dobrze wychowani podróżnicy u Stendhala, którzy postanawiają objechać razem świat. Każdy zadaje sobie trud i z przyjemnością poświęca dla towarzysza codzienne plany, aż u kresu podróży okazuje się, że przez cały czas naprzykrzali się sobie wzajemnie.

W stolicy Włoch nie było ruiny bez kotów - ulubionej plagi rzymian. Montse upatrzyła sobie Area Sacra na Largo Torre Argentina, rozległym nowo powstałym placu, pod którym odkryto jeden z najważniejszych zespołów archeologicznych w mieście, gdzie urzędowała ponad setka pstrokatych, białych, czarnych, burych, pręgowanych i rudych kotów, obnoszących swą dziką obojętność wśród powalonych kolumn i rozbitych kamieni.

Gdy po przejściu całej ulicy Corso dotarliśmy na miejsce, zapadł już zmrok i Area Sacra przypominała ziejącą mrokiem kotlinę. Nietrudno było pomyśleć, że wałęsające się tu koty to, jak zapewniali przesądni, dusze starożytnych Rzymian - pretorów, kwestorów, trybunów i ludzi z plebsu - zamieszkujących przed wiekami tę okolicę. Było bowiem coś niepokojącego w tych dumnych sylwetkach o płomiennych oczach, sylwetkach, które z każdym krokiem najwyraźniej próbowały rozplynąć się w powietrzu.

- Wiesz, dlaczego lubię koty? - zapytała Montse, wytrząsając zawartość torby w miejscu, gdzie padł, śmiertelnie raniony, Juliusz Cezar.

- Nie.

- Bo nie ulegają człowiekowi, mimo że ich przetrwanie zależy od niego. Nauczyły się, że aby zapewnić sobie sympatię i opiekę ludzi, muszą wieść niezależne życie.



- Trzeba przyznać, że to rzadka cnota - stwierdziłem.

- Nazywa się wolność.

Żadne z nas nie mogło wówczas podejrzewać, że pewnego dnia rzymskie koty oddadzą swe życie, by zapewnić przetrwanie mieszkańcom miasta. Ilekroć rozmawiamy na ten temat, daje o sobie znać idealistyczna natura Montse. Twierdzi ona bowiem, że dusze kotów, które rzymianie zjedli, ratując się przed śmiercią głodową, natchnęły ich pragnieniem wolności i siłą do stawienia czoła wrogowi.

## 17

Początek roku 1938 przyniósł wiele doniosłych wydarzeń.

Jedenastego stycznia Montse skończyła dwadzieścia jeden lat, a ostatniego dnia tegoż miesiąca lotnictwo Franco ku wielkiej radości „zbiegów” zbombardowało Barcelonę, zabijając sto pięćdziesiąt trzy osoby i raniąc sto osiem. Ponadto nacjonałiści odbili Teruel, zajęty przez oddziały republikańskie, natomiast czternastego marca, w dzień moich urodzin, Hitler ogłosił przyłączenie Austrii do Trzeciej Rzeszy, potwierdzając najgorsze obawy Smitha. Choć fakt ten sam w sobie był już dość poważny, jeszcze większym niepokojem napawało to, co zdarzyło się miesiąc i kilka dni później, po zapowiedzeniu na pierwszy tydzień maja wizyty Führera w Rzymie.

Bodajże drugiego maja Cesare Fontana, administrator akademii, oznajmił mi, że mam gościa. Był to ojciec Sansovino. Choć z początku przypisałem jego wzburzenie wspinaczce po schodach na ulicy Garibaldiego, zrozumiałem, że jestem w błędzie, gdy duchowny bez słowa powitania rzucił tonem zdradzającym niepokój:

- Gdzie się podziwiał księżę?

Wiedziałem tylko tyle, że Junio powiedział Montse, iż nie będą mogli się widywać przez dwa lub trzy tygodnie, ponieważ mianowano go członkiem komitetu powitalnego Führera. Jak się później okazało, Junio zgrzeszył skromnością i przemilczał swą prawdziwą rolę w owym „komitecie”. Miał bowiem przekonać Ojca Świętego, by udzielił Hitlerowi osobistej audiencji, a przy okazji pozwolił mu zwiedzić Muzea Watykańskie. Odpowiedź Piusa XI była kategoryczna: „Jeśli Adolf Hitler chce wejść na teren Watykanu, musi najpierw publicznie przeprosić za prześladowania Kościoła katolickiego w Niemczech”. Hitler nie przyjął warunków papieża, ten natomiast w dniu przyjazdu Führera oświadczył - mając na myśli swastykę - że smutkiem przepełnia go widok Rzymu obwieszanego niechrystusowymi krzyżami, po czym wyjechał do swej rezydencji w Castel Gandolfo, poleciwszy zamknąć Muzea

Watykańskie i zarządziwszy, by „L'Osservatore Romano” słowem nie wspomniało o wizycie niemieckiego kanclerza. Napięte stosunki między Piusem XI i Hitlerem trwały już od roku, mianowicie od opublikowania encykliki *Mit brennender sorge* (Z palącym zatroskaniem), w której papież podkreślał pogański charakter nazizmu i potępiał rasizm. W odpowiedzi na encyklikę Hitler aresztował tysiąc wpływowych katolików niemieckich, z których trzystu skończyło w obozie koncentracyjnym w Dachau (naówczas wierzono jeszcze, że chodzi o obóz pracy przymusowej).

Oczywiście Junio nie mógł dopuścić, by Hitler wrócił do Berlina z pustymi rękami, dlatego zgotował mu miłą niespodziankę, mającą wynagrodzić afront papieża. Pytanie postawione mi właśnie przez ojca Sansovina miało bezpośredni związek z ową niespodzianką.

- Pewnie szyje sztandary nazistowskie i kupuje kanapy, na których zamierza ugościć Führera - zadrwiłem.

- A niech to wszyscy diabli! - wykrzyknął mój gość

- Można wiedzieć, co się dzieje?

- Obawiam się, że Junio spełnił swą groźbę, a co gorsza, zabił człowieka.

Natychmiast stanął mi przed oczami drugi Smith, jednak ojciec Sansovino wyprowadził mnie z błędu:

- Cztery godziny temu dowiedzieliśmy się o śmierci jednego z naszych *scriptores*. Oddano do niego serię strzałów, gdy wychodził z *antica libreria* pana Tasso na ulicy Anima.

Tym razem przypomniałem sobie pierwszego Smitha.

- A co mają wspólnego książę i zastrzelony *scriptor*? - spytałem.

W głębi duszy pragnąłem usłyszeć, że widziano, jak Junio naciska na spust, jednak odpowiedź ojca Sansovina biła na głowę moje najśmielsze życzenia:

- Zabity *scriptor* wykradł Mapę Stworzyciela.

Konsternacja odebrała mi głos. Zmarszczyłem czoło w nadziei, że duchowny powtórzy swe słowa lub im zaprzeczy, lecz wobec jego milczenia powiedziałem:

- Czy to nie ksiądz zaklinał się, że Mapa Stworzyciela nie istnieje?

Tym razem ojciec Sansovino zmarszczył czoło. Przez chwilę bałem się, że jego grubaśne brwi runą na ziemię.

- I nie bez racji, bo mapa istnieje tylko w pewnym sensie - usprawiedliwiał się.

- Co ksiądz ma na myśli?

- To prawda, że po śmierci Johna Keatsa Kościół zabrał z jego mieszkania egipski papirus oraz że po zbadaniu dokumentu eksperci potwierdzili, iż zawiera on niezwykłą mapę dowodzącą między innymi kulistości Ziemi. Jeśli się nie mylę, widniała tam również Antarktyda, odkryta dopiero w XIX wieku. Mapę, opisaną pismem klinowym, badacze nazwali Mapą Stworzyciela ze względu na jej wiek i aktualność, zwłaszcza w porównaniu z innymi starożytnymi dokumentami, choć równie dobrze mogli ją nazwać Mapą Anonimową. Nie oznacza to jednak, że autorem dokumentu jest Bóg. Niestety, mapa przechodziła z rąk do rąk, co odbiło się na jej stanie tak poważnie, że rozłożenie mapy byłoby obecnie równoznaczne z jej zniszczeniem. Jeśli ją otworzymy, utracimy bezpowrotnie zawarte w niej informacje. Dlatego powiedziałem, że mapa istnieje tylko w pewnym sensie.

- Ale skąd pewność, że książę się myli i mapa nie jest dziełem Boga? - zapytałem.

- Przemawia za tym wiele argumentów. Przede wszystkim to, że o istnieniu mapy nie wspomina żadne święte pismo. Ale jest również inny powód, wynikający ze zdrowego rozsądku: gdyby Bóg chciał zostawić ludziom podobną mapę, nie użyłby do tego celu materiału tak nietrwałego jak papirus. Czy dziesięć przykazań nie zostało wykute w kamieniu? Starożytni Hetyci i Babilończycy korzystali chociażby z glinianych tabliczek, znacznie trwalszych od papirusu, absurdem byłoby więc myśleć, że nieomylny Bóg popełniłby tak elementarny błąd.

Bez trudu znalazłem rysę w argumentach duchownego:

- Coś się tu nie zgadza. Twierdzi ksiądz, że mapa otrzymała swą obecną nazwę w XIX wieku, już po odebraniu jej zmarłemu Keatsowi. Jednak książka Pierusa Valerianusa napomyka o Mapie Stworzyciela dwa i pół wieku wcześniej - zaoponowałem.

- To prawda, ale nie ma w tym żadnej sprzeczności. Badacze nadali mapie tę nazwę, ponieważ wiedzieli o istnieniu książki Valerianusa. Ale Pierus Valerianus powtarza tylko starożytne egipskie podanie, bo i on nie widział mapy na własne oczy.

Po chwili milczenia duchowny dodał:

- Sprawy relikwii są niezmiernie skomplikowane, zwłaszcza przy ustalaniu ich autentyczności. Przykłady mówią same za siebie. Proszę sobie wyobrazić, że Stolica Apostolska doliczyła się ponad sześćdziesięciu zachowanych palców świętego Jana Chrzciciela. Napletek naszego Pana Jezusa Chrystusa czczony jest w trzech katedrach: w Antwerpii, w Hildesheim i w Santiago de Compostela. Zachowały się również trzy pępowiny Dzieciątka Jezus: w kościołach Santa Maria del Popolo, San Martino oraz w Chalons. Na świecie istnieje dwieście domniemych monet wypłaconych Judaszowi za zdradę, niektórzy zapewniają, że posiadają czaszkę Łazarza, a w watykańskim Sancta Sanctorum przechowywana jest soczewica i resztki chleba z Ostatniej Wieczerzy. A nie wspomnę już o butelce z tchnieniem świętego Józefa, którą anioł podrzucił ponoć do kościoła w pobliżu francuskiego miasta Blois. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że nasz Pan Jezus Chrystus miał tylko jedną pępowinę i jeden napletek, a

święty Jan Chrzciciel posiadał dwie ręce, czyli razem dziesięć palców, oraz że Judasz otrzymał za zdradę nie dwieście, ale trzydzieści srebrników, dochodzimy do wniosku, że tych relikwii jest ciut za dużo, rzekłbym nawet: zdecydowanie za dużo. Dlatego rozprawianie o mapie sporządzonej przez Boga nieomal zakrawa na... *boutade*.

- Rozumiem. Jak sądzę, ksiązę zostanie aresztowany pod zarzutem zabójstwa.

- Szybciej aresztowano by papieża niż księcia Cime Vivariniego. Mogę się założyć, o co pan tylko chce, że jutrzejsza prasa nazwie morderstwo naszego brata zamachem sił antyfaszystowskich i ateistycznych usiłujących zdestabilizować władzę Mussoliniego.

- Policja nie może przecież stać z założonymi rękami...

- Nad policją stoi policja polityczna, którą kierują ludzie tacy jak ksiązę - przerwał mi ojciec Sansovino. - Zbrodnia przed antykwariatem jest osobistą zemstą Junia za cios, który zadałem kilka miesięcy temu jego dumie.

- Zemstą?

- Czyżby Junio nie wspomniał wam, że byłem szpiegiem w służbie Watykanu?

Zdziwiło mnie, że ojciec Sansovino uznał to za pewnik.

- Owszem, gdy tylko wyszliśmy z biblioteki - przyznałem.

- Mówił prawdę. Byłem szpiegiem, i to jeszcze całkiem niedawno. Pracowałem w Sodalitium Pianum, służbach watykańskiego kontrwywiadu podlegających Świętemu Przymierzu. Moja misja polegała na demaskowaniu „kretów” i opatrność pozwoliła mi pochwyć najważniejszego z nich. Mniej więcej przed rokiem, wykrywszy przecieki ze Stolicy Apostolskiej, przeprowadziliśmy dyskretne dochodzenie i wpadliśmy na trop zdrajcy. Okazał się nim ojciec Enrico Pucci, zwerbowany przez szefa policji faszystowskiej Artura Bocchiniego około roku 1927. Jak się później dowiedzieliśmy, posługiwał się pseudonimem „Agent 96”. Przyszedł mi wówczas do głowy plan zdemaskowania Pucciego. Puściliśmy w obieg fałszywy dokument, opatrzony podpisem sekretarza stanu, kardynała Pietra Gaspariniego, ujawniający, że niejaki Roberto Gianille jest szpiegiem brytyjskim i przekazuje Anglikom tajne informacje dotyczące Królestwa Włoch oraz Watykanu. Gdy tylko Pucci przeczytał dokument, skontaktował się z Bocchinim, który z miejsca wydał nakaz aresztowania Gianille’a. Sęk w tym, że Gianille nie istniał, był po prostu tworem mojej wyobraźni. Dzięki temu podstępowi zdemaskowaliśmy wszystkich członków siatki Pucciego. Oczywiście i ja zostałem spalony jako agent, dlatego przydzielono mnie do innych zadań. Teraz pan rozumie: pozbawiłem faszystów informatorów w Watykanie, więc mszczą się, wykradając mi sprzed nosa Mapę Stworzyciela. Przekupując tego nieszczęśnika, chcieli dać mi do zrozumienia, że i bez siatki szpiegowskiej mogą dopiąć swego, a zabijając go, że ziemską władza należy do nich.

- Brzmi niewesoło - stwierdziłem.

- Bo to nie jest wesołe. Zwłaszcza że za wendetą Junia kryje się wezwanie Mussoliniego do Ojca Świętego, by podporządkował się jego państwu laickiemu. Duce wyznał swym najbliższym współpracownikom, że jest gotów „rozdrapać ranę” i uczynić z Włochów antyklerykałów, jeśli papież nie zmieni swego stosunku do niego i do Hitlera. Twierdzi, że Watykan zamieszkuje nieczułe mumie i że notowania religii spadają, bo nikt już nie wierzy w Boga, którego wzruszałyby ludzka niedola. Tak, czasy się zmieniły i teraz państwo przyklaskuje zbrodniom przeciwko Kościołowi.

- A więc zabójstwo bibliotekarza ujdzie im bezkarnie?

- Co najwyżej, kiedy dyplomacja watykańska zażąda szczegółowego dochodzenia, aresztują jakiegoś Bogu ducha winnego człowieka, na którego zwałą całą winę. Proszę się ze mną skontaktować, gdy tylko dowie się pan czegoś o księciu. Wolę mieć go na oku, na tak zwany wszelki wypadek.

Fakt, że ojciec Sansovino chce mnie mianować swym informatorem, sprawił, iż zacząłem powątpiewać w jego dobre intencje. Moje podejrzenia nasiliły się nazajutrz, gdy żadne środki przekazu - ani gazety, ani radio, łącznie z Radiem Watykańskim i „L'Osservatore Romano” - nie wspomniały o zabójstwie na ulicy Anima. Przyznać muszę, że sprawa ta bardzo długo nie dawała mi spokoju i dopiero w październiku tegoż roku zacząłem rozumieć, w jakim celu ojciec Sansovino przekazał mi wiadomość, która nigdy nie została oficjalnie potwierdzona.

## 18

Wizytę in pompa magna Hitlera w Rzymie najdobitniej określiła kilkuletnia Włoszka, która na widok zalewającego miasto morza swastyk wykrzyknęła: „W Rzymie roi się od czarnych pajaków!”. Tak, myśl ta łączyła nas wszystkich, dzieci i dorosłych. Byliśmy otoczeni przez armię umundurowanych stawonogów, uprzykrzających nam życie ciągłymi kontrolami i rewizjami. Przez cały tydzień miasto przypominało gigantyczną estradę udekorowaną flagami, trójnogami, fascies, pochodniami, orłami oraz innymi symbolami starożytnego Rzymu. Co krok natrafic można było na arengarii - budynki użyteczności publicznej wyposażone w trybunę (często rozbieraną), z której Mussolini przemawiał do narodu. Na cześć kanclerza Niemiec organizowano defilady, parady, manewry wojskowe, przyjęcia i wizyty turystyczne. Wypucowano nawet fasady starych pałaców, by Führer i jego świta czuli, że goszczą w stolicy supermocarstwa. Jak pisał rzymski poeta Trilussa w jednym ze swych epigramatów: *Roma de Travertino/rifatta de cartone isaluta l'imbianchino/suo prossimo padrone*. (Rzym - stolica z trawertynu/w papier mache skąpana /wita malarza pokojowego/swego przyszłego pana).

Wykorzystałem ten stan rzeczy, by opowiedzieć Montse o swojej rozmowie z ojcem Sansovinem. Ciągle nie mogę zapomnieć niedowierzania, jakie odmalowało się na jej twarzy na wieść że Junio spełnił swą groźbę, przekupił jednego ze *scriptores*; a następnie, przywłaszczwszy sobie Mapę Stworzyciela, kazał go zastrzelić. Przypuszczałem, że wiadomość uderzy niczym obuchem w jej sumienie, że Montse będzie chciała porzucić swą misję wybadania księcia - i nie omyliłem się. Jednak widząc, że upada na duchu, zacząłem ją prosić, by się nie wycofywała, zupełnie jakby nasze zachowanie było teraz podporządkowane wyższemu celowi, spychającemu sprawy osobiste na dalszy plan.

Montse i Junio spotkali się dwa tygodnie później w piwiarni Dreher, nawiedzanej dumnie przez osiadłych w Rzymie Niemców. Książę powrócił właśnie z zamku Wewelsburg w Westfalii, dokąd udał się w towarzystwie Reichsführera Heinricha Himmlera po podróży do Rzeszy pociągiem Hitlera. Właśnie w pociągu Junio został poprowadzony do *carrozza* Führera, gdzie osobiście wręczył kanclerzowi Mapę Stworzyciela. Jak wyznała Montse, początkowa radość dygnitarzy nazistowskich obróciła się w zawód, gdy okazało się, że rozłożenie mapy oznacza jej nieodwracalne zniszczenie. Jednak Himmler, ufając, że niemieccy naukowcy zaradzą temu problemowi, zauważył, że wbrew ogólnej opinii liczy się mapa sama w sobie. „W przypadku przedmiotów mocy liczy się przede wszystkim ich posiadanie. To klucz otwierający przed nami wrota świata”, powiedział. Hitler zgodził się z Reichsführerem i polecił mu przewieźć mapę na zamek w Wewelsburgs do siedziby głównej i miejsca wtajemniczenia członków zakonu SS.

W lipcu 1934 roku Himmler osobiście wydzierżawił zamek od władz miejskich w Büren, po czym odbudował go z funduszy ministerstwa skarbu, chcąc by Wewelsburg stał się tym, czym dla Krzyżaków był Malbork, a dla króla Artura - Camelot. Adaptację zamku zlecono czarownikowi Karlowi Marii Wiligutowi, twierdzącemu, że posiada „pradawną pamięć jasnowidza”, dzięki której może oglądać wydarzenia sprzed tysięcy lat. W 1924 roku tegoż Wiliguta zamknięto w zakładzie psychiatrycznym, stwierdziwszy u niego skomplikowany przypadek schizofrenii z urojeniami megalomańsko-paranoidalnymi. Himmler osobiście dobierał gości zapraszanych na zamek i nigdy nie było ich więcej niż dwunastu - tylu, ilu rycerzy okrągłego stołu, apostołów i parów Karola Wielkiego, założyciela Pierwszej Rzeszy. Dębowy stół zajmujący honorowe miejsce w olbrzymiej sali biesiadnej (o wymiarach trzydzieści pięć na piętnaście metrów) uzupełniało dwanaście krzeseł obitych świńską skórą. Każde z nich opatrzone było srebrną tabliczką z nazwiskiem i herbem właściciela, rycerza SS. Zamek posiadał zarezerwowaną dla Hitlera i zawsze zamkniętą komnatę poświęconą Barbarossie. Patronami pozostałych komnat byli: Otton Wielki, Henryk Lew, Fryderyk I Hohenstauf, Filip Szwabski i inni zasłużeni książęta niemieccy. Pod wielkim salonem znajdowała się krypta z dwunastoma niszami, nazwana „Kulą Zmarłego”. W jej środku otwierało się wgłębienie z kamiennym kielichem służącym jako stos ofiarny. Dwunastu dygnitarzy SS miało na zamku własną komnatę. Na drugim piętrze znajdował się Najwyższy Trybunał SS. Południowe skrzydło zajmowały prywatne pokoje Himmlera z salonem mieszczącym kolekcję broni oraz

biblioteką z dwunastoma tysiącami woluminów. Jednak największe wrażenie zrobiło na Juniu czarne słońce wyryte na posadzce sali kolumnowej. Miało ono ponoć symbolizować istnienie we wnętrzu Ziemi, której jądro, wedle niektórych teorii ezoterycznych, było puste, niewielkiej gwiazdy przyświecającej zamieszkałej tam cywilizacji nadludzi. Himmler liczył, że Mapa Stworzyciela ukaże po rozłożeniu szlaki wiodące do tych ukrytych zakątków Ziemi, a wtedy władza nazistów nad światem będzie nieograniczona.

Fakt, że Himmler wierzy w podobne brednie, a Junio im przyklaskuje, skonfundował mnie i przeraził zarazem, łatwo sobie bowiem wyobrazić, do czego zdolna jest osoba przekonana, że Ziemia jest w środku pusta. Niestety, moje obawy potwierdziły się, bo Himmler stał się głównym pomysłodawcą i wykonawcą „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” - maszyny zagłady, w której trybach zginęły miliony europejskich Żydów. Do równie obłąkanego planu zdolny był jedynie szaleniec taki jak Himmler, uważający się za reinkarnację Henryka I Ptasznika, który założył w X wieku dynastię saską i porzucił wiarę katolicką, by czcić pogańskiego boga Wodana.

Na koniec rozmowa Montse i Junia zeszła na Gabora, gdyż Montse zdziwiła jego nieobecność. Książę oznajmił, nie posiadając się z dumy, że jego szofer dzięki swym fizycznym i genealogicznym walorom został zwerbowany przez Himmlera do misji płodzenia nadludzi. Gdy Montse poprosiła o wyjaśnienie, okazało się, że Gabora umieszczono w Lebensborn - instytucji stworzonej przez Himmlera do „hodowli” Herrenrasse, rasy panów, w ramach technik kontrolowanej reprodukcji. Zadanie byłego szofera polegało na kopulowaniu z wyselekcjonowanymi młodymi Aryjkami i płodzeniu genetycznie idealnych przedstawicieli nowej rasy.

Przerwałem Montse tylko raz, by zapytać, czy napomknęła Juniowi o zabójstwie jednego ze *scriptores*.

- Nic już nie będzie jak przedtem - bąknęła.

Oczywiście miała na myśli swój związek z księciem.

- Zaklinał się, że nie ma nic wspólnego z tym pożałowania godnym zdarzeniem - ciągnęła. - Stwierdził, że w Rzymie roi się od bojówek antyfaszystowskich gotowych wykorzystać każdą okazję do zdestabilizowania państwa, że ksiądz z kieszeniami pełnymi pieniędzy stanowi łatwy łup i że on przyznaje się wyłącznie do przekupstwa. Wtedy powiedziałam mu, że ojciec Sansovino przewidział co do joty jego odpowiedź.

- I co on na to? - zaciekałem się.

- Powiedział, że ojcu Sansovinowi nie można ufać. Oczywiście poprosiłam o wyjaśnienia.

- I?

Montse odczekała kilka sekund, a potem wyrecytowała z pamięci odpowiedź Junia:

- „Ktoś, kto był członkiem siatki szpiegowskiej, nigdy nie mówi prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. A wiesz dlaczego? Bo prawda i fałsz to dwie strony tej samej monety i każdy, kto poświęci się szpiegostwu, wie, że są one tyle samo warte”.

- Księżciu również nie można ufać - zauważyłem.

- Zastąpił rodzinny sygnet ohydny srebrny pierścieniem z trupa czaszką. Oto, co dostał w prezencie od Himmlera: pierścień - mówiła dalej Montse, nie kryjąc rozczarowania.

Po latach, gdy Trzecia Rzesza legła w gruzach, dowiedzieliśmy się, że pierścień ten był talizmanem noszonym przez wtajemniczonych członków SS, do których Junio dołączył z racji swych zasług.

- Zmiana biżuterii nie jest równoznaczna ze zmianą zachowania - zwróciłem jej uwagę.

- Czyżbyś próbował go bronić? - zapytała.

- Bynajmniej. Chcę ci raczej udowodnić, że Junio jest wciąż tą samą osobą mimo zmiany pierścienia. Nie jest inny niż kilka tygodni temu.

- Owszem, jest. Ktoś, kto zamienia rodzinny sygnet na pierścień z trupa czaszką, nie jest już tą samą osobą.

Montse nie zdawała sobie sprawy, że w rzeczywistości to ona się zmieniła. Głupi pierścień sprawił, że nie poznawała osoby, w której, jak sądziła, była zakochana. Wystarczyło spojrzeć w jej wielkie zielone oczy, by zrozumieć, że ujrzały one na powrót światło, a zbudzone z miłostnego letargu serce odzyskało panowanie nad zmysłami i ścisnęło się niczym pięść. Wydawało się, że Montse odkryła zniemacka tajemnicę dorosłości, która uczy, że jeśli zawiódł nas lub zdradził ktoś, komu zaufaliśmy, musimy mieć się na baczności.

- Nigdy się już nie zakocham - rzuciła, jakby naprawdę utraciła zdolność czucia.

Nie ulegało wątpliwości, że duma Montse została zraniona a ona sama była na siebie wściekła i dlatego nie dostrzegała, że ofiarą jej zawziętości padłem ja, nie Junio. Moją jedyną winą było pokochanie jej, jednak w kodeksach rządzących prawem miłości przewinienie to karane jest obojętnością. Dlatego upłynęło jeszcze wiele miesięcy, zanim Montse zwróciła na mnie uwagę. Zresztą nawet wtedy musieliśmy się nieźle natrudzić, by znaleźć wspólny grunt, ponieważ namiętność, jakiej oczekiwałem, była dla niej równie krępująca, jak dla mnie jej brak oddania. Na dobrą sprawę zachowanie Montse było w większości przypadków bliższe lunatycze (która z zamkniętymi oczami powtarza automatycznie te same ruchy, pokonuje tę samą trasę) aniżeli kobiecie zakochanej. Szukając wytłumaczenia tego faktu, znalazłem go chyba



w długich i gorączkowych latach wojny, które niby przewlekła choroba podkopały zdrowie emocjonalne Montse, pozostawiając w jej duszy ślad egzystencjalizmu podającego w wątpliwość sens życia.

- Tym bardziej powinnaś teraz udawać, że jesteś w nim bezgranicznie zakochana - powiedziałem.

- Para zrywa, gdy jedna ze stron przestaje być dla drugiej pociągająca - rzuciła Montse.

W jej uporze znać było rozczarowanie zmieszane ze smutkiem.

- Ale co ja powiem Smithowi? Ze księżę już ci się sprzykrzył?

- Powiedz mu prawdę. Powiedz, że Junio Cima Vivarini jest bezdusznym mordercą.

- Tyle to on już wie.

Montse nie wiedziała natomiast, że Smith, o którym mówiliśmy, jest kolejną ofiarą Junia (tak przynajmniej sądziłem). Najwyraźniej wobec ostatnich zdarzeń moja niechęć do księcia wykroczyła poza kwestie czysto osobiste, dlatego uważałem, że musimy trzymać się twardo naszego postanowienia.

- Przecież zawsze krytykowałeś mój brak zaangażowania. Jeśli zdecydujesz się nie widywać z księciem, zdradzisz własne ideały. Jeśli postawisz uczucia przed rozsądkiem, wiele osób może to przypłacić życiem - przekonywałem ją.

Choć sam nie wiedziałem, jakie osoby mam na myśli (było to zapewne czcze gadanie), poczęły kiełkować w mojej duszy pierwsze objawy wirusa idealizmu - choroby, która sprawiała, że rzeczywistość jawiła mi się jako coś niepojętego, a nawet dziwnego, i budziła bunt. Nie mogliśmy dopuścić, by Junio postawił na swoim. Tu już nie chodziło o zazdrość, lecz o zasady.

- Ale ja straciłam wiarę w miłość - próbowała się jeszcze bronić Montse.

- Do tego niepotrzebna ci wiara. Myślisz, że Junio wierzy w miłość? Coś ty, jest nazbyt zajęty zlecaniem zabójstw, rabowaniem i podlizywaniem się nazistom.

- Zgoda, będę robić dobrą minę do złej gry - ustąpiła.

Główną cechą Montse był jej wesoły, pełen optymizmu temperament, uznałem więc, że niebawem się pozbiere i znów zacznie panować nad sytuacją.

Umówiłem się ze Smithem w E42, przechrzczonym po wojnie na EUR - nowym miasteczku budowanym przez Mussoliniego na południe od Rzymu z okazji Wystawy Światowej, mającej się tu odbyć na przełomie 1941 i 1942 roku. W tym monumentalnym projekcie brali udział najwybitniejsi ówczesni architekci. Giovanni Guerrini, Enzo Bruno La Padula i Mario Romano zaprojektowali Palazzo della Civiltà del Lavoro, który z czasem stał się symbolem tej nieudanej próby wskrzeszenia chwały starego Rzymu w pełni XX wieku; Adalbertowi Liberze zlecono prace nad Palazzo dei Ricevimenti e dei Congressi, natomiast Gaetano Minnucci kierował budową Palazzo degli Uffizi, pomyślanego jako newralgiczne centrum E42. W pracach nad nową dzielnicą uczestniczyło wielu innych architektów, świadomych, że nie oczekuje się od nich jedynie stworzenia zespołu oryginalnych budynków, które zadziwiłyby świat. Duce chciał, by zakleli w kamień splendor faszystowskiej ideologii. Zdaję sobie sprawę ze swojej przewagi płynącej z perspektywy czasu, wszak dziś wiem, że zaplanowana na rok 1942 Wystawa Światowa w Rzymie nie odbyła się, fakt pozostaje jednak faktem - za dyktatury faszystowskiej budynki EUR nie były zamieszkane ani wykorzystane w jakikolwiek inny sposób. Tym samym stanowiły wierne odzwierciedlenie paradygmatu włoskiego faszyzmu: monumentalność na zewnątrz, pustka w środku, a wszystko w jednym jedynym celu - by służyć władzy za skuteczne narzędzie propagandowe. Dziś, gdy rządzący znów napomykają o nowej, tym razem ostatecznej realizacji projektu, dzielnica EUR stanowi jasny przykład tego, co zwykło się określać „architekturą władzy” lub „architekturą efemeryczną”.

Jednak owego ranka pod koniec maja 1938 roku E42 była jeszcze dzieckiem w powijakach, które stawiało pierwsze kroki, prowadzone za rączkę przez państwo, i rosło, pochłaniając butle cementu, przewracając koparkami tony ziemi i zwożąc tyleż ton trawertynu. Setki robotników krzątały się wokół, próbując wykrzesać z siebie zapał i karność wymagane przez reżim, a drugie tyle gapiów meldowało się tu co rano, by pochwalić postęp robót lub zapytać, czy w „Trzecim Rzymie” budowanym przez Mussoliniego dla narodu - jakże oddalonym w czasie od „Pierwszego Rzymu” (cesarskiego) i jakże odległym od „Drugiego Rzymu” (papieskigo) - powstaną mieszkania na każdą kieszeń. Szarlatani szerzący propagandę reżimu odpowiadali bez wahania: „Powstaną mieszkania z widokiem na morze”. A jeśli pytający drażył temat, tym razem z niedowierzaniem, bo ponad dziesięć kilometrów dzieliło morze od E42, szarlatan odpowiadał: „To już sprawa duce, który wszystko może. Zdradzę tylko, że według planów Rzym sięgać ma aż do Morza Tyrreńskiego. Chyba się pan ze mną zgodzi, że w stolicy imperium, jakie właśnie tworzymy, nie może zabraknąć mieszkań z widokiem na morze”, po czym wskazywał palcem na mewy szybujące po niebie. Doszło nawet do tego, że Mussolini rozkazał wyryć na fasadzie Palazzo degli Uffizi następujące zdanie:

LA TERZA ROMA SI DILATERA SOPRA ALTRI COLLI LUNGO LE RIVE DEL FIUME SACRO SINO ALLE SPIAGGE DEL TIRRENO (Trzeci Rzym ciągnąć się

będzie ponad górami i wzdłuż brzegów świętej rzeki aż do plaż Morza Tyrreńskiego).

Rwetes czyniony przez robotników, dostawców i gapiów był tak wielki, że uznałem E42 za idealne miejsce na spotkanie z drugim Smithem. Choć po śmierci jego poprzednika kazano mi się udać do pizzerii po wskazówki od Marca, gdy tylko wspomniałem o możliwości spotkania w E42, moja propozycja została z miejsca przyjęta.

Stojący pośród robotników i ciekawskich drugi Smith, którego sylwetka odcinała się od błękitnego nieba, wyglądał jak przedsiębiorca budowlany. Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej sierści i rozglądał się, jakby rzeczywiście interesowało go to, co widzi. Kiedy jego wzrok spoczął na mnie, przesłał mi oczami znak, jakbym miał mu przekazać kopertę z haraczem lub czymś w tym rodzaju.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Bardzo wiele. O co pan konkretnie pyta? - odpowiedział, unosząc kłapy płaszcza, jakby chronił się przed chłodem, choć nie było zimno.

Podświadomość sprawiła mi figla i skojarzyłem ryk wiertarek i betoniarek z wojną toczącą się właśnie w Hiszpanii, jakby hałas ten był porównywalny z gwizdem pocisków i hukiem dział.

- Księżę Cima Vivarini przekazał Niemcom Mapę Stworzyciela - powiedziałem, przechodząc od razu do rzeczy. - Przekupił jednego ze *scriptores* z Biblioteki Watykańskiej, którego zaraz potem kazał zastrzelić. Miało to miejsce drugiego maja, ale środki przekazu nie powiadomiły o zajściu.

- A czego się pan spodziewał? Przecież tego samego dnia rozpoczynała się wizyta Hitlera we Włoszech.

- No, ale chociaż „L'Osservatore Romano” lub Radio Watykańskie...

- Mussolini nie pozwoliłby papieżowi na kolejny skandal podczas wizyty Führera. Fakt, że Pius XI opuścił Rzym, wykręcając się od spotkania z Hitlerem, był kroplą, która przepełniła kielich. Dlatego jeśli Pius XI chce wystosować skargę do duce, zrobi to za niego *sottovoce* za pośrednictwem nuncjatury.

Wyjaśnienia drugiego Smitha, choć nie do końca mnie przekonały, nic były pozbawione racji, dlatego postanowiłem kontynuować swój raport:

- Ponoć Niemcy nie mogą rozłożyć mapy ze względu na jej oplakany stan. Hitler rozkazał Himmlerowi zawieźć ją na zamek w Wewelsburgu, gdzie zostanie poddana badaniom. Co do Reichsführera, wierzy on, że mapa ujawni nazistom szlaki prowadzące w głąb Ziemi i pozwoli im stamtąd zawładnąć światem.

Mina drugiego Smitha wyrażała autentyczne zdumienie.

- W głąb Ziemi? Czego, u licha, szukają Niemcy w głębi Ziemi?

- Co tak pana dziwi? Przecież to właśnie wy zwróciliście moją uwagę na dziwaczne poglądy Reichsführera. Himmler wierzy, że nasza planeta jest w środku pusta i że mieszkają w niej nadludzie. Mapa Stworzyciela ma mu umożliwić dotarcie do nich.

- Już pojmuję.

- Obawiam się jednak, że Himmler wierzy nie tylko w takie cuda - ciągnąłem. - Zorganizował również sieć „ferm hodowlanych”, gdzie młodzi Aryjczycy i Aryjki, spełniający określone kanony urody, kopulują na okrągło, by spłodzić jak najwięcej przedstawicieli rasy nadludzi. Himmler zwerbował do tego celu księżęcego szofera, Węgry o imieniu Gabor.

- Lebensborn stanowi część teorii *Lebensraum* profesora Haushoffera - wyjaśnił mi drugi Smith. - Utrzymuje ona, że do zajęcia przestrzeni życiowej potrzebna jest rasa równie doskonała jak sam plan, dlatego bardzo ważny jest płodny naród, gotowy wydać na świat jak najwięcej zdrowego potomstwa. Kształcąc dzieci w specjalnych ośrodkach indoktrynacji, naziści nie tylko chcą stworzyć rasę nadludzi, ale również zagwarantować, że będzie ona wierna sobie. Zdaniem Hitlera, naród, który nie dba o czystość rasy, nie dba również o jedność duszy. Wspomniał już o tym w książce *Mein Kampf*, pisząc, że państwo, które w czasach skundlenia ras troszczy się o swą czystość rasową, zdobędzie panowanie nad światem.

- A więc w Niemczech i miłość padła ofiarą totalitaryzm - zauważyłem.

- Pracuje się tam nawet nad skróceniem o połowę naturalnego okresu ciąży, by kobiety rodziły więcej dzieci.

- To mi przypomina fermę jaj.

- Poza tym zachęca się członków SS, by kopulowali na dawnych cmentarzach i płodzili w ten sposób nowe wcielenia niemieckich bohaterów narodowych. Czasopismo SS „Das Schwarze Korps” opublikowało nawet listę najbardziej wskazanych do tego celu nekropolii - dokończył swój wykład drugi Smith.

Żaden z nas nie mógł wtedy jeszcze wiedzieć, że po inwazji niemieckiej na Europę projekt Lebensborn będzie również polegać na uprowadzaniu z krajów okupowanych dzieci o aryjskich rysach (ładnych, zdrowych, dobrze zbudowanych, o włosach blond lub jasnokasztanowych, błękitnych oczach i bez żydowskich korzeni), które po przejściu szczegółowych badań lekarskich i psychiatrycznych trafiały do specjalnych ośrodków indoktrynacji lub były przekazywane na wychowanie rodzinom aryjskim. Tylko w Polsce porwano lub odebrano rodzicom dwieście tysięcy dzieci, z których zaledwie czterdzieści tysięcy powróciło po wojnie do swych rodzin. Na Ukrainie liczba uprowadzonych dzieci sięgnęła wielu tysięcy, podobnie jak w krajach bałtyckich. Zresztą również w Czechosłowacji, Norwegii i we Francji zdarzały się ofiary

Lebensborn - dalekosiężnego planu włączenia do Trzeciej Rzeszy obywateli, którzy, zdaniem jego twórców, powinni do niej należeć z racji wyglądu.

- Jest jeszcze coś, o czym muszę panu powiedzieć. Słyszał pan o ojcu Sansovinie?

Smith pokręcił przecząco głową i zapytał:

- Kto to taki?

- *Scriptor* Biblioteki Watykańskiej i znajomy Cimy Vivariniego. Ponoć służył w watykańskim kontrwywiadzie. Dał mi do zrozumienia, bym informował go o posunięciach księcia.

- Ach tak? I co pan zamierza zrobić?

- Oczywiście nic mu nie powiem.

- Kontakt z Watykanem to chyba nie taki głupi pomysł - zasugerował Smith.

- Co pan ma na myśli?

- To proste. Pan informuje Sansovina o działaniach księcia, jak zwykł pan czynić w naszym przypadku, a potem przekazuje nam to, czego dowie się od księżulka. Czyli *quid pro quo*.

- A jeśli ojciec Sansovino jest rosyjskim agentem? Był członkiem Russicum, komórki Świętego Przymierza specjalizującej się w przerzucaniu szpiegów do Rosji. Może być podwójnym agentem.

- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Proszę się z nim skontaktować, a my zaczniemy go śledzić. Zawiadomimy pana, jeśli zajdzie potrzeba.

Tak właśnie wprowadziłem w życie zasadę, że szpieg sprzedaje się zawsze dwa razy, a nawet trzy, jeśli jest podwójnym agentem. Okoliczność ta przyprawiła mnie o niemało kłopotów z sumieniem, zwłaszcza ze względu na trudność, z jaką przychodziło mi odkrycie prawdy, nie tylko cudzej, ale również własnej.

Bitwa nad Ebro trzymała nas w napięciu od końca lipca do połowy listopada 1938 roku. Taras zamienił się w miejsce spotkań całej akademii mimo sprzeciwów sekretarza Olarry, który, chcąc nie chcąc, musiał ustąpić i pozwolić „zbiegom” trzymać całodobową straż przy radiotelegrafii wobec ogólnego przekonania, że od wyniku bitwy zależy przyszłość Hiszpanii. Dwudziestego piątego lipca, kiedy armia republikańska ruszyła do ataku, sforsowała Ebro i poważnie zagroziła pozycjom obronnym Franco, doña Julia omdlała, zupełnie jakby dzicy milicjanci z Frontu Ludowego przekroczyli właśnie Tyber i już-już mieli szturmować akademię. W natarciu wzięło udział osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy wspieranych przez osiemdziesiąt baterii artyleryjskich i polikarpowów - radzieckich samolotów bojowych zwanych „muchami” lub „płaskonosami”. Atak był tak szybki i nieoczekiwany, że w La Fatarella pewien generał został wzięty do niewoli w samych gaciach, gdy smacznie spał u boku żony; w Gandesie żołnierz marokański utopił się w beczce wina, gdzie skrył się przed oddziałami republikańskimi, a w innej miejscowości regionu Terra Alta proboszcz musiał przerwać mszę i brać nogi za pas wobec rychłego nadejścia czerwonych. Nazajutrz po wysłuchaniu w nacjonalistycznej rozgłośni opisu republikańskiego generała Enrique Listera siły opuściły z kolei dońę Montserrat. Spiker przedstawił go jako istotę z piekła rodem o skórze czerwonej od alkoholu, kłach wyostrzonych od spożywania na śniadanie ludzkiego mięsa oraz o czarcim ogonie, który wyrósł mu na skutek rozpustnego i rozwiązłego życia, jednak po otrząśnięciu się z zaskoczenia nacjonaliści zdołali powstrzymać ofensywę republikańską, otwierając śluzę pobliskich tam, znajdujących się pod ich kontrolą. Morale „zbiegów” podniosło się równie szybko jak wody Ebro, zwłaszcza gdy do akcji wkroczył Oddział Ochotników Matki Boskiej z Montserrat, uważany przez nich za niezwyciężony, któremu kibicowali i którego czyny bojowe oklaskiwali. Po czternastym sierpnia, gdy generał Lister został wyparty z pasma Sierra Magdalena i szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę Franco, doña Julia, doña Montserrat i pozostałe damy znów skierowały uwagę na męki widma Beatrice Cenci (doña Julia zapowiedziała, że duch nieszczęśnicy ukaże się na moście Sant’Angelo jedenastego września, czyli w dniu i w miejscu, gdzie Beatrice została ścięta roku Pańskiego 1599), na piekielne upały rzymskiego lata oraz inne błahe tematy, dające się pogodzić z ferworem walki, płynącym z odbiornika.

Szesnastego sierpnia książę przyłączył się do wieczornego „posiedzenia”, gdy w radiu podsumowywano doniesienia z frontu. To nagłe zainteresowanie spowodowane było ponoć faktem, że jego kuzyn walczył w Terra Alta w Dywizji Littorio. Siedem lub osiem wieczorów z rzędu zjawiał się u nas z lodami dla dam oraz limoncello i blokiem lodu dla mężczyzn, ponieważ upał i wilgoć dawały się we znaki nawet po zmroku. Gábor kruszył lód szpikulcem i robił to niezwykle szybko i gwałtownie, podczas gdy zimny odbłask zamrożonej wody wbijał się w jego i tak już lodowate i harde błękitne

żrenice. Po dokonaniu lodowej „zbrodni” oddalał się dyskretnie i czekał z boku na dalsze rozkazy swego pana.

Olśniewająca uroda Montse kontrastowała z przedmiotem tych wieczornych spotkań. Naówczas była już zdecydowana odplacić księciu pięknym za nadobne, zadając mu jak najwięcej cierpień. Plan polegał na drażnieniu wyobraźni Junia poprzez podkreślanie kobiecych atrybutów i wdzięków - rozpuszczanie włosów, staranny makijaż, manicure prosto z salonu piękności, odsłaniające ramiona zwiewne sukienki w grochy lub w deseń, buty na szpilkach i perfumy dorównujące aromatem letniej nocy - przy jednoczesnym zwracaniu uwagi na wszystkich, tylko nie na niego. Gdy Junio do niej mówił, po minucie lub dwóch zaczynała ziewać, jakby rozmowa setnie ją nudziła i mogłaby zaszkodzić jej urodzie. Gdy proponował jej lody lub lemoniadę, odmawiała, a po chwili wstawiała i obsługiwała się sama. Jednym słowem, znów była statecznym dziewczęciem, które pan Fâbregas nauczył uchodzić niezauważone, tyle że teraz z nieskrywaną kokieterią afiszowała się swą urodą. Zachowywała się odwrotnie niż jeszcze do niedawna, gdy słuchała Junia w ekstazie kobiety bez pamięci zakochanej, całkowicie poddanej woli ukochanego. Stwierdzić trzeba, że im bardziej obojętna była Montse, tym gorliwiej nadskakiwał jej książę, zupełnie jakby czuł się winny, nie wiedział jednak, czym zgrzeszył, i nie miał odwagi o to zapytać, by nie pomyślano, że przyznaje się do winy. Zostało mu więc tylko pogodzić się z sytuacją i próbować podratować swe notowania, okazując Montse troskliwość i zrozumienie.

Nigdy później nie widziałem Junia równie bezbronnego, nijak nie można było uwierzyć w jego talent do obmyślenia, a tym bardziej popełniania zbrodni. Wydawał się roztargniony i niepewny, świadomy być może, że pozornie kapryśne zachowanie Montse było usprawiedliwione. Z drugiej strony doświadczenie to pomogło Montse pokonać kolejny stopień schodów do dorosłości. Była teraz bardziej wymagająca i nieufna, zupełnie jak świat stanowiący zawsze miraż innego świata.

Któregoś wieczoru pan Fâbregas zagadnął mnie na stronie:

- Wiesz może, w co się bawi moja córa? Przecież wszystko zepsuje. A książkę to nie gorący kartofel, by go tak sobie odrzucać. Druga taka okazja może się nie powtórzyć.

- Sprawdza przywiązanie i siłę uczuć amanta. Powiem wprost, panie Fâbregas: Montse uważa, że jej związek utknął w martwym punkcie i najwyższy czas, by Junio podjął jakąś decyzję.

Nic nie sprawiało mi takiej frajdy, jak pokpiwanie z pana Fâbregasa, zwłaszcza że wiedziałem o jego niechęci do mnie, spowodowanej właśnie moją przyjaźnią z jego córką.

- Kobiety nie ryzykują, chyba że związek ma przyszłość. Pod tym względem są jak przedsiębiorcy, tyle że w spódnicy - zauważył pan Fâbregas, wykazując się handlowym zmysłem.

Siódmego listopada wojska generała Franco zajęły Morę de Ebro, trzynastego La Fatarellę, a szesnastego listopada oddziały republikańskie wycofały się i bitwa nad Ebro - sto szesnaście dni walk, które pociągnęły za sobą sześćdziesiąt tysięcy ofiar - dobiegła końca. Według statystyk, które w wielu przypadkach najlepiej ukazują bitewny ferwor, wojska nacjonalistyczne w ciągu jednego tylko dnia oddały z dział trzysta tysięcy sześćset osiem wystrzałów. Nic więc dziwnego, że generał Rojo, głównodowodzący oddziałami republikańskimi, przyznał, że w bitwie nad Ebro zabrakło kunsztu, obecna była tam wyłącznie siła miażdżąca.

- W tym roku nie będzie zimy, mój drogi José Maria. Za trzy, cztery tygodnie nastanie wiosna - zapowiedział sekretarz Olarra, podobnie jak poprzedniego lata.

Nazajutrz otrzymaliśmy wiadomość o śmierci Rubiñosa, który poległ tydzień wcześniej w Ribarroja. Pech chciał, że republikański samolot zestrzelony przez dział przeciwlotnicze spadł akurat na tyłach wojsk nacjonalistycznych, zabijając czterech żołnierzy. Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem nawet, jak Rubinos miał na imię.

Tamtej nocy, gdy oparty o balustradę spojrzałem na miasto, zobaczyłem tylko gęstą plamę mroku i zrozumiałem, że - jak mówił Rubiños - również mój obraz Rzymu oglądanego z tarasu akademii jest jedynie odzwierciedleniem sennego marzenia.

## 21

Podczas gdy na froncie katalońskim ważyły się losy wojny w Hiszpanii, Hitler nie ustawał w realizacji swych planów. We wrześniu 1938 roku odbyła się konferencja w Monachium, podczas której Francja i Wielka Brytania przystały na niemiecką aneksję części Czechosłowacji, tak zwanego Kraju Sudeckiego, w nadziei, że na tym zakończą się roszczenia terytorialne Trzeciej Rzeszy.

Na początku października Junio znów został pilnie wezwany do Wewelsburga. Jak dowiedzieliśmy się po jego powrocie, dwaj naukowcy, którzy pracowali nad bezpiecznym rozłożeniem Mapy Stworzyciela, tak, by nie zniszczyć jej zawartości, zmarli podczas otwierania teczki i badania papirusu w ciemni. Autopsja wykazała, że przyczyną śmierci było zakażenie laseczkami wąglika. Z początku Himmler i jego ludzie uznali, że starożytni Egipcjanie, którzy za pomocą naturalnych trucizn pozbywali się wrogów i popełniali samobójstwa, skazili dokument wąglikiem, chroniąc go w ten sposób przed trafieniem w niepowołane ręce. Hipoteza ta została jednak odrzucona, ponieważ na początku XIX wieku ani Keats, ani Severn nie zostali zaatakowani przez bakcyli. Podejrzanie padło więc na księcia Cimę Vivariniego, który został uwięziony w Wewelsburgu i oskarżony o próbę zamachu na Hitlera tudzież pół



tuzina innych dygnitarzy Trzeciej Rzeszy podczas wspólnej podróży pociągiem z Rzymu do Niemiec. Dwa zdania wystarczyły Juniowi do obalenia zarzutów: „Osobiście i w obecności Führera poinformowałem o niemożności natychmiastowego skorzystania z mapy. Gdybym rzeczywiście chciał dokonać zamachu, poczekałbym, aż ktoś rozłoży mapę i wszyscy obecni zatrują się oparami węgliką”. Mimo to książe został poddany dwutygodniowej „kwarantannie” (według słów samego Junia), podczas której jego przeszłość została wzięta pod lupę. Umieszczono go w jednej z zamkowych komnat i zakazano mu kontaktów ze światem aż do zakończenia śledztwa. Gdy oczyszczono księcia z podejrzeń, Himmler doszedł do wniosku, że zamach był dziełem Świętego Przymierza - tajnych służb watykańskich. Nasączając Mapę Stworzyciela toksyczną substancją, Watykan chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: uniemożliwić, przynajmniej na jakiś czas, skorzystanie z mapy i pozbyć się Hitlera lub Himmlera, a nawet obu jednocześnie. *Scriptor* sprzedał zatem mapę Juniowi nie dla pieniędzy, ale z rozkazu Świętego Przymierza.

Przeciwności nie skłoniły bynajmniej hitlerowców do zmiany planów. Kilka dni później pancerny pociąg wyruszył z Wiednia, pod eskortą specjalnego oddziału SS, w kierunku Norymbergi, duchowej ojczyzny nazizmu, uwożąc skarbiec Habsburgów, a wraz z nim Włócznię Longinusa - przedmiot mocy, o którego posiadaniu marzyli i Hitler, i Himmler.

Mowa o kawałku zardzewiałego, pękniętego na pół i długiego na trzydzieści centymetrów żelastwa, którego ostrze wygięto, by umieścić w nim gwóźdź przymocowany złotym drutem - według tradycji jeden z tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dodatkowo, u podstawy relikwii, tuż przy rękojeści, umieszczono dwa krzyże, również ze złota. W gruncie rzeczy przedmiot ten nawet nie przypominał włóczni. Według podania rozpowszechnionego przez Krzyżaków tą właśnie bronią rzymski żołnierz Gaius Cassius Longinus przebił bok Chrystusa. W geście łaski Rzymianie łamali zwykle ukrzyżowanym golenie i ramiona, skracając w ten sposób ich męki, jednak tym razem Longinus wbił włócznię w lewy bok skazańca tak, iż z rany popłynęły obficie krew i woda. Rzymski żołnierz nie wiedział, że w ten sposób wypełni prorocstwo Starego Testamentu: *Kość Jego nie będzie złamana* <sup>6</sup>. Oczywiście narzędzie użyte do tak ważnego celu stało się przedmiotem bardzo cennym, przypisywano mu bowiem cudowne właściwości. Tradycja mówi, że Włócznia Longinusa cudem pojawiła się w roku 1098 w Antiochii, gdy krzyżowcy resztkami sił bronili miasta oblężonego przez Saracenów. Wiele wieków wcześniej posłużyła za talizman Karolowi Wielkiemu, który miał ją przy sobie podczas wszystkich czterdziestu siedmiu zwycięskich wypraw. Według legendy Karol Wielki zmarł, upuściwszy przypadkiem włócznię. Kolejnym królem posiadającym relikwię był Henryk Ptasznik - ten, za którego wcielenie uważał się Himmler. Z kolei Fryderykowi I Barbarossie cudowne właściwości Włóczni Longinusa pozwoliły podbić Włochy i wysłać papieża na wygnanie. Barbarossa zachował się równie nierozważnie, jak Karol Wielki, upuścił bowiem włócznię podczas przeprawy przez sycylijski potok.

---

<sup>6</sup> *Ewangelia wg św. Jana 19,36.*

Krótko potem już nie żył. Nic więc dziwnego, że także Hitler połakomił się na włócznię Habsburgów, choć - ma się rozumieć - zamierzał ją mocno trzymać. Wiara Führera w moc tej relikwii była tak ślepa, że nie zwrócił uwagi na ważny szczegół: istniały trzy inne Włocznie Longinusa - w Watykanie, Paryżu i w Krakowie - a historia każdej z nich była inna.

Obfitość szczegółów oraz dziwna gorliwość, z jaką Junio opowiadał Montse o swych przygodach w Wewelsburgu, przekonały ją, że ciężko to przeżył i potrzebuje się wygadać. Zupełnie jakby przykre doświadczenia uświadomiły mu, że wszystko jest łatwiejsze do zniesienia, jeśli darzy się kogoś uczuciem, i spieszno mu było wcielić tę zasadę w życie. Zdaniem Montse, w opowieści księcia prócz słów było coś, co pchało się na powierzchnię, próbując dojść do głosu. Kłóciło się to z osobowością Junia (oziębłego i nieskorego do sentymentów), czyniąc z niego istotę pełną sprzeczności. Zawsze utrzymywałem, że nagła przemiana Junia nie miała nic wspólnego z jego podróżą do Rzeszy ani z niebezpieczeństwem, które nad nim wtedy zawisło (a czego ani Montse, ani ja nie mogliśmy ocenić), ale raczej ze zmianą taktyki zmierzającej do odzyskania jej względów. Nie, nie sądzę, by w psychice Junia nastąpił przełom, co najwyżej chodziło o grę pozorów. Książę był rozmowny (w większości przypadków aż za bardzo), nie świadczy to jednak o jego otwartości. Wręcz przeciwnie: analizując wnikliwie jego słowa, można było dojść do wniosku, że nie lubi się z nikim spoufalać, ponieważ dowierza tylko własnemu dogmatyzmowi. Uciekał w dialektykę, jak inni uciekają w milczenie. Ale był to po prostu jazgot - dowód na to, jak pewny jest siebie oraz poglądów, w których obronie występował. Junio stał się nagle urzekający i troskliwy, bo zależało mu na pogawędkach z Montse. Niewykluczone, że wiedział o naszej działalności i chciał nas wykorzystać do swych celów. Na szczęście niebezpieczeństwo zaślepienia miłością minęło i Montse była teraz ostrożniejsza.

W każdym razie obawy Junia po powrocie z Niemiec były w pełni usprawiedliwione, jak niebawem pokazały wiadomości napływające z Rzeszy. W nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada 1938 roku miała miejsce Kristallnacht - „noc kryształowa” - pogrom połączony z paleniem ksiązek i synagog oraz plądrowaniem sklepów i mieszkań niemieckich Żydów, z których dwustu zamordowano, a tysiąc osadzono w obozach pracy. Ale „kryształowa noc” była tylko wierzchołkiem góry lodowej. Kilka dni później minister Göring wydał trzy dekrety jasno ukazujące stosunek narodowych socjalistów do „kwestii żydowskiej”. Pierwszy dekret zmuszał społeczność starozakonną do zapłacenia miliarda marek odszkodowania za „noc kryształową”, uznając ofiary agresji za jej prowokatorów. Drugi rugował Żydów z niemieckiej gospodarki. Trzeci nakazywał towarzystwom ubezpieczeniowym zapłacić skarbowi państwa za zniszczenia powstałe w czasie zamieszek i odbierał społeczności żydowskiej prawo do jakichkolwiek odszkodowań.

Sekretarz Olarra powiadomił nas o wydarzeniach w Niemczech nazajutrz, dziesiątego listopada, podczas obiadu. Do dzisiaj pamiętam pytanie dońi Julii i odpowiedź, jakiej udzielił jej sekretarz:

- Dlaczego Niemcy tak bardzo uwzięli się na Żydów?

- Ponieważ z ich winy przegrali wojnę czternastego roku, bo Żydzi stworzyli drapieżny kapitalizm rodem z Wall Street, po czym spowodowali krach na tamtejszej giełdzie, a na domiar złego są sprężyną nakręcającą bolszewicki komunizm.

- Zapomniał pan dodać, że to Żydzi wydali Jezusa w ręce Rzymian - wtrącił pan Fâbregas.

- Sama pani widzi: ponoszą winę nawet za ukrzyżowanie Chrystusa.

Doña Julia przeżegnała się i stwierdziła:

- W takim razie rzeczywiście są wstrętni.

- Bzdury, bzdury i jeszcze raz bzdury! Szukacie moralnego usprawiedliwienia rzezi popełnionej zeszłej nocy, co i was obarcza winą za niemiecki pogrom - włączyła się do rozmowy Montse.

Reakcja córki wprawiła w osłupienie pana Fâbregasa, obrzuconego ganiącym spojrzeniem przez sekretarza Olarrę.

- Cóż ty wygadujesz, dziecko! Zresztą, co ty w ogóle możesz wiedzieć o Żydach?! Są źli i tyle! A teraz marsz do swojego pokoju - zgromił Montse ojciec.

- Jestem dorosła i ani myślę się stąd ruszać - usłyszał w odpowiedzi.

Odpowiedź Montse rozsierdziła jej ojca, który zamierzył się, by ją spoliczkować. Rzucił się na niego i chwycił go za ramię, zanim jego prawa dłoń dosięgła twarzy ofiary.

- Puszczaj, pajacu! - ryknął na mnie pan Fâbregas.

- Uprzedzam, że jeśli uderzy pan córkę, będzie pan miał ze mną do czynienia - wycedziłem.

Znacznie później, gdy już mieszkaliśmy razem, Montse wyznała, że fakt, iż stanąłem w jej obronie, zmienił radykalnie jej opinię o mnie - od tej pory przestała mnie uważać za mięczaka podszytego strachem.

- Słyszeli państwo? Słyszał pan, panie Olarra? On mi grozi - pan Fâbregas szukał zrozumienia u sekretarza.

- No już, spokój! José Maria, puść pana Fâbregasa, a pan, dobry człowieku, niech nie podnosi ręki na córkę. Proszę mi tu nie wszczynać burd.

Pan Fâbregas wyrwał się z mojego uścisku i rzucił do mnie ze skwaszoną miną:

- To twoja wina, chojraku. Napchałeś Montse do głowy bolszewickich bredni. A wszystko dlatego, że nie możesz patrzeć, jak zadaje się z księciem. Wiem, że robisz do niej słodkie oczy. Myślisz, że jestem ślepy? Doniosę na ciebie do ambasady za komunistyczne poglądy. Dopilnuję, by cię deportowano do Hiszpanii i rozstrzelano.

- To wyłącznie twoja wina, tato - ujęła się za mną Montse.

- Moja? Myślisz, że trafiliśmy tu przeze mnie? O nie, to sprawka bolszewików, właśnie takich jak twój koleżka.

- Winę za to, że musieliśmy uciekać z Barcelony, ponosi Franco, który wystąpił zbrojnie przeciwko republice. A to, że chciałeś spoliczkować swoją dwudziestojednoletnią córkę, jest również winą Franco. Więc jeśli zamierzasz donieść na José Marię za jego poglądy, będziesz musiał donieść i na mnie.

Nowy wybuch Montse wprowadził wszystkich w chwilowe osłupienie. Byłem jednak pewien, że jej ojciec wnet oprzytomnieje i ruszy do kontrataku, gwałtowniejszego, jeśli to w ogóle możliwe, niż przedtem - dlatego rzuciłem do Montse:

- Lepiej chodźmy stąd.

- Tak, idźcie i przemyślcie głęboko swe zachowanie i María, po powrocie chcę cię widzieć u siebie w gabinecie - zabrał głos sekretarz Olarra.

Dzięki omdleniu, udanemu przez doinę Montserrat, uniknęliśmy pościgu pana Fábregasa. Już na dziedzińcu San Pietro na Montorio Montse powiedziała:

- Zachowałeś się jak prawdziwy rycerz.

Komplement ten Montse powiedziała z wyniosłością - jednym z galonów, jakie przypina nam dorosłość. Zrozumiałem, że nigdy więcej nie pozwoli sobą pomiatać, świadoma, że pierwsza i podstawowa powinność dotyczy zawsze nas samych, z czego wypływa obowiązek obrony tego, w co wierzymy, choćby nawet instynktownie i porywczo.

- Coś mi się zdaje, że moje dni w akademii są policzone - stwierdziłem.

- Przykro mi, że narobiłam ci bigosu.

- To i tak było tylko kwestią czasu.

- Co teraz zrobisz?

- Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy z mieszkania, które odziedziczyłem po rodzicach, więc wynajmę jakiś kąt i rozejrzę się za pracą.

- Mam pomysł: poprośmy o pomoc Junia.

Choć w pierwszej chwili uznałem propozycję Montse za znak najgorszy z możliwych, ton jej głosu - obojętny i wyzuty z entuzjazmu - uświadomił mi, że pomaga mi tylko wybrnąć z trudnej sytuacji.

- Mimo że ma ręce splamione krwią?

- Zaczynam myśleć, że w dzisiejszych czasach wszyscy mamy ręce splamione krwią. Sam słyszałeś, co myśli mój ojciec i sekretarz Olarra o Żydach. Zresztą obawiam się, że nie tylko oni. Poza tym wszystko wskazuje na to, że wojna w Hiszpanii szybko się skończy i lada dzień wrócę do Barcelony. Wtedy ktoś będzie musiał podtrzymać kontakt z Juniem, by informować Smitha o jego poczynaniach.

Montse miała rację. Choć odsuwałem od siebie myśl o jej wyjeździe, pewnego dnia miała wrócić do domu.

Nagle zapragnąłem, by wojna w Hiszpanii trwała wiecznie. A kiedy zaczęliśmy schodzić w kierunku Zatybrza i budynek akademii zniknął za zakrętem, przez chwilę zamarzyłem, by więcej się nie pojawił, by akademia w ogóle nie istniała i żadne z nas nie musiało do niej wracać. Wtedy Montse, zupełnie jakby czytała w moich myślach, powiedziała, ująwszy mnie za rękę:

- Czasami czuję się w akademii jak w więzieniu. Ale wtedy przypominam sobie, że gdyby nie ona, nigdy bym cię nie poznała.

## 22

Moja ostatnia rozmowa z sekretarzem Olarrą okazała się najszczersza. Gdy wszedłem do jego gabinetu, siedział pod światło w swoim fotelu, obok nastawionego na cały regulator gramofonu, z którego płynął marsz bojowy. Wibracje tej piekielnej muzyki niewątpliwie rozpały w sekretarzu zapał, były jego pokarmem duchowym. Ale nawet po wyteżeniu słuchu dźwięki te okazywały się po prostu jazgotem grandilokwentnych i niezrozumiałych głosów, zagłuszanych przez kornety i bębny. Olarra odczekał, aż przebrzmi ostatnia nuta, i zapytał:

- Ochłonąłeś nieco, José Maria?

- Tak sędę.

- To siadaj.

Wykonałem polecenie i zamieniłem się w słuch.

- Dzisiejszy incydent to brzydka sprawa, zwłaszcza że pan Fâbregas nie odstępuje od zamiaru doniesienia na ciebie do ambasady - zaczął mówić. - Wyjaśniłem mu, ma się rozumieć, że istnieją inne sposoby...

Poczułem się jak skazaniec, któremu pozwolono odebrać sobie życie, zaoszczędzając mu w ten sposób hańby egzekucji, dlatego uprzedziłem wniosek sekretarza:

- Wyprowadzę się jeszcze dzisiaj, proszę się nie martwić.

- Tak będzie najlepiej - przyznał. - Ale zanim odejdziesz, chciałbym odbyć z tobą rozmowę, którą jesteśmy sobie winni. Będę szczery, José Maria: nigdy mi się nie podobałeś. A wiesz dlaczego? Bo zachowywałeś się zawsze jak osoba bezbarwna. A w czasach, w których przyszło nam żyć, nie ma nic równie nieprzyzwoitego, jak bezbarwność, niezdecydowanie, obojętność i nijakość. Nie dawało mi to spokoju, dlatego zadałem sobie trud i zapytałem twoich towarzyszy, tak, właśnie Hevadę, Munozę Molledę, Pereza Comendadora i kilku innych, o ich zdanie na twój temat. Wiesz, co mi odpowiedzieli? Że jesteś osobą oziębłą, że zawsze trzymasz się na dystans, że nie masz manii, zainteresowań ani pasji, a co gorsza, chyba nawet zmartwień. No a czy ktokolwiek może spać spokojnie, gdy jego ojczyzna wykrwawia się w wojnie domowej? Nie. Dlatego moje zainteresowanie tobą jeszcze wzrosło. Poprosiłem, by wybadali twoje poglądy polityczne i dowiedzieli się, na kogo głosowałeś w ostatnich wyborach. Również w tym przypadku byli zgodni: „Wstrzymał się, jest apolityczny”, a wtedy moja intuicja uderzyła na alarm. Tygodniami, nawet miesiącami, przysłuchiwałem się z uwagą twoim wypowiedziom, interpretowałem twe gesty, śledziłem kroki, aż w końcu doszedłem do tego samego wniosku: jesteś apolityczny. Zacząłem się wówczas zastanawiać, nadal się zastanawiam, czy chodzi o apolityczność aktywną, a więc czy jesteś buntownikiem, czy raczej niekompetentną, wynikającą z bierności. Wiedz, że bez względu na to, czy zaliczasz się do jednej, czy drugiej grupy, osoba apolityczna, wstrzymująca się od głosu, to istota wyjałowiona, której obce jest oddanie sprawie, a więc i cnota.

- Być może taki właśnie byłem, ale zmieniłem się - rzekłem.

- Mówisz o dzisiejszym incydencie?

- Mówię o tym, że osoby takie jak pan zamieniają w bohaterów tchórzki takich jak ja.

Olarra potrząsnął głową, by zaznaczyć, że się ze mną nie zgadza.

- Ty bohaterem? Nie rozśmieszaj mnie - zadrwił. - Naprawy myślisz, że podnosząc rękę i głos na pana Fábregasa, stałeś się bohaterem? Być może dla panny Montserrat, ale na pewno nie dla mnie

- Zawsze zastanawiałem się, dlaczego tak trudno pogodzić się panu z faktem, że niektóre osoby są nieskore przystać na zasady narzucane przez społeczeństwo.

Powiedziawszy to, zrozumiałem, że popełniłem gruby błąd. Powinienem raczej uzbroić się w cierpliwość i siedzieć cicho niż dać Olarrze kolejną okazję do pastwienia się nade mną.

- Ano dlatego, że żyjemy w społeczeństwie i stworzyliśmy normy regulujące nasze współzycie, a kto ich nie przestrzega, stawia się poza społecznym nawiasem - odparł. - Instynkt przynależności do grupy jest nieodłączną częścią naszej natury, dlatego niedorzecznością byłaby chociażby myśl o jednostce żyjącej poza nieskończonym

łańcuchem istot składających się na ludzkość. Powiedział to Nietzsche, a duce nie przestaje powtarzać. Świat pod tytułem „Rób, co chcesz” nie istnieje - jedyny możliwy świat to „Rób, co do ciebie należy”. Nie, nie można zrozumieć społeczeństwa, odcinając się od niego. Ale w twoim przypadku to też nie to. Wiem, że pochodzisz z zamożnej rodziny, że nigdy niczego ci nie brakowało i że ukończyłeś ze znakomitymi wynikami studia architektoniczne. Nie sądzę, byś był typową osobą żyjącą z dala od społeczeństwa. Nie jesteś nawet dziwakiem. Nie, po prostu szwankuje ci sumienie. W twoim życiu brakuje czynu, zapału, entuzjazmu. Chorujesz na fatalizm, który uleczyć może tylko silna wola. Wiedz bowiem, José Maria, że właśnie łącząc wszystkie nasze duchowe siły, przygotowujemy grunt pod budowę przyszłości.

O dziwo, słowa Olarry nie uraziły mnie, zaskoczyła natomiast łatwość, z jaką znajdował na wszystko wytłumaczenie. Zupełnie jakby był absolutnie pewny - tym rodzajem pewności zakorzenionej w politycznej ideologii faszystowskiej - że potrafi zgłębić to, co nieuchwytnie, posługując się najzwyczajszą teorią przeciwieństw.

- Skończył pan?

- Jeszcze słówko na pożegnanie. Zostaw w spokoju córkę Fábregasów. Oni sobie ubzdurali, że ten zaprzyjaźniony z wami jaśnie ksiązę stracił dla niej głowę. Ja w bajeczki nie wierzę i wiem, że włoski ksiązę, któremu woda sodowa uderzyła do głowy, nie interesuje się mieszczańką z Barcelony, choćby jej tatuś miał Bóg wie ile fabryk w Sabadell, chyba że chce jej skraść cnotę, a potem umyć ręce. Proponuję ci układ: zapomnisz o tej małej, a ja zadbam, by donos nie doszedł do skutku.

- Nie obrazi się pan chyba, jeśli nie uścisknę panu ręki, by przypieczętować naszą umowę.

Olarra uniósł prawe ramię w geście aprobaty wymieszanej pół na pół z rezygnacją, po czym wyprostował je nieco bardziej i zainscenizował rzymskie pozdrowienie.

- Życzę ci szczęścia, José Maria. Będzie ci potrzebne - rzucił na pożegnanie.

Montse czekała na mnie na balustradzie krużganków, obok małej fontanny, której szmer podkreślał panującą wokół ciszę. Przypominała jedną z postaci namalowanych przez Il Pomarancia w lunetach zdobiących ściany - istotę skromną i prostoduszną, prawie naifs.

- I co? — zapytała.

- Muszę się wyprowadzić.

- Rozmawiałam z Juniem. Powiedział, że znajdzie ci pracę.

- Pójdę się spakować.

- Pomogę ci. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

- Lepiej, by nas razem nie widziano. Olarra kazał mi przyrzec, że zostawię cię w spokoju. Jeśli nie dotrzymam słowa, doniesie na mnie do ambasady.

- Odwiedzę cię, jak tylko urządzisz się w nowym miejscu. Będziemy się widywać po kryjomu wieczorami i kontynuować to, co zaczęliśmy.

Nie miałem żadnych planów na przyszłość, chciałem tylko jak najszybciej opuścić akademię. Nie chcąc wykorzystywać sytuacji, zbyłem milczeniem słowa Montse. Czas miał zdecydować, czy będziemy się nadal widywali.

Gdy wychodziłem z akademii, nie czułem żalu, wręcz przeciwnie - przysiągłem sobie w duszy, że moja noga nigdy tam więcej nie postanie. Zwróciłem uwagę, że cały mój dobytek zmieścił się w dwóch tekturowych walizkach, mimo że trzy lata wcześniej wyruszyłem z Madrytu do Rzymu z trzema walizkami i niewielkim kufrem. Kiedy pozbyłem się tamtego bagażu? Najgorszy był jednak fakt, że zawartość dwóch tekturowych walizek była wszystkim, co posiadałem.

## 23

Ruszyłem w dół ulicą Garibaldię, kiedy usłyszałem za plecami ryk silnika, który milkł stopniowo, po czym zamienił się w miękki warkot, gdy samochód zrównał się ze mną.

- Aż tak źle? - zapytał męski głos, który wydał mi się znajomy.

Był to Junio. Siedział na tylnym siedzeniu italii, mimo zimowego chłodu miał opuszczoną szybę.

- Najwyraźniej - odparłem zdawkowo.

- Jak mawia duce, *molti nemici, molto onore*.

- Moimi jedynymi wrogami są sekretarz Olarra i pan Fâbregas.

- Chcesz, bym porozmawiał z Olarrą? - zaofiarował się Junio.

- Nie, dziękuję. Rzekłbym, że nasze stanowiska są nie do pogodzenia. Dawno już powinienem był się wyprowadzić

- Musisz stawiać wrogowi silniejszy opór - doradził mi.

Zaczynałem mieć już dość, że wszyscy oceniali moje zachowanie. Dlatego rzuciłem z kwaśną miną:

- Daj mi spokój. Nie mam ochoty na następne kazanie.



- Wsiadaj. Podwiozę cię.

- Dokąd chcesz mnie podwieźć?

- Widząc cię objuczonego walizami, mniemam, że na początek trzeba będzie poszukać ci kąta do spania. Znam odpowiednie miejsce: pokój po drugiej stronie rzeki, na ulicy Giulia. No wskakuj.

Nie wiem, czy czułem się słaby i wystraszony, czy tylko zmordowany, w każdym razie przyjąłem zaproszenie:

- Niech ci będzie.

Gabor dodał gazu, znalazł się kilka metrów przede mną, a potem zahamował, wysiadł i otworzył bagażnik. Pomyślałem, czym się ostatnio parał, i wydało mi się, że dostrzegam na jego twarzy satysfakcję zatwardzającego rozpusztnika.

Wypełniający samochód mocny zapach wody kolońskiej przypomniiał mi wzmiankę Rubiñosa o „wyperfumowanych Włochach”.

- Jeśli przeszkadza ci zapach, otwórz okno - uprzedził mnie książę. - Zawsze przesadzam z wodą kolońską. Czasem tak bardzo, że sam aż się duszę. Jeden z moich przyjaciół mawia, zresztą nie bez racji, że robię to, bo mam nieczyste sumienie. Cóż, nawet ktoś taki jak ja skrywa grzeszki.

Miałem ochotę mu powiedzieć, że wiem o jego grzeszkach i że potrzebowałby morza wody kolońskiej, by obmyć swe sumienie, powstrzymałem się jednak.

- A więc rywalizujemy o względy tej samej kobiety i, o ironio losu, muszę ci pomóc, by zaskarbić sobie jej łaski. To chyba niesprawiedliwe, prawda? - dodał.

- Każ szoferowi się zatrzymać! - krzyknąłem.

- No, nie bierz sobie tego tak do serca! Tylko żartowałem! - usprawiedliwiał się.

Po czym, wzięwszy mnie pod rękę, szepnął mi na ucho:

- *Montse prova grande affetto per te*<sup>7</sup>. Bez końca o tobie mówi.

Słowa Junia były dla mnie tylko chwilową pociechą - zaraz znów upadłem na duchu.

- Brednie - stwierdziłem.

- Wierz mi. Przecież zawsze miała cię przy sobie. Tyle czasu mieszkaliście razem... niczym rodzeństwo.

---

<sup>7</sup> *Montse pała do ciebie wielką sympatią (wł).*

Zląkłem się, że zaraz usłyszę, iż rezygnuje z Montse, że nie chce stawać na drodze naszemu szczęściu. Nie mogłem do tego dopuścić, więc udałem obojętność:

- Nie jestem nawet przekonany, czy mi się podoba. Poza tym, gdy jesteśmy razem, mówi tylko o tobie - powiedziałem.

Moja odpowiedź najwyraźniej ucieszyła księcia, zupełnie jakby rozwiewała jakąś dręczącą go wątpliwość.

- Czyli mówi o nas obu - zauważył.

- Na to wygląda.

- Mówi o nas obu, ale... czy traktuje nas tak samo? - zastanawiał się głośno, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Co masz na myśli?

- Żadna kobieta nie traktuje dwóch mężczyzn tak samo, chyba że żaden z nich jej nie interesuje.

- Cóż, i taka możliwość wchodzi w grę - przyznałem.

- Nie sądzisz, że kobiety to jedna wielka niewiadoma? Rozumują zupełnie inaczej od nas. I wbrew pozorom żyją w zupełnie odmiennym świecie. Pogardzają tym, co my szanujemy, i uwielbiają to, czego nijak nie możemy pokochać. Dla nas instynkt to podstawa, one natomiast przed wykonaniem jakiegokolwiek kroku myślą o konsekwencjach.

Junio przemawiał z powagą, jakby rzeczywiście zajmowały go te rozważania.

- Pewnie masz rację - bąknąłem.

- Wiesz, co najbardziej podoba mi się w Montse?

- Nie wiem.

- Że choć przeżyła wojnę i wygnanie, cała jej wiedza o życiu pochodzi z książek. Ufa lekturom bardziej niż doświadczeniu, co czyni z niej istotę podatną na zranienie. Myśli, że pożyteczne dla społeczeństwa jest tylko to, co napisano w książkach. Uważa na przykład, że sprawiedliwość powinna wyglądać dokładnie tak, jak ją przedstawiono w kodeksach prawnych. Jakby to było w ogóle możliwe. Należy do osób, które nie pojmują, dlaczego istnieją zabójstwa i kradzieże, skoro prawo ich zabrania. A wynika to z jej nieznamomości ludzkiej natury. Montse jest tak urocza, że mogłaby być królewną z bajki, choć w naszych czasach to raczej niemożliwe.

Słowa Junia sprawiły, że popadłem w milczące zamyślenie. Najwyraźniej cenił Montse bardziej, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Tak przynajmniej mówiły jego roześmiane oczy i nostalgiczny grymas warg. Zacząłem się nawet zastanawiać,

czy te gesty nie zdradzają aby jego uczuć. W takim razie dlaczego dopiero co chciał oddać mi Montse?

- A teraz powiedz mi rzecz następującą. Czy póki nie znajdziemy ci posady w jakimś studiu architektonicznym, jesteś gotowy podjąć się jakiegokolwiek pracy?

- Tak, pod warunkiem, że będzie uczciwa.

- Oczywiście, że będzie uczciwa. I łatwa. Reszty dowiesz się później.

Zaraz po skręceniu z Lungotevere di Tebaldi w ulicę Giulia samochód zaczął podskakiwać na wyboistym bruku. Zerknąwszy w lewo, zobaczyłem sylwetkę akademii, której wieże zdawały się lewitować nad Zatybrzem.

Gdy tylko przejechaliśmy pod mostem łączącym Palazzo Farnese z brzegiem Tybru, Gabor zapytał:

- Pod jaki numer jedziemy, książę?

- Osiemdziesiąty piąty - odparł Julio.

A odwracając głowę w moją stronę, dodał:

- To dom, w którym mieszkał Rafael de Sanzio, przynajmniej tak głosi tradycja. Należy do zubożałej rzymskiej arystokratki zaprzyjaźnionej z moją rodziną. Wynajmuje pokoje zaufanym osobom.

Przyznać muszę, że byłem mile zaskoczony. Gdybym miał osobiście wybierać ulicę i budynek, w którym chciałbym zamieszkać wskazałbym właśnie tę skromną renesansową kamienicę na ulicy Giulia. Ilekroć wychodziłem na spacer, niezawodnie przemierzałem od początku do końca tę uroczą ulicę: zaczynałem od fontanny Mascherone, jednej z najpiękniejszych w Rzymie, gdzie zanurzałem dłonie w granitowej misie, aż lodowata woda mroziła mi krew, potem kierowałem się ku żelaznej kracie na tyłach Palazzo Farnese, przez którą podziwiałem ogród i wspaniałą loggię. Następnie przechodziłem pod mostem obwieszonym korzeniami przybyszowymi bluszczu, łączącym pałac z brzegiem Tybru, przysiadłem na chwilę na tak zwanych sofach Giulia - ciągu kamiennych cokołów należących do Palazzo dei Tribunali zaprojektowanego na polecenie papieża Juliusza II przez Bramantego i niedokończonego na skutek śmierci zleceńodawcy - potem szedłem prosto aż do monumentalnego Palazzo Sacchetti, kończąc przechadzkę na kościele San Giovanni ai Fiorentini.

Moja nowa gospodyni okazała się osobliwą, wysoką i chudą damą o czarnych przepastnych i niezbadanych oczach, szorstkim charakterze i ostrym głosem, świszczącym niczym źle dokręcony zawór. Później dowiedziałem się, że niedomaga na płuca, mianowicie cierpi na schorzenie opłucnej. Kobieta, która przedstawiła się jako doña Giovanna, zaznaczyła, że od lokatorów wymaga idealnej ciszy, nie tylko w trosce

o bliźniego, ale ponieważ nawiedzają ją silne migreny i czasem, jak wyjaśniła, „odgłos szpilki spadającej na podłogę to dla mnie zabójcza tortura”.

- José Maria jest cichy jak nieboszczyk. Prawda? - zauważył książe.

Przytaknąłem. Przez chwilę zapragnąłem naprawdę nie żyć i znaleźć się jak najdalej od tego domu, od Rzymu, od świata.

- Wolałabym mieszkać sama, ale brak środków finansowych mi na to nie pozwala. Zapewne książe już panu o tym wspomniał. Nie lubię też dzielić domu z mężczyznami, bo większość z nich to niechlujni bałaganiarze. Dlatego oczekuję, że jako lokator będzie pan dążył do cielesnej czystości z wytrwałością godną świętego męża poszukującego mistycznej ekstazy.

Oniemiałem wobec takiej metafory. Zerknąłem na Junia, pytając go wzrokiem, dokąd mnie, u licha, przyprowadził.

- Doña Giovanna to kobieta surowa i zasadnicza, ale nie wtrąca się do życia lokatorów. Dostaniesz własny klucz i będziesz mógł wchodzić i wychodzić, kiedy zechcesz - dodał Junio, podkreślając na siłę przymioty gospodyni.

Na koniec kobieta starannie wypełniła długaśny formularz, zamęczając mnie pytaniami.

- Wymóg policji - usprawiedliwiła się.

Jeśli chodzi o pokój, był równie osobliwy, jak gospodyni: drzwi z piaskowanego szkła, podłoga pokryta cienką warstwą trocin, które służąca wymiatała i zmieniała każdego ranka. W południe ta sama służąca okadzała pokój lawendą, perfumując go na resztę dnia. Pościel i ręczniki pachniały kamforą, a ściany wytapetowane były mieniącą się materią w kolorze siarki. Żelazny szkielet łóżka skrzypiał jak hamulce pociągu. Na kapie leżało naczynie napełnione żarem, pod łóżkiem nocnik i worek węgla drzewnego. Lokatorzy samodzielnie opróżniali nocnik i wymieniali węgiel. Ponadto w pokoju stał dzban na wodę i porcelanowa miednica. Z jedynego okna, wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec, widać było skrawek nieba, przesyty ostatnich blaskami dnia.

- Co ty na to? - zapytał Junio.

- Lichota, ale dam sobie radę.

- No to pogadajmy o pracy. Jutro udasz się do apteki na bulwarze Rinascimento, zapytasz o don Orestego, aptekarza, powiesz mu, że przyszedłeś odebrać zamówienie księcia Cimy Vivariniego, i zanieśes to, co dostaniesz, na drugie piętro kamienicy numer dwadzieścia trzy na ulicy Coronari. Nie wolno ci rozmawiać z osobą, która otworzy drzwi. Po prostu przekażesz pakunek i już. To wszystko, na razie.

- To nie praca! - zaprotestowałem.

- Jak to nie? Zapłacę ci.

- Zapłacisz mi za udawanie chłopca na posyłki?

- Nie, zapłacę ci, ponieważ potrzebuję kogoś zaufanego, kto doręczy tę przesyłkę.

Wiedząc, jak skończyły niedawno osoby badające Mapę Stworzyciela, wolałem dmuchać na zimne i zapytałem:

- Co jest w pakunku?

- To nie twoja sprawa.

- A jeśli to jakaś niebezpieczna substancja i upuszczę ją niechcący? - argumentowałem.

- Nie bój się. Nawet jeśli upuścisz pakunek, nic ci nie grozi. Wystarczy już pytań.

Pomyślałem, że praca dla Smitha, dla ojca Sansovina i dla księcia jednocześnie to zbyt niebezpieczne przedsięwzięcie. Zwłaszcza że współpraca z Juniem oznaczała współpracę z nazistami, z całym ryzykiem, jakie to za sobą pociągało. Lecz z drugiej strony czy nie była to znakomita okazja, by przejrzeć ich plany?

Rozpakowałem walizki i zacząłem układać ubrania w szafie. W szufladzie przy łóżku znalazłem stare wydanie Biblii. Otworzyłem ją na chybił trafił i przeczytałem w Księdze Wyjścia: *Nie będziesz rozgłaszał fałszywych wieści i nie dołożysz ręki, ażeby z niesprawiedliwymi ludźmi świadczyć na korzyść bezprawia. Nie łącz się z wielkim tłumem, aby wyrządzić zło. A zeznając w sądzie, nie stawaj po stronie tłumy, aby przechylić wyrok*<sup>8</sup>. Nagle poczułem ukłucie w żołądku. Wtedy przypomniałem sobie, że od śniadania nic nie jadłem.

---

<sup>8</sup> Księga Wyjścia 23,1-2.

Nazajutrz zbudziłem się w takim samym stanie, w jakim zasnąłem - pełen obaw. Miałem wrażenie, że nie jestem w Rzymie, ale w obcym mieście, i czułem się nieswojo. W nocy skorzystałem z nocnika, nie chcąc wychodzić do ubikacji, wspólnej dla wszystkich lokatorów, i musiałem go teraz opróżnić. Nie zachwycała mnie jednak myśl o paradowaniu po korytarzu w piżamie, więc przeczekałem pół ranka, zanim wyszedłem z pokoju, by się umyć i ubrać.

Zgodnie z instrukcjami drugiego Smitha poszedłem do Biblioteki Watykańskiej spotkać się z ojcem Sansovinem. Intrygowała mnie sprawa wąglika i obawiałem się, że Junio mógłby obmyślać zemstę. Ojciec Sansovino nie przyjął mnie. Przekazał mi tylko przez jednego ze *scriptores* liścik następującej treści: „Spotkajmy się dziś o czwartej w krypcie bazyliki Świętej Cecylii. Jeśli nie możesz przyjść, powiedz o tym osobie, która doręczy ci tę wiadomość”.

Do popołudnia miałem czas wolny, więc postanowiłem uwinąć się jak najszybciej ze zleceniem księcia. Skierowałem się ku dzielnicy Borgo, mostem Sant'Angelo dostałem na drugi brzeg Tybru, skręciłem na lewo w ulicę Coronari i doszedłem do domu pod numerem dwadzieścia trzy, dokąd miałem doręczyć pakunek otrzymany w aptece. Był to najzwyczajniejszy w świecie budynek, jedna z wielu rzymskich kamienic. Potem kontynuowałem przechadzkę aż do bulwaru Rinascimento.

Apteka znajdowała się *vis-à-vis* księgarni, więc zanim odważyłem się wejść, pogapiłem się chwilę na wystawę z książkami. W rzeczywistości czekałem, aż wszyscy klienci opuszczą aptekę.

- *Che cosa desidera* <sup>9</sup>? - zapytał mnie uprzejmie subiekt, który doglądał akurat interesu.

- Szukam don Orestego.

- *Un attimo* <sup>10</sup> - powiedział sprzedawca, nie kryjąc rozczarowania.

Wyszedł na zaplecze, skąd po minucie wyłonił się krzepki mężczyzna w średnim wieku. Mimo białego kitla bardziej niż aptekarza przypominał atletę.

- Pytał pan o mnie?

- Przyszedłem po zamówienie księcia Cimy Vivariniego - powiedziałem.

- Czekałem na pana - odparł aptekarz, sięgając do kieszeni fartucha i wyjmując owiniętą w brązowy papier paczuszkę, mierzącą nie więcej niż pięć centymetrów na długość, a dwa i pół na szerokość. - Proszę.

<sup>9</sup> *Czym mogę służyć? (wł).*

<sup>10</sup> *Chwileczkę (wł.)*

- To wszystko?

- Niech pan to schowa do kieszeni marynarki - poradził.

Gdy znalazłem się znów na ulicy, kusiło mnie, by rozwinąć pakunek, ale powstrzymałem się z obawy, że zostanę nakryty. Skierowałem się ponownie na ulicę Coronari. Stanąwszy przed kamienicą, przyglądałem się jej przez chwilę badawczo, chcąc się upewnić, że nie zastawiono na mnie pułapki. Znużony czekaniem, aż coś się wydarzy, wszedłem do środka i z duszą na ramieniu ruszyłem na drugie piętro. Nie znalazłem dzwonka, więc zapukałem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zapukałem ponownie, tym razem energiczniej. Po minucie odsunął się wizjer i zobaczyłem w nim szkliste kobiece oko o pogrubionych tuszem rzęsach. Następnie zasunięto wizjer i uchylono drzwi na tyle, by zmieściło się w nich kobiece ramię z otwartą dłonią, na której położyłem pakunek. Zaraz potem ramię wślizgnęło się do swej jamy niczym wąż, a drzwi się zatrzasnęły. Z głębi mieszkania doszedł mnie męski głos, powtarzający raz po raz w obcym języku, chyba po niemiecku, jedno i to samo zdanie, w którym rozpoznałem wyrażenie *Mein Gott*. I to wszystko.

Przez jakiś czas włóczyłem się bez celu po placu Navona i ulicy Governo Vecchio, aż w końcu postanowiłem się schronić w pobliskiej kawiarni. Mój początkowy zapal zastąpiło oszołomienie, które kazało mi tkwić długą chwilę nad filiżanką cappuccino, nie zauważając jej nawet. Nie rozumiałem, co się dzieje, ani tym bardziej, co mogło zawierać apteczne zawiniątko. Czy w kamienicy pod numerem dwadzieścia trzy ukrywał się, nie wiadomo dlaczego, jakiś Niemiec? Czy był chory? I co miał z tym wszystkim wspólnego książę Cima Vivarini? Oczywiście przy pierwszej lepszej okazji zamierzałem podzielić się swoimi wrażeniami i wątpliwościami z Montse i ze Smithem.

Przekąśliłem coś i ruszyłem ku Zatybrzu brzegiem rzeki, która przypominała bury powróż duszący miasto.

Przed zapuszczeniem się do podziemi kościoła Świętej Cecylii podziwiałem przez chwilę rzeźbę Stefana Maderna - niezrównanie piękny *capolauvro*, przedstawiający, jeśli wierzyć tradycji, nietknięte rozkładem ciało patronki świątyni, odkryte przez kardynała Sfrondati w czasie pontyfikatu Klemensa VIII. Męczennica, którą torturowano, a następnie ścięto, miała głowę zakrytą chustą i nienaturalnie wykręconą, a ciało ułożone na boku, przodem do wiernych. Uwagę zwracały przede wszystkim dłonie z trzema wyciągniętymi palcami symbolizującymi jedność Świętej Trójcy. Pomyślałem, że za sprawą wojny w Hiszpanii i Hitlera znów nastały w Europie czasy męczenników.

Zszedłszy w końcu po schodach do krypty, ujrzałem ku mojemu zdumieniu ruiny republikańskiego *domus* z III wieku przed Chrystusem, na których w II wieku naszej ery powstała *insula*. Przez chwilę miałem wrażenie, że trafiłem do ryciny Piranesiego - jednej z tych, które oglądałem w gabinecie pana Tasso. Posuwałem się długim korytarzem, oświetlonym przez maleńkie świetliki w posadzce kościoła, po którego

bokach otwierało się pół tuzina mrocznych pomieszczeń przesiąkniętych przykrym zapachem stęchlizny. W jednym zauważyłem siedem kadzi z pospolitej cegły, przeznaczonych do barwienia tkanin, oraz niszę z płaskorzeźbą Minerwy, boskiej opiekunki domowego ogniska. W drugiej - pięć kunsztownie wykonanych rzymskich sarkofagów, w jeszcze innej nagromadzono kolumny i resztki oryginalnej posadzki. Bardziej na prawo znajdowała się spowita w półmrok łaźnia, gdzie przed ścięciem święta Cecylia poddawana była trzydniowym torturom. Na końcu korytarza, pod ołtarzem głównym bazyliki, otwierało się pomieszczenie neogotyckie, większe niż pozostałe, z posadzką imitującą styl *cosmatesco* i tuzinem okazałych kolumn, w którym umieszczono urny z relikwiami świętej męczennicy i jej męża, świętego Waleriana. Teraz czułem się, jakbym przeskoczył z ryciny Piranesiego w dekoracje do opery Wagnera. Na kracie broniącej dostępu do celi widniał napis:

DZIEŁO G.B. GIOVENALE WYKONANE NA ZLECENIE KARDYNAŁA  
MARIANA RAMPOLLI DEL TINDARO. ROK 1902.

Ojciec Sansovino spóźnił się i przybiegł zdyszany, zupełnie jak w dniu, kiedy zjawiał się w akademii, wpytując o Junia.

- Przepraszam, że kazałem ci czekać, José Maria. Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że jestem śledzony, dlatego przyjechałem *circolare rossa*.

Duchowny miał na myśli tramwaj objeżdżający rzymskie przedmieścia. Uznałem, że Smith dotrzymał słowa i to jego ludzie depczą ojcu Sansovinowi po piętach, dlatego nie przejąłem się specjalnie całą sprawą.

- I co, dowiedziałeś się czegoś o naszym wspólnym znajomym? - zapytał duchowny, opanowawszy zadyszkę.

- Stało się coś strasznego - zacząłem opowiadać. - Dwaj niemieccy badacze pracujący nad rozłożeniem Mapy Stworzyciela przypłacili swe badania życiem. Wszystko wskazuje na to, że papirus był skażony bakcylem wąglika.

Twarz ojca Sansovina zmieniła się w okamgnieniu.

- Kiedy ludzie nareszcie zrozumieją, że odpowiedź na trapiące nas problemy nie kryje się w mroku? Kiedy nauczymy się, że morderstwo nie jest lekarstwem na lęki, ale jego przeciwieństwem? Kiedy odkryjemy, że wroga nosimy w sobie i samemu sobie wypowiedzieć musimy zażartą wojnę? Niech Bóg się nad nami zmiłuje! - zagrzmiała jego zboląa dusza.

- Junio uważa, że ojciec jest trucicielem - uściśliłem.

- Myli się, choć to teraz bez znaczenia. Pamiętasz jednego ze *scriptores*, który sprzedał Mapę Stworzyciela księciu? W jego kieszeni znaleźliśmy skrawek papieru z narysowanym ośmiokątem, opatrzonym po obu stronach imieniem Jezusa i napisem: „Gotów na mękę w imię Boże”. To dewiza Stowarzyszenia Octogonus, pradawnej organizacji katolickiej, której członkami było zawsze ośmiu fanatyków gotowych



bronić religii za wszelką cenę, choćby przemocą. Korzenie sekty sięgają czasów wojen religijnych toczących się we Francji na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku. Słyszałeś o Francois Ravaillacu?

- Nie.

- Czternastego maja 1610 roku zamordował króla Francji Henryka IV, zadając mu serię ciosów nożem. Istnieją przypuszczenia, że Ravaillac należał właśnie do tej występnej organizacji, która pojawiała się i znikła w ciągu dziejów, choć nigdy nie udało się znaleźć jednoznacznych dowodów na jej istnienie ani wskazać jej członków. Po raz ostatni Octogonus ujawnił się w czasach napoleońskich. Oczywiście wrogowie Kościoła zawsze utrzymywali, że stowarzyszenie jest blisko związane ze Świętym Przymierzem. Mogę cię jednak zapewnić, że zastrzelony *scriptor* nie miał nic wspólnego z watykańskim wywiadem.

- Chce ksiądz powiedzieć, że *scriptor* dobrowolnie wydał się a śmierć, bo wiedział, iż po przekazaniu mapy zostanie zabity?

- W rzeczy samej. Był w pełni świadomy grożącego mu niebezpieczeństwa.

- To dlatego „L'Osservatore Romano” i Radio Watykańskie nie wspomniały o morderstwie. Rozpowszechnienie tego faktu byłoby równoznaczne z przyznaniem się do istnienia w łonie Kościoła sekty zabójców - rozmyślałem na głos.

- Chcieliśmy wyplenić zło z korzeniami. Nic nie zaszkodziłoby Kościołowi bardziej niż fakt, że banda morderców, choćby zapewniających o swej głębokiej wierze, działa pod jego egidą. Stosunek papieża do Hitlera jest powszechnie znany, nie znaczy to jednak, że Ojciec Święty pragnie śmierci niemieckiego kanclerza, i tym bardziej że namawia lub zachęca do zamachu na jego życie.

Nie chciałem mówić ojcu Sansovinowi, że z jego wywodów wnioskuję, iż zrozumienie tych, którzy przemawiają w imię Boże, jest równie trudne, jak zrozumienie nazistów.

- I co teraz? - zapytałem.

- Teraz, gdy już wiemy, że za sprzedażą Mapy Stworzyciela kryje się zbrodniczy spisek, z jeszcze większym zacięciem będziemy dążyć do zdemaskowania członków Stowarzyszenia Octogonus.

- Sęk w tym, że Junio nie ma pojęcia o istnieniu tej grupy fanatyków i, jak już mówiłem, obwinia ojca za wąglikową zbrodnię. Niewykluczone, że będzie próbował się zemścić.

- Jestem gotów na mękę w imię Boże - powiedział ojciec Sansovino, rozkładając ręce.

- Czy nie tak właśnie brzmi hasło zbrodniczej organizacji, o której dopiero co mówiliśmy? - zapytałem zdezorientowany.

- W krytycznej sytuacji jest ono bliskie każdej osobie zdecydowanej ponieść śmierć męczeńską. A duchowny powinien być zawsze gotowy złożyć ofiarę z życia, idąc za przykładem naszego Pana Jezusa Chrystusa - usłyszałem w odpowiedzi.

Wtedy zrozumiałem, że ojciec Sansovino nie przez przypadek wybrał na nasze spotkanie kryptę bazyliki Świętej Cecylii, gdzie żyła i poniosła śmierć męczeńską patronka tej świątyni. Umawiając się ze mną w tak szczególnym miejscu, chciał mi udowodnić, jaką bronią Kościół walczy ze swoimi wrogami - wiarą i wytrwałością, sprytem i determinacją oraz przekonaniem, że męczeńska krew nigdy nie leje się nadaremno.

Montse czekała na mnie w bramie kamienicy na ulicy Giulia. Dreptała energicznie w tę i z powrotem, przemarznięta do szpiku kości, choć jej sylwetka tchnęła spokojem, którego mnie brakowało. Przez chwilę miałem wrażenie, że porusza się po scenie wyznaczanej przez popękane cienie kamienicy. Kałuża u jej stóp odbijała ostatnie światła dnia. Zadałem sobie w duchu pytanie, kiedy padał deszcz i jakim cudem nawet tego nie zauważyłem.

- Dlaczego nie weszłaś i nie zaczekałaś na górze? - zapytałem z naganą w głosie.

- Chciałam, ale twoja gospodyni oznajmiła, że kobiety nie mogą odwiedzać lokatorów, i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

- Ta wiedźma jest gorsza od samego Olarry - warknąłem.

- Chyba żartujesz. Olarra uwziął się teraz na mnie. Widzę nieufność w jego stalowym spojrzeniu. Musiałam umówić się na spotkanie z Juniem, by nie próbował mnie śledzić. Wypiłam kawę z księciem, a potem Gabor podrzucił mnie tu samochodem. Za godzinę ma po mnie przejechać i odwieźć z powrotem do akademii. Obawiam się, że jeśli chcemy się widywać, będę musiała znów zaprzyjaźnić się z księciem.

Przypomniałem sobie swoją niedawną rozmowę z Juniem i jego pytanie, czy Montse traktuje nas jednakowo.

- Widzę, że w akademii nic się nie zmieniło.

Doña Julia ogłosiła, że wojna skończy się w kwietniu. Na ironiczne pytanie Olarry, czy nie jest aby tajnym agentem rządu Franco, odrzekła, że jej źródłem informacji jest duch Beatrice Cenci, który od tylu wieków snuje się po Akademii Hiszpańskiej, że siłą rzeczy zainteresował się naszą ojczyzną. Olarra postanowił ciągnąć tę szopkę i zapytał, czy widmo przekazało jej jakąś inną cenną informację. Na co doña Julia wypaliła z przekonaniem: „Ojciec Święty umrze w przyszłym roku, dziesiątego lutego”. Możesz sobie wyobrazić, jaki powstał rejwach. Niektórzy robią nawet zakłady. A ty, co o tym myślisz?

- Nic nie myślę, bo mam dość własnych problemów - wykręciłem się od odpowiedzi.

- Junio wspomniał, że będziesz dla niego pracować, póki nie znajdzie ci posady w jakimś studiu architektonicznym.

- Mianował mnie swoim gońcem. Dzisiaj rano kazał mi odebrać zamówienie z apteki i dostarczyć je na ulicę Coronari. Zabronił mi zadawać pytania, ale w mieszkaniu znajdował się najwyraźniej jakiś Niemiec, który zaraz po otrzymaniu przesyłki zaczął coś wykrzykiwać z ulgą. Kilkakrotnie usłyszałem: *Mein Gott!*

- Może jest chory i dziękował Bogu, że nareszcie dostarczono mu lekarstwo.

- W pierwszym momencie i ja tak pomyślałem. Ale przypuszczenie, że chodzi o obłożnie lub nieuleczalnie chorego, nijak nie tłumaczy całej tej atmosfery tajemniczości ani faktu, że mógł mnie obsłużyć wyłącznie właściciel apteki, w żadnym razie subiekt. Junio mówił, że potrzebuje do tego zlecenia osoby zaufanej, i tu mi coś nie gra, bo jeśli komuś nie ufa, to właśnie mnie.

- Może przekonał się do ciebie - zauważyła Montse.

- Nie, przynajmniej dopóki uważa, że zbyt często o mnie mówisz.

- Tak ci powiedział?

- Nie martw się, zapewniłem go, że przy mnie mówisz tylko o nim.

Montse uśmiechnęła się pobłażliwie i stwierdziła:

- Banda nadętych mitomanów. Zaprosisz mnie na coś gorącego?

- Myślałem, że byłaś już na kawie z księciem.

- Bo byłam, ale czekam tu na ciebie od pół godziny i zmarłam na kość.

- Chcesz, bym skoczył na górę po jakieś dodatkowe okrycie?

- Lepiej mnie obejmij - rzuciła.

Wziąłem ją w ramiona i poczułem, że drży, omdlewająca i zdjeta nagłą słabością, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewał. Dreszcz ten, moim zdaniem, był nie tylko skutkiem chłodu, ale również porywem zmysłów. Przytknąłem swój prawy policzek do lewej strony jej twarzy. Odczułem równie wyraźnie chłód i jej uległość. Było jasne, że Montse pozostawia mi inicjatywę. Pociągnąłem ją do zaułka, w którym zalegał już półmrok, i poszukałem ustami jej warg. Może miłość, jaką do niej czułem, popchnęła mnie do tego, może fascynacja, jaką w niej budziłem, nie pozwoliła jej stawiać oporu. Był to gorący pocałunek, któremu oddaliśmy się bez pamięci, aż do utraty tchu, niemal przytomności. Ulżył nam obojgu i zapewne to właśnie przejęło Montse lękiem. Nie lubiła okazywać słabości, tracić panowania nad sobą i swoimi czynami, ponieważ, jej zdaniem, „miłosne gesty usypiały świadomość, pozostawiając kobietę w ostatniej sytuacji wobec rzeczywistości”. Ale czy pocałunek, w którym dopiero co się spleliśmy,

nie był aby częścią rzeczywistości? Jeśli chodzi o mnie, czułem się, jakbym wygrał wielką bitwę.

- Teraz możemy już iść na kawę - powiedziałem, wzdrygając się czy to z zimna, czy z przepelniającego mnie wzruszenia.

I zapragnąłem, by w zapadającym mroku, który począł spowijać gęstym woalem rogi i zakamarki ulic, stał, obserwując nas z ukrycia, Junio Cima Vivarini. Teraz wiedziałem już na pewno: Montse mówiła o nas obu, ale całowała tylko mnie.

## 25

Dzięki codziennym popołudniowym wizytom Montse wiedziałem, że radość „zbiegów” z doniesień napływających z Hiszpanii została częściowo zmacona wiadomością o delikatnym zdrowiu Piusa XI, które pogorszyło się gwałtownie w listopadzie. W drugim miesiącu nowego roku, czwartego lutego, papież przeszedł zawał serca, a jego stan pogorszyła pięć dni później niewydolność nerek. Zmarł o świcie dziesiątego lutego, jak przepowiedziała doña Julia. Tego samego dnia skapitulowała Katalonia.

Stolica Włoch żyła w niepewności i konsternacji nie tylko z powodu śmierci papieża, ale również dlatego, że kwestia wyboru jego następcy ukazywała wyraźnie, jak każde z europejskich mocarstw prowadzi z pozostałymi walkę, chcąc osadzić na Piotrowym tronie własnego kandydata. Przez dwadzieścia dni oczy wszystkich skierowane były na Watykan. Nawet knowania księcia Cimy Vivariniego zeszyły na dalszy plan. Spotkałem się z drugim Smithem w E42, jednak nie miałem okazji wspomnieć mu o swojej nowej posiadzie. Smitha, podobnie jak cały Rzym, niepokoił wybór nowego papieża, słyszał bowiem, że Niemcy skłonni są wyłożyć okazałą sumę, byle zagwarantować zwycięstwo swego kandydata. Prosił, bym spróbował się czegoś dowiedzieć od ojca Sansovina. Lecz zanim udało mi się z nim spotkać, Eugenio Pacelli, przez dwanaście lat nuncjusz apostolski w Niemczech i były sekretarz stanu Piusa XI, został nowym biskupem Rzymu. Ponoć, jak dowiedziałem się po fakcie od ojca Sansovina, jego wybór pełen był nieprawidłowości, które stawiały pod znakiem zapytania honor głosujących kardynałów i skuteczność tajnych służb oraz ambasad krajów, którym zależało, by nowy papież sprzyjał im politycznie. Dla Amerykanów, Anglików i Francuzów wymarzoną kandydatem był Pacelli, choć ten i ów członek francuskiej kurii skłaniał się raczej ku byłemu nuncjuszowi w Paryżu, kardynałowi Maglionemu o zdecydowanie antyfaszystowskich poglądach. Kandydatami Włoch i Niemiec byli natomiast kardynałowie Maurilio Fossati z Turynu i Elia Dalla Costa z Florencji. Chcąc zagwarantować wybór jednego z nich, naziści przesłali trzy miliony marek w sztabkach złota niejakiemu Tarasowi Borodajkewyczowi, wiedeńczykowi

ukraińskiego pochodzenia i agentowi Jednostki do spraw Kościoła, podlegającej służbom wywiadowczym Trzeciej Rzeszy. Zdaniem Borodajkewycza, posiadającego znajomości w wysokich sferach rzymskiej kurii, była to suma wystarczająca do przekupienia dostatecznej liczby kardynałów. Jednak sześćdziesięciu dwóch elektorów zgromadzonych na konklawe wybrało w trzecim głosowaniu kardynała Eugenia Pacellego. Była godzina siedemnasta dwadzieścia pięć drugiego marca 1939 roku.

Hitlerowcy natychmiast zażądali od Borodajkewycza zwrotu złota, okazało się jednak, że szpieg zapadł się pod ziemię. Choć nie do końca, bo kilka dni potem znaleziono jego zwłoki dyndające na belce altany w jednym z parków w centrum Rzymu.

Gruchnęła wieść, że Tarasa Borodajkewycza zlikwidowali agenci SS po odzyskaniu złota. Inni twierdzili, że został zabity przez papieskiego szpiega, niejakiego Nicolasa Estorziego, pochodzącego z Wenecji postawnego, na oko trzydziestoletniego mężczyznę o śniadej cerze i czarnych włosach. A ponieważ według informacji włoskich tajnych służb Taras Borodajkewycz dwudziestego szóstego odwiedził liczne odlewnie na przedmieściach Rzymu w towarzystwie wysokiego, przystojnego i śniadego mężczyzny (opis pasował do Estorziego), uznano, że chcieli oni przetopić niemieckie sztabki, by usunąć z nich znak Reichsbanku. Kolejny ślad prowadził do martwego Borodajkewycza w parkowej altanie i do odlewni na weneckiej wyspie Murano, gdzie Estorzi miał przetopić niemieckie złoto, wybijając na każdej nowej sztabce znak Watykanu. Podobno skarb został ostatecznie zdeponowany w pancernym sejfie szwajcarskiego banku. W tym miejscu ojciec Sansovino pokusił się o komentarz, który zupełnie zbił mnie z tropu:

- Nie trzeba być wyjątkowo przenikliwym, by zauważyć liczne podobieństwa między Nicolasem Estorzim i księciem Cimą Vivarinim - rzucił ni z tego, ni z owego.

- Co ksiądz chce przez to powiedzieć?

- Estorzi, zupełnie jak nasz książę, liczy sobie około trzydziestu lat. Obaj pochodzą z Wenecji, są przystojni, wysocy, śniadzi i ciemnowłosi.

- Sugeruje ksiądz, że Estorzi i Cima Vivarini to ta sama osoba?

- Podkreślam tylko podobieństwa.

- Jeśli to prawda, książę byłby agentem Świętego Przymierza i musiałby ksiądz coś o tym wiedzieć - zauważyłem.

- Być może chodzi o pozbawionego skrupułów oszusta, który udając agenta Watykanu, wykorzystał naiwność nazistów i sprzątnął im sprzed nosa trzy miliony marek.

- Książę jest bogaty - stwierdziłem.

- Żaden bogacz nie uważa, że jest wystarczająco bogaty.

Do dzisiaj nie wyjaśniono, co stało się ze sztabkami złota zainwestowanymi przez nazistów w wybór papieża. Wiadomo natomiast, że kardynał Pacelli, który cztery dni po objęciu tronu Piotrowego wystosował do Hitlera przymilny list, załagodził dotychczasową wrogość między Watykanem a Trzecią Rzeszą.

Jeszcze w tym samym miesiącu Hitler dokończył aneksji Czechosłowacji, zajmując Czechy i Morawy, przywłaszczył sobie litewską Kłajpedę i upomniał się o prawo Niemiec do tak zwanego korytarza polskiego i Wolnego Miasta Gdańska - terenów utraconych po pierwszej wojnie światowej - dowodząc, że polityka Rzeszy zmierzająca do skupienia w jednym państwie całej germańskiej ludności Europy Środkowej stała się faktem.

Tymczasem działalność Junia nie traciła na intensywności, więc niezmiennie co poniedziałek musiałem odbierać w tej samej aptece taki sam pakunek i dostarczać go pod ten sam adres. Niemiec z ulicy Coronari nic powtarzał już *Mein Gott*, choć, owszem słyszałem, jak rozmawia po niemiecku z kobietą, która niezmiennie pokazywała mi w wizjerze umalowane oko i wyciągała ku mnie drapieźną rękę.

Oczywiście podczas naszych cotygodniowych spotkań starałem się dojrzeć w księciu agenta Świętego Przymierza Nicolasa Estorzego, który wykradł hitlerowcom sztabki złota warte trzy miliony marek, jednak natychmiast odrzucałem tę hipotezę, bo w gestach i zachowaniu Junia nie było śladu lęku, bo w niczym się nie zmienił, bo dewiza na jego czarnej koszuli nadal głosiła, jak niewiele znaczy śmierć dla kogoś, kto umiera mężnie. Nie, Junio nie był Nicolasem Estorzim.

Również Montse dotrzymała obietnicy i odwiedzała mnie, kiedy tylko mogła. Przez dwadzieścia dni, od śmierci Piusa XI do wyboru jego następcy, nosiła ściśłą żałobę. Nie przeszkadzało mi to skrać jej od czasu do czasu całusa, w niepowstrzymanym porywie miłosnym silniejszym nawet od mojej własnej woli, by powtórzyć owo pierwsze zetknięcie naszych ciał. Ale żaden późniejszy pocałunek nie mógł się równać z tamtym, żaden uścisk nie był równie zmysłowy. Montse nie sprzeciwiała się, oddawała mi, że tak powiem, swoje ciało, choć myślami była gdzie indziej - przygotowywała się do powrotu do Barcelony.

- Przecież ci powiedziałam, że nigdy się już nie zakocham - mówiła na swe usprawiedliwienie, wyczuwając moją desperację.

Ale za jej zimną obojętnością krył się przejmujący ból spowodowany rychłym wyjazdem. Myślę, że w głębi duszy podziwiała mnie za to, że postanowiłem nie wracać do Hiszpanii, i czuła, że wyjeżdżając, zdradza samą siebie, i to właśnie teraz, gdy Rzym stał się miastem jej dorosłości. Przeczowała, że podobnie jak ona sama, również Barcelona przeszła w wyniku wojny głęboką przemianę i mogą się nie poznać (używam liczby mnogiej, bo uważam miasto za istotę żywą). Więc jeśli Montse obawiała się spotkania ze swą przeszłością, ze wspomnieniami, z ulicami dzieciństwa, oszpeconymi widocznymi śladami wojny, to dlatego, że procesy zsyłające katharsis

udowadniają nam często, iż nie przynależymy już do jakiegoś miejsca, gdyż zmianie uległy założenia nadające sens naszemu życiu.

Natłok zdarzeń, niekiedy jednoczesnych, nie pozwolił mi zauważyć, że po kapitulacji Katalonii brakowało tylko, by poddał się Madryt, a wojna w Hiszpanii dobiegłaby końca. Nastąpiło to dwudziestego ósmego marca, co generał Franco potwierdził pierwszego kwietnia ostatnim komunikatem z frontu. Do tamtej pory „zbiegowie” zdążyli już spakować swój dobytek i wypatrywali tylko okazji, by wsiąść na statek w Civitavecchii i odpłynąć do Barcelony.

Były to dla nas obojga dni pełne niepokoju i czyhającego na każdym kroku lęku o najbliższą przyszłość, kiedy cień straconych szans deptał nam po piętach, choć żadne z nas nie miało odwagi wspomnieć o rozstaniu. Woleliśmy mamić się myślą, że najlepiej, by pożegnanie nas zaskoczyło i nie dało nam czasu do reakcji.

Pewnego kwietniowego ranka, zakomunikowawszy mojej gospodyni, że czeka pod bramą, Montse powiedziała mi po prostu:

- Wyjeżdżam. Wracam do Barcelony.
- Kiedy? - zapytałem, wciąż nieświadomy, że wyjazd może być natychmiastowy.
- Statek odpływa dzisiaj po południu, o piątej.
- Będziesz do mnie pisać?
- Listy zadałyby ci tylko ból.
- Podobnie jak ich brak.
- Wiem, ale potrwa krótko, czas go ukoi. Zapomnisz o nmj zapomnimy o sobie.
- Ale ja cię kocham! - krzyknąłem, chwytając ją za nadgarstki i na próżno starając się zatrzymać.
- Puść, to boli! - jęknęła.
- Zostań ze mną, błagam!
- Nie mogę. Przynajmniej na razie.
- Powiedz, czego się boisz?
- Niczego się nie boję. Ostatnio bardzo wiele się zdarzyło muszę uporządkować myśli i uczucia, a mogę to zrobić tylko w Barcelonie.
- Dlaczego akurat w Barcelonie? - zapytałem.
- Bo tam jest mój dom, bo wszyscy mamy przeszłość, a mnie odebrała ją wojna.
- A co powiesz o przyszłości?

- Nic. Nikt nie zna przyszłości.

Raptem poczułem, że odległość między nami się powiększa, jakby Montse odbiła już od brzegu, a ja jakbym stał na molo i patrzył w ślad za nią. Potem, pocałowawszy mnie w policzek - był to pocałunek wilgotny i zimny niczym muśnięcie morskiej bryzy -dodała:

- Lepiej pożegnajmy się tutaj. Uważaj na siebie, José Maria. Żegnaj.

Spuściłem oczy, by pogodzić się z jej słowami, a gdy znów na nią spojrzałem, Montse zaczęła się już oddalać.

Teraz moje uczucia uległy radykalnej zmianie: złapały mnie mdłości, jakbym to ja stał na pokładzie i wszystko falowało pod moimi stopami, a Montse oddalała się powoli ulicą Giulia. Najpotworniejsze było to, że nijak nie mogłem jej już dogonić. Nasze rozstanie wydawało się nieodwracalne. Nasze ruchy były niezależne, skierowane w przeciwnych kierunkach. Nawet gdyby statek zatonął albo Montse rzuciła się do morza, nie moglibyśmy się już połączyć. Wszystko było stracone.

O drugiej po południu, wciąż poruszony tym, co się działo, stanąłem na początku Ponte Sisto, skąd roztaczał się najlepszy widok na akademię. Montse lada chwila miała opuścić budynek, może nawet już to zrobiła. Nijak nie mogłem dojrzeć z mostu, czy ktoś wchodzi, czy wychodzi, nie miało to jednak znaczenia. Chciałem po prostu ocalić wspomnienia, pozostawione w tych murach, nim upływający czas przemieni je w widma. Mimo to w najgłębszym zakamarku mojego jestestwa tliła się nadzieja, że Montse zmieni zdanie i lada moment wyłoni się na przeciwległym końcu mostu. Stałem tak bez ruchu, aż tramonto ustąpił miejsca mrokom nocy, która opadła na Rzym niczym ciężka kurtyna. Dopiero wtedy dałem za wygraną. Pomyślałem, że wyjazd Montse zostawia mnie na łasce widm przeszłości.



## Cześć druga

### 1

Wyjazd Montse udowodnił mi coś, o czym myślałem wielokrotnie: że miasto to przede wszystkim stan ducha. Dopiero gdy Montse mnie osierociła, odkryłem na przykład, że na ulicy Giulia nie ma drzew. Wiem, że to być może błahostka, ale dopiero gdy poczułem się nagi i bezbronny z powodu jej nieobecności, którą wówczas uważałem za definitywną, zwróciłem uwagę na nagość niektórych miejskich pejzaży. Jak mówiłem, na ulicy Giulia nigdy nie było drzew, a jednak nie zauważyłem tego wcześniej, bo gdy życie płynie normalnie, uznajemy anormalność za jego część. Lecz wystarczy po prostu zmiana nastroju, byśmy odkryli, że anormalność żyje własnym życiem, a otaczające nas obiekty i przedmioty nie są zwykłymi, bardziej lub mniej okazałymi elementami dekoracji, ale stanowią również naszą duchową podporę. Chcę przez to powiedzieć, że architektura jest zawsze konsekwencją kwestii globalnej, a jej postrzeganie bywa również uzależnione od jakiejś kwestii, w tym przypadku osobistej. Akt wizualnej percepcji składa się na zmysł wzroku, który z kolei jest blisko związany z uczuciami, dlatego najdrobniejsza zaistniała w nas zmiana emocjonalna może wpłynąć na nasz sposób postrzegania otoczenia. To prawda, że, jak zwykle się mawiać, miasta pulsują życiem, jest to jednak zasługa serc ich mieszkańców. W ten właśnie sposób odkryłem Rzym, inny Rzymu, jaki znałem. W ten sposób odkryłem nieznaną mi dotąd część siebie. Zupełnie jakby moje ego - zwierciadło, w którym przegląda się świadomość - rozprysło się na tysiąc kawałków.

W maju, z okazji nowego sojuszu podpisanego przez Trzecią Rzeszę i Włochy, przeprowadziłem z Juniem rozmowę, która na kilka dni wyrwała mnie z letargu. Zakomunikowawszy mi, że chwilowo nie będzie mnie już potrzebował jako gońca przyznał, że sytuacja w Niemczech skomplikowała się z winy watykańskiego szpiega - człowieka bez twarzy, doskonale władającego językiem niemieckim, posługującego się pseudonimem „Posłaniec” i podejrzewanego o skażenie mapy, którego nazistowskie służby wywiadowcze nie potrafią ująć. Zaraz potem książe dodał:

- Naziści uważają, że „Posłaniec” to Nicolas Estorzi. Ich zdaniem jest on członkiem istniejącej od wieków katolickiej sekty asasynów, stworzonej na obraz i podobieństwo innej arabskiej organizacji religijnej, której członkowie mordowali w nadziei, że otworzy to przed nimi bramy raj.

Zdumiała mnie nie tyle wzmianka o Nicolasiu Estorzim, ile fakt, że Junio dodał jeszcze jedną nazwę do listy zbrodniczych organizacji działających pod egidą Kościoła.

Po ponownym spotkaniu z drugim Smithem w E42 i powtórzeniu mu słowo w słowo treści mojej rozmowy z księciem oraz po umówieniu się znów z ojcem Sansovinem w krypcie bazyliki Świętej Cecylii na powrót straciłem zainteresowanie

życiem i zacząłem przemyślać o samobójstwie. Pamiętam, że przez kilka tygodni, gdy Junio bez skutku zabiegał w studiach architektonicznych o posadę dla mnie, rozczytywałem się w biografii sławnych ludzi, którzy z tego czy innego powodu postanowili odebrać sobie życie. Burzliwą i nieszczęśliwą egzystencję Emilia Salgariego obrałem za zwierciadło, w którym począłem się przeglądać. Moją uwagę zwróciło jego niespokojne życie. Nadir, syn twórcy opowieści o piracie Sandokanie, pisał, że jego ojciec triumfował na morzach i w dżungli, uległ natomiast prozie cywilizowanego życia, mając biedę za swą najwierniejszą towarzyszkę, mimo że jego książki sprzedawano w tysiącach egzemplarzy. Jednak największe wrażenie zrobił na mnie tragiczny koniec pisarza, który sześć dni po stracie żony, aktorki Aidy Peruzzi, popełnił harakiri malajskim nożem kris o pofalowanym ostrzu, w dalekim zakątku Val de San Martino, u podnóża turyńskich Alp. Ostatecznie postanowiłem jednak nie iść za przykładem Salgariego, tym bardziej że - według moich informacji - Montse nadal żyła.

Na początku lipca odwiedził mnie książę. Stwierdził, że doña Giovanna słusznie doniosła mu, iż „podupałem na zdrowiu, schudłem i oczy mi się zapadły”. Zapewnił, że martwi się o moją kiepską kondycję - fakt, na mój jadłospis składała się głównie *mozzarella di búfala z pomodori pacchino*, trochę makaronu, odrobina sera pecorino, a od czasu do czasu jakaś sycylijska pomarańcza o czerwonym miększu - i zaproponował mi wspólny wyjazd do Bellagio, maleńkiego czarującego miasteczka nad jeziorem Como, niedaleko Mediolanu i granicy włosko-szwajcarskiej.

Bynajmniej nie pociągała mnie perspektywa spędzenia części lata w towarzystwie Junia, ale po wyjeździe „zbiegów” i stypendystów z Akademii Hiszpańskiej tylko z nim utrzymywałem jako taki kontakt. Nie zamierzam oceniać, czy nasz przeżywający ciągle wzloty i upadki związek opierał się na prawdziwej przyjaźni (wszak przyjaźń może równie dobrze bazować na urazie, podobnie jak uśmiech bywa pogardliwy), w każdym razie świadomość, że książę jest osobą podejrzaną, uspokajała mnie i sprawiała, że wbrew wszelkim oczekiwaniom czułem się w jego towarzystwie pewnie. Z drugiej strony byłem przekonany, że Junio wie, czym się zajmuję, a ponieważ z mojego punktu widzenia odbijało się to pozytywnie na naszych stosunkach, przyjąłem jego zaproszenie. Niewykluczone, że po moich niespełnionych planach popełnienia harakiri malajskim nożem kris liczyłem na heroiczny koniec u boku księcia - czy dlatego że Junio kazałby mnie zamordować, czy to ginąc wraz z nim z rąk jednego z jego wrogów, których, moim zdaniem, mu nie brakowało.

Po podróży z Rzymu do Como w wygodnej *carrozza* pociągu zmierzającego do Lugano zamieszkaliśmy w Grand Hotel Serbelloni, starej prywatnej willi zbudowanej przez ród Frizzoni w 1852 roku. Junio i Gabor zajęli dwa przylegające do siebie pokoje (jeśli mnie pamięć nie myli, właśnie wtedy zacząłem żywić podejrzenia co do seksualnych upodobań księcia), a ja wprowadziłem się do obszernego, jasnego apartamentu z widokiem na jezioro, leżącego na drugim końcu korytarza. Na dekorację apartamentu składały się francuskie meble, ciężkie aksamitne zasłony, wiekowe perskie dywany, chandeliers ze szkła z Murano oraz freski. Nigdy wcześniej i nigdy później nie mieszkałem w takich luksusach, dlatego tamte dni są dla mnie niczym słodki sen, którego wspomnienie jest tym miłsze i trwalsze, im bardziej oddala się w czasie.

Bo właśnie czas, utraciwszy kontury dni, stał się płynny i głęboki niczym wody jeziora Como, czyste powietrze wypełniało wszystkie zakamarki, ścieżki okolone były setkami rabat obsypanych jaskrawymi kwiatami - jednym słowem moje życie doznało odprężenia niczym mięśnie po ciężkim wysiłku fizycznym. Wielkiego wysiłku wymagała bowiem moja egzystencja w Rzymie po wyjeździe Montse. Zacząłem nawet zazdrościć tubylcom ich na wpół skrytej, na wpół dobrotliwej natury, zdecydowanie bardziej oględnej w politycznych demonstracjach w porównaniu z Włochami z innych znanych mi regionów. Junio lubił powtarzać, że mieszkańcy okolic Bellagio „zachowują się jak prawdziwi Szwajcarzy”.

Przyznaję, że podczas tych wakacji zacząłem wierzyć w istnienie rajów na Ziemi. Prawie codziennie rano organizowaliśmy wycieczki „na wieś”, jak lubił mawiać Junio - choć przecież już byliśmy na wsi. Służba hotelowa wręczała nam koszyk z prowiantem i butelkę prosecco, a Gabor wiozł nas samochodem aż do Punta Spartivento, przesmyku dzielącego jezioro na trzy odnogi: Lecco po prawej, Como po lewej i położoną między nimi część północną. Roztaczał się stamtąd przepiękny widok na góry Terra Lariano, opisane przez Alessandra Manzonię w *Narzeczonych*, z groźnymi wierzchami pokrytymi wiecznym śniegiem. Innym razem odwiedziliśmy sławne okoliczne wille, których właściciele witali Junia z otwartymi rękami. Ciągle pamiętam starodawne nazwiska niektórych gospodarzy tych rezydencji, wydanych na pastwę naszej ciekawości: Aldobrandini, Sforza, Gonzaga, Ruspoli, Borghese... Najczęściej jednak z Gaborem za kierownicą przemierzaliśmy bez celu kręte miejscowe drogi. Pewnego ranka dla odmiany wsiedliśmy w przystani Bellagio do *traghetto* i prując wody jeziora, popłynęliśmy do Villa d'Esté - hotelu dorównującego przepychem naszemu Grand Hotel Serbelloni. Byron, Rossini, Puccini, Verdi i Mark Twain figurowali na liście dystyngowanych gości tego legendarnego przybytku, że nie wspomnę królów, książąt oraz przemysłowych potentatów, którzy zatrzymawszy się również kiedyś w hotelu Villa d'Esté, zamienili go w lustro, gdzie można było się przeglądać i być oglądanym z moralną wyższością, jaką daje świadomość bycia jednostką wybraną. Nie wspomniałem chyba jeszcze, że Junio należał do osób, które

pragną posiadać dar wszechobecności i przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Zawsze kojarzyłem tę nagłą potrzebę z jego pełnym życiowym wigorem charakterem, trudnym do pogodzenia z profesją mordercy. To był jednak cały Junio: pełen sprzeczności, typowy doktor Jekyll i pan Hyde, rewolwerowiec wzruszający się przy lekturze lorda Byrona.

Na tym jednak nie kończą się moje wakacyjne odkrycia. Pewnego razu, gdy jedliśmy obiad na hotelowym tarasie wychodzącym na jezioro, Junio zaczął mi opowiadać o swym dzieciństwie (wędrownym, jak je określił, z racji ciągłych podróży i przeprowadzek), o rodzinie (nazbyt rozproszonej z winy pieniędzy, które pozwalały każdemu robić to, na co miał ochotę), a nawet o drodze, jaką przebył, by zostać tym, kim jest. Przedstawił swe bliskie stosunki z faszystami i uwielbienie dla doktryny narodowosocjalistycznej Hitlera jako „rodzinny obowiązek” wynikający z więzów, które łączą jego ród z przywódcami obu ruchów. Opisał siebie jako osobę umiarkowanie religijną, z gruntu pragmatyczną, a więc przeciwną wszelkim objawom ekstremizmu. Uważał, że tak jak państwo laickie dobrowolnie nasiąkło wartościami katolickimi, Kościół powinien zrobić to samo i z naturalnością zaakceptować niektóre postulaty laicyzmu. Na przykład rozwód.

Kiedyś zapytałem, dlaczego wybrał na wakacje Bellagio, a nie rodzinną Wenecję. Odparł:

- Po pierwsze, dlatego, że silny charakter mojej matki zalewa w Wenecji wszystko (ona jest jak druga laguna, pomyśl tylko). Poza tym jako młodziak wyrobiłem tam sobie złą reputację, a każdy szanujący się dżentelmen musi dbać o swą złą sławę. Gdyby moi ziomkowie zobaczyli mnie teraz, natychmiast przestaliby o mnie mówić, a nawet odzywać się do mnie. I mieliby rację.

Po chwili milczenia Junio dodał:

- Wenecja to jedyne na świecie miasto, gdzie nie trzeba wracać, bo wszystko jedno czy się je odwiedza, czy się o nim śni. Zresztą nawet nie musisz zasnąć, by śnić o Wenecji. Zrozum mnie dobrze: mówiąc o snach, mam na myśli również koszmary.

- Nie znam Wenecji - wyznałem.

- Naprawdę? Dałbym głowę, że wszyscy ją znają. A przynajmniej, że wszyscy o niej słyszeli. A mówię to, bo istnieje wiele miejsc, o których nikt nie mówi i, ma się rozumieć, dokąd nikt się nigdy nie wybierze. Pewnie milion razy obito ci się o uszy, że Wenecja to miasto zakochanych. A ja ci mówię, że jest wręcz przeciwnie: Wenecja to wymarzone miasto dla niezakochanych. Chcesz wiedzieć dlaczego?

- A jakże.

- Bo Wenecja jest tylko dekoracją, zupełnie jak udawana miłość. Opowiem ci pokrótce, co można zobaczyć w Wenecji: stare, zwieńczone opustoszałymi mansardami pałace, do których wstęp mają tylko ich mieszkańcy, monotony ciąg identycznych pnączy i balkonów upodabniających do siebie wszystkie kanały,

wszędobylską, trącą melancholią wilgoć i armię komarów, które ani na chwilę nie przestają przypominać, że fundamenty miasta tkwią w bagnie. Na gondolę patrzeć można na dwa sposoby: jak na czarnego łabędzia lub jak na pływającą trumnę. Ja wolę to drugie porównanie. O ciągłych powodziach, mgłach i zimowych chłodach opowiem ci innym razem.

Pewnego ciepłego i rozgwieżdzonego wieczoru, gdy wypiliśmy na spółkę butelkę toskańskiego wina o aromacie starej skóry i aksamitnym smaku, dwa likiery amaro i tyleż koktajli z wytrawnego rumu i soku gruszkowego, książę zapytał:

- Pisała do ciebie?

Nie rozmawialiśmy o Montse, odkąd wyjechała, było jednak jasne, że Junio mówi właśnie o niej.

- Do mnie nie.

- Do mnie też nie, ale to chyba dobry znak - stwierdził książę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zainteresowałem się.

- Że pisałaby, gdyby nie zamierzała wrócić.

- Tak myślisz?

- Owszem, tak właśnie myślę. Montse należy do nas.

Ale ja wiedziałem, że pochwycenie Montse, uczynienie z niej czyjejkolwiek własności, choćby w alkoholowych mrzonkach dwóch pijanych typów, przypominało próbę pochwycenia jednej z gwiazd rozświetlających owej nocy lombardzkie niebo i wepchnięcia jej do kieszeni.

### 3

Na początku sierpnia rozpocząłem pracę w studiu architekta Biagia Ramadoriego, który brak architektonicznego talentu nadrabiał darem nawiązywania znajomości z właściwymi osobami. Dzięki umiejętności docierania do polityków najwyższych szczebli Ramadori zyskał ambitne zlecenie w E42. Jednak pierwszego września 1939 roku Hitler napadł na Polskę, a Francja i Wielka Brytania musiały, chcąc nie chcąc, wypowiedzieć wojnę Niemcom. To, co do tej pory było dla Ramadoriego błogosławieństwem, zwróciło się nagle przeciwko niemu, bo z myślą o ewentualnym przystąpieniu Włoch do konfliktu zbrojnego polecono mu wykonać pod nadzorem architekta Gaetana Minnuciego projekt bunkra w Palazzo degli Uffizi. Ramadori nazwał zlecenie „ochłapem” i nie omieszkał dodać: „przy moim talencie i

zasługach dla władzy!”, a chcąc dogryźć Minnucciemu, który na domiar złego kierował Rządowym Planem Architektonicznym (E42), przekazał zadanie mnie. Nigdy nie poznałem prawdziwej przyczyny niesnasek między Ramadorim i Minnuccim, choć była ona zapewne przyjemna i właściwa ludzkiej naturze, a wynikała z zazdrości, zawiści, pychy i przekonania o własnej wyższości. Najważniejsze, że dzięki wygórowanym ambicjom mojego zwierzchnika szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo nim się obejrzałem, pracowałem dla jednego z najlepszych ówczesnych architektów. Co prawda moje zadanie ograniczało się do budowy bunkra w Palazzo degli Uffizi, ale rezultat mojej pracy w połączeniu z pobrzmiwającymi coraz głośniejszymi wojennymi werblami sprawił, że na Minnucciego posypały się zlecenia, a ten, oddany duszą i ciałem kolosalnemu projektowi E42, podsunął je mnie.

Przy projektowaniu bunkra należy pamiętać o kilku podstawowych kwestiach. Po pierwsze, że budowla tego typu nie ma się wtapiać w otoczenie, ale się przed nim bronić. Po drugie, że chodzi o architekturę awaryjną, której skuteczność zależy od zdolności przetrzymywania katastrof, dlatego musi obfitować w wyostrome kształty i surowe wykończenia. Bunkier widziany od środka to po prostu betonowe brzuszyisko. Trudno się więc dziwić, że żaden architekt nie marzy o ich projektowaniu.

Przyznać muszę, że moja praca nie była niczym wielkim, choć niektórzy twierdzili coś przeciwnego. Po prostu dokładnie zbadałem techniki obronne, stosowane przez różne armie od wojny czternastego roku: od sławnej Linii Maginota (największej konstrukcji obronnej w dziejach - która, jak pokazała historia, na niewiele się zdała - złożonej ze stu ośmiu głównych fortów rozmieszczonych w piętnastokilometrowych odstępach, mnóstwa małych fortów i ponad stu kilometrów podziemnych korytarzy wzdłuż całej granicy francusko-niemieckiej) po fortyfikacje belgijskie. W ten sposób odkryłem, że najnowocześniejsze i najbardziej pionierskie rozwiązania zastosowali architekci czescy. Tradycyjne bunkry były zawsze zwrócone ku linii ofensywnej wroga. Oznaczało to, że artyleria nacierających wojsk ostrzeliwała bezpośrednio pozycje obronne. Czescy inżynierowie poradzi sobie z tym problemem, budując fortyfikacje zwrócone tyłem do przeciwnika. Korzyści były bardziej niż oczywiste: wystawione na nieprzyjacielski ogień elementy konstrukcji stanowiły najmocniejszą część bunkra, a jego obrona polegała na atakowaniu nie czoła, lecz flank wrogich formacji (co pozwalało również siać spustoszenie na ich tyłach). Dzięki takiemu rozmieszczeniu sąsiadujące ze sobą bunkry broniły się wzajemnie. Poza tym wszystkie były połączone linią telefoniczną, poprowadzoną na dużej głębokości, oraz siecią podziemnych korytarzy, którymi zaopatrywano i rozlokowywano wojska. Moje zadanie sprowadzało się do skorzystania z pomysłu Czechów i udoskonalenia kilku kwestii formalnych.

Wykorzystując moją niespodziewaną „sławę”, Junio polecił mnie firmie Hochtief, największemu niemieckiemu przedsiębiorstwu budowlanemu, z którego dyrektorem spotkałem się w rzymskim Grand Hotel. Nie wynikły z tego co prawda konkretne decyzje, pojawiła się natomiast możliwość współpracy w najbliższej przyszłości, co stało się faktem w roku 1943. Ale o tym opowiem później.

Moje nowe zajęcie było bardzo na rękę drugiemu Smithowi, któremu przekazywałem teraz nie tylko informacje o księciu, ale również owoce moich architektonicznych dokonań. Ten awans w szpiegowskiej karierze napawał mnie dumą, a nawet przekonaniem, że moja tajna działalność zasługuje teraz na szacunek. Smith, jak zawsze szczerzy przy ocenie ryzyka, ostrzegł mnie, że jeśli zostanę zdemaskowany, moje życie zawisnie na włosku. Lecz ja postanowiłem nie patrzeć obojętnie na nową wojnę, w której tym razem ważyły się losy nie tylko Hiszpanii, ale całego świata.

Myślę, że w ten sposób chciałem się dobrowolnie umartwiać. Po pierwsze, czułem narastającą wokół pustkę, jakbym codziennie po przebudzeniu odkrywał zniknięcie części świata. W rzeczywistości znikał nie świat, ale moje nim zainteresowanie. Po drugie, me życie tak bardzo się ostatnio zmieniło, że gnębiły mnie wyrzuty sumienia, ponieważ nie wziąłem czynnego udziału w wojnie w Hiszpanii. I właśnie one kazały mi się zaangażować w ten nowy, rozpoczynający się właśnie konflikt zbrojny. Dzisiaj, gdy sięgam pamięcią wstecz, wydaje mi się, że szukałem w ten sposób śmierci, brakowało mi bowiem odwagi, by własnoręcznie ze sobą skończyć. Przyznaję, że praca architekta bardzo mi pomogła znieść tę udrękę i gdy tylko mogłem liczyć na regularne dochody, zacząłem rozglądać się za własnym mieszkaniem, jak najdalej od dońi Giovanny i jej manii. A więc - co za jawna sprzeczność! - z jednej strony pragnąłem śmierci, z drugiej zaprzętałem sobie głowę szukaniem mieszkania. Fakt, że brałem sobie tak bardzo do serca sprawę przeprowadzki, dowodził, iż moje zniechęcenie nie wynikało z braku ochoty do życia. Po prostu straciło ono dla mnie cały swój urok. Przesądził o tym oczywiście wyjazd Montse, a myśl o jej nieobecności przemieniła się w obsesję, która z czasem wyobcowała mnie ze świata. A więc gdy zdecydowałem się na przeprowadzkę, żyłem tylko umownie - w rzeczywistości byłem autystą, który utracił kontakt z rzeczywistością. Musiałem zaprojektować bunkier, a potem drugi, trzeci i kolejne, by odnaleźć samego siebie. Dopiero wtedy zrozumiałem, że moja praca ma sens i jeśli będę harować dwanaście, trzynaście godzin na dobę, moje życie również go odzyska. A więc pracowałem trzynaście godzin, spałem osiem i miałem wolne tylko trzy godziny, które zdecydowałem się spożytkować na szukanie nowego kąta. Po obejrzeniu dwóch tuzinów mieszkań postanowiłem wynająć poddasze z tarasem na ulicy Riari w spokojnym zaułku odchodzącym od ulicy Lungara i ciągnącym się aż pod wzgórze Gianicolo. Z tarasu rozciągał się piękny widok na Zatybrze i na Palazzo Farnese stojący dokładnie po drugiej stronie rzeki. Niebawem zacząłem liczyć kopuły i wieże, zupełnie jak podczas pobytu w akademii, znajdujące się w moim polu widzenia: II Gesu, San Carlo ai Cattinari, Sant'Andrea della Valle i Chiesa Nuova...

Tu właśnie mieszkam do dzisiaj z Montse, nadszedł więc chyba moment, by opowiedzieć, jak i w jakich okolicznościach znalazła się ona na powrót u mego boku.

Wojna pochłonęła rok 1940 równie łapczywie jak Trzecia Rzesza połykała narody. Przez pierwsze miesiące Mussolini wobec nalegań włoskich polityków, włącznie z królem, bil się z myślami, czy przystąpić do wojny po stronie Niemiec. Opór Mussoliniego wynikał ze znajomości ograniczeń włoskiej armii mimo że propaganda przedstawiała ją światu jako jedną z najbardziej walecznych i najlepiej wyszkolonych. W końcu, gdy duce był już pewien, że klęska Francuzów jest nieuchronna, wypowiedział wojnę Francji i Wielkiej Brytanii, nie tyle przekonany o przyszłych sukcesach jego żołnierzy na froncie, ile ze strachu, że w przeciwnym razie Niemcy wkroczą na Półwysep Apeniński. Był dziesiąty czerwca 1940 roku i żaden Włoch przy zdrowych zmysłach nie wątpił w zwycięstwo Niemiec.

Jednak nieudolność okazana w walkach na południu Francji, której armia została już rozbita przez Niemców, przemieniła się w chroniczną chorobę prześladowaną faszystowskie hufce Mussoliniego podczas całego konfliktu zbrojnego. Wojska włoskie, dowodzone przez księcia Sabaudii, który zwerbował do towarzystwa hrabiów, diuków, markizów i faszystowskich prominentów, z trudem posuwały się w głąb francuskiego terytorium z winy lichego dowództwa i źle zorganizowanego zaopatrzenia. Niecały tydzień walk armia włoska przypłaciła sześciuset zabitymi i dwoma tysiącami rannych. Tylko zawieszenie broni pozwoliło uniknąć dalszych strat. Mimo że Włochy należały teoretycznie do obozu zwycięzców, traktat pokojowy spisano pod dyktando Niemiec bo w praktyce to one zmusiły wojska francuskie do kapitulacji. Choć Mussolini domagał się Korsyki, Awinionu, Valenzy, Lyonu, Tunezji i Casablanki tudzież innych mniej strategicznych obszarów, Hitler odstąpił mu tylko pięćdziesięciokilometrowy zdemilitaryzowany odcinek na granicy włosko-francuskiej oraz inny na granicy libijsko-tunezyjskiej, argumentując, że nie chce poniżyć Francji, tym bardziej iż planuje zaatakować z jej terytorium Anglię.

Ciągle porażki wojsk włoskich w brytyjskim Egipcie, a następnie w Grecji zmusiły Niemców do wysłania tam posiłków, co ostatecznie podważyło zaufanie Włochów do duce i jego żołnierzy.

Choć Junio nigdy nie odważył się otwarcie wyrazić swego rozczarowania, na początku października 1940 roku nasiliły się jego kontakty z SS. Piętnastego października wyjechał ponownie do Wewelsburga, wezwany przez Himmlera. Stamtąd miał udać się z Hitlerem do Hendaye na spotkanie z Franco, a następnie towarzyszyć Reichsführerowi w podróży do Madrytu i Barcelony. Junio opowiedział mi wtedy jedną z tych historii, w których tak bardzo rozsmakował się drugi Smith. Nawiązywała do katarskiej legendy, według której kielich Chrystusa ukryto na południu Francji, w podziemiach zamku Montsegur, tuż przed upadkiem fortecy w roku 1244. Jednak fakt, że twierdza stoi na litej skale, skłonił badaczy niestrudzenie poszukujących świętego Graala do przypuszczenia, że relikwia znajduje się raczej w jednej z grot klasztoru Montserrat, po drugiej stronie francusko-hiszpańskiej granicy.



Właśnie dlatego Himmler postanowił wybrać się do Montserrat i osobiście przeszukać sekretne zakątki klasztoru pod Barceloną. Obok Junia w ekspedycji wzięło udział dwadzieścia pięć innych osób, między innymi Günter Alquen, dyrektor czasopisma „Das Schwarze Korps”, szef sztabu generał Karl Wolf oraz niejaki Otto Rahn, człek nader osobliwy. „Osobliwy”, ponieważ był specjalistą od literatury średniowiecznej i kataryzmu, autorem książki zatytułowanej *Kreuzzug gegen den Gral* (Krucjata przeciw Graalowi) tudzież równie niezwykłego dzieła *Luzifers Hofgesind* (Dwór Lucyfera) - jednej z ulubionych lektur Himmlera, który polecił ją oprawić w cielecą skórę i rozdać dwóm tysiącom wyższych oficerów SS. Lecz Rahn, który dosłużył się wysokiego stanowiska w sztabie Himmlera, miał jedną zasadniczą wadę w postaci babci Clary Hamburger i pradziadka Leo Cucera. Były to typowe nazwiska środkowoeuropejskich Żydów, postanowiono więc „pozbyć się” Ottona Rahna, a raczej jego tożsamości, by mógł nadal służyć SS. W ten sposób Otto zamienił się w Rudolpha Rahna. Rozwodzę się nad tą postacią, ponieważ w ostatnich miesiącach okupacji Rahn miał zostać ambasadorem niemieckim w Rzymie.

Pamiętam, że na moje pytanie, czy zamierza szukać Montse, Junio odparł:

- Nie, jadę szukać świętego Graala. Ale jeśli ją spotkam, powiem jej, że bardzo za nią tęsknisz.

- Zrobisz to dla mnie?

- Obiecuję.

A po chwili zastanowienia dodał:

- Wszystko byłoby prostsze, gdyby zamiast szukać Graala lub innych relikwii ludziom wystarczyłaby do szczęścia miłość. Nie sądzisz?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic ważnego. Tylko tyle, że czasem szukamy z uporem czegoś, co nie istnieje, pogardzając tym, co mamy w zasięgu ręki. Tak jakby codzienność, rzeczy najwyklesze nie wystarczały nam do zapełnienia świata marzeniami, a raczej do zaspokojenia ludzkiej potrzeby marzenia. Zapewne dzieje się tak nie od dziś, w przeciwnym razie nie mielibyśmy tylu mitów i bóstw. Hitler wierzy, że poradził sobie z tym problemem, wyciągając z lamusa pojęcie człowieka-boga - wzoru nadczłowieka znającego wszystkie pytania i odpowiedzi.

W któreś wietrzne i nieprzyjemne listopadowe popołudnie (kiedy wypełniała mnie bezkresna melancholia) Junio zapukał do moich drzwi. Przywoził z Barcelony wieści od „naszej znajomej”, jak powiedział. Tryskał radością, wydawało mi się, że mówi o Montse jak ktoś, kto spłacił dług wobec własnej przeszłości lub odpokutował za swój grzech.

- W Montserrat nie ma Graala, to już pewne. Za to natknąłem się na naszą znajomą.

- Widziałeś ją? Gdzie? - zapytałem.

- Najpierw zaproś mnie na drinka.

- Może być amaro? Nie mam nic innego.

- Amaro Averna?

- Amaro Averna.

- Niech będzie. Spotkałem ją przypadkowo w hotelu Ritz, gdzie zatrzymała się cała nasza ekspedycja wraz z Reichsführerem.

- Może to wcale nie był przypadek - zasugerowałem. - O wizycie Himmlera na pewno pisała lokalna prasa, a przecież Montse wie, że trzymasz się blisko Reichsführera. Pewnie poszła do hotelu Ritz, licząc, że cię tam znajdzie.

- Może. Tak czy owak nie mogłem się z nią spotkać poza hotelem, bo ktoś ukradł z pokoju Himmlera jego aktówkę i od tamtej pory mieliśmy prawdziwe pandemonium. Szkoda, że nie widziałeś, jaki wybuchł skandal.

Słuchając Junia, nie pomyślałem, że Montse mogłaby mieć coś wspólnego z kradzieżą. A już na pewno nie, że piętnaście dni później aktówka Reichsführera trafi do mnie.

- Pytała o ciebie. Powiedziałem, że pracujesz jako architekt w studiu Minnucciego i przeprowadziłeś się do innego mieszkania. Ucieszyła ją wiadomość, że dobrze ci się wiedzie. Poprosiła o twój adres, chce do ciebie napisać.

- A ona? Co u niej? Co porabia? - chciałem wiedzieć.

- Ostatecznie zerwała kontakty z ojcem i wyprowadziła się od rodziców. Raz w miesiącu umawia się z matką na podwieczorek w hotelu Ritz. Dostaje wtedy od doñi Montserrat pieniądze by mogła uczciwie żyć, zanim znajdzie lepiej płatną pracę. Mieszka w pensjonacie i tłumaczy książki dla jakiegoś wydawnictwa. Próbowałem ją namówić na powrót do Rzymu. Powiedziałem, że mimo wojny będzie się jej tu żyło dostatniej i bezpieczniej. Przy pożegnaniu dałem jej trochę grosza i przepustkę pozwalającą na wjazd do Włoch. Obiecała, że zastanowi się nad zaproszeniem.

Słowa Junia zaniepokoiły mnie, a jednocześnie tchnęły we mnie nadzieję. Od tak dawna nie miałem wieści od Montse, że myślałem, iż już nigdy niczego się o niej nie dowiem. Na dobrą sprawę sam już nie rozumiałem, czy jestem zakochany w niej, czy tylko w jej wspomnieniu. Dotychczas sądziłem, że Montse wiedzie w Barcelonie beztrudne życie, jednak słowa Junia sugerowały coś przeciwnego. Gdybym mógł, ruszyłbym jej na ratunek, ale do mojego postanowienia, by nie wracać do Barcelony, dołączyły teraz zawodowe zobowiązania wobec studia Minnucciego. Nijak nie mogłem przypuszczać, że w owej chwili Montse wypływa z barcelońskiego portu na pokładzie statku zmierzającego do Rzymu.

Nie rozumiałem pytania Montse o mój nowy adres (przecież sama przekonywała, że nie powinniśmy do siebie pisać), póki w pewien chłodny i deszczowy grudniowy poranek nie stanęła na progu mojego mieszkania. Gdy zobaczyłem ją przez wizjer w drzwiach, pomyślałem, że dopiero co wynurzyła się z wody. miała mokre włosy, po jej twarzy spływały krople deszczu. Była bez makijażu, od zimna chronił ją stary wełniany płaszcz - dowód doskwierającej jej ostatnio biedy. I mimo to jej uroda ani trochę nie ucierpiała. Na twarzy Montse malował się spokój, a jej wielkie zielone oczy rzucały błyski, będące niczym innym, tylko odzwierciedleniem zdrowego rozsądku. Kto patrzył w te oczy, czuł się jak żeglarz, który po długiej, męczącej przeprawie widzi na horyzoncie światło latarni morskiej, mające zawieść go do portu. Tak, te źrenice dawały poczucie bezpieczeństwa.

- Montse! Ale się cieszę! - wykrzyknąłem.

Zamiast mnie pocałować, musnęła mi wargi palcami, jakby chciała zawczasu uciszyć protest z mojej strony.

- Nie całuję cię, bo jestem przemoczona do suchej nitki - usprawiedliwiła się.

Przez ostatnie półtora roku zupełnie inaczej wyobrażałem sobie nasze spotkanie, dlatego jej słowa nieco mnie rozczarowały. Pomyślałem nawet, że mam przed sobą nieznaną, o której nie wiem i której zwyczajów nie znam. Ale wtedy wyczytałem w oczach Montse prośbę o ratunek dla jej zziębniętego ciała

- Wejdz i zdejmij płaszcz. Pójdę po ręcznik.

- Mogę się u ciebie zatrzymać, póki nie znajdę sobie jakiegoś kąta? - zapytała.

Pytaniem tym nie sprawdzała własnych możliwości, ale badała mnie, wystawiała na próbę. Teraz ona chciała się upewnić, czy się nie zmieniłem.

- Oczywiście! Czuj się jak u siebie.

Rozglądając się po mieszkaniu, wysuszyła sobie włosy i twarz, po czym wyszła na taras, gdzie po posadzce turlały się strzępki opadłej z nieba chmury.

- A więc to twój nowy dom. Ładny - powiedziała.

- Zostało jeszcze wiele do zrobienia. Na dobrą sprawę nie zdążyłem się jeszcze urządzić.

To była prawda, bo w surowym rozkładzie dnia nie zostawiłem sobie ani minuty na upiększanie mieszkania lub jakiegokolwiek inne zbyteczne zajęcia z obawy, że bezczynne godziny znów ściagną na mnie zniechęcenie.

- Junio mówił, że pracujesz jako architekt i projektujesz bunkry dla włoskiego ministerstwa obrony.

- A mnie powiedział, że pracujesz w jakimś wydawnictwie.

- Rzuciłam tę robotę. Kiepsko płacili, a książki, które tłumaczyłam, niewiele były warte. Postanowiłam wyemigrować.

Montse powiedziała to z taką naturalnością, że uznałem, iż nie wie, co mówi.

- Wyemigrować?

- Raz na zawsze zerwałam stosunki z rodziną - dodała.

- Wiem, że nie możesz znieść ojca, rozumiem cię.

- To coś poważniejszego. Mówiłam ci o moim stryju Jaime. Pamiętasz?

- Tak, wspomniałaś mi kiedyś o nim - powiedziałem.

- Po powrocie do Barcelony postanowiłam dowiedzieć się czegoś o jego losie. Przez ponad rok myślałam, że nie żyje, ale cztery miesiące temu natknęłam się w domu rodziców na list do ojca, podpisany przez pułkownika Antonia Vaileja Najerę, szefa Wojskowych Służb Psychiatrycznych generała Franco. W liście, pełnym wzmianek o psychofizycznych korzeniach marksizmu, była mowa o „wiadomym panu pacjencie”, którego stan nie wykazywał żadnej poprawy z winy „polityczno-demokratyczno-komunistycznego fanatyzmu obiektu badań”. Zaintrygowana treścią listu postanowiłam dowiedzieć się czegoś o jego autorze. Kilka dni później na wystawie księgarni przy Paseo de Gracia zobaczyłam przypadkiem książkę doktora Antonia Vallejo Najery *Wojna a obłąd. Psychopatologia hiszpańskiej wojny domowej*, wydaną w Valladolid w 1939 roku. Nie będę się zbytnio rozwodzić, powiem tylko, że według jej autora istnieje bezpośredni związek między marksizmem a upośledzeniem umysłowym, dlatego marksistów należy izolować już w dzieciństwie jako społecznych psychopatów, uwalniając w ten sposób społeczeństwo od tej potwornej plagi. Wtedy dopiero zaczęłam podejrzewać, kim jest ów pacjent „wiadomy” mojemu ojcu. Wreszcie udało mi się wydobyć prawdę od matki: stryj Jaime żyje, został aresztowany już po wojnie i mój ojciec, chcąc ratować go przed samym sobą, „odstąpił” go psychiatrze Antoniemu Vallejo Najerze do jego doświadczeń w nadziei, że zniszczy „czerwony gen” toczący duszę jego brata. Ponoć badania prowadzone były w obozie koncentracyjnym w Mirandzie de Ebro pod czujnym okiem gestapo, zainteresowanego wynikami eksperymentów doktora Vallejo Najery. Z tego, co wiem, mój stryj nadal tam tkwi.

- To potworne - przyznałem.

- I dlatego postanowiłam się zemścić.

- Zemścić się?

- Gdy usłyszałam, że Himmler ma przyjechać do Barcelony i zamierza zatrzymać się w hotelu Ritz, obmyśliłam plan. Przed dwudziestoma laty, gdy stryj Jaime wyprowadził się z domu, za przyzwoleniem mojej babki zabrał ze sobą służącą Anę Marię, która kochała go jak syna, choć złośliwcy twierdzili, że łączyło ich uczucie dużo bardziej zmysłowe. Gdy z powodów ideologicznych stryj odsunął się od braci i wpadł w kłopoty finansowe, Ana Maria zatrudniła się jako pokojówka w hotelu Ritz, gdzie pracuje do dzisiaj. Spotkałam się z nią i opowiedziałam jej o wszystkim: że stryj Jaime żyje i jest królikiem doświadczalnym tego konowała. Poprosiłam ją o kopię klucza do pokój u Himmlera i strój pokojówki, wyjaśniając, że w aktówce Reichsführera znajdują się pewnikiem dowody eksperymentów doktora Vallejo Najery, przeprowadzanych w Mirandzie de Ebro i w innych obozach koncentracyjnych. Zdradziłam, że chcę wykraść te dokumenty i opublikować je w międzynarodowej prasie, by Franco zrozumiał, że jeśli natychmiast nie przerwie tego pseudolekarskiego procederu, neutralność, na której tak bardzo mu zależy, stanie pod znakiem zapytania. Ana Maria zgodziła się mi pomóc i doradziła, kiedy najlepiej zakraść się do pokoju Himmlera, dzięki czemu moje zadanie okazało się dziecinnie proste.

- Ale przecież nie mogłaś wiedzieć, co jest w aktówce Himmlera - zauważyłem.

- Racja, nie mogłam. A ponieważ nie znam niemieckiego, dalej nie wiem, o co chodzi w tych dokumentach, no, może z wyjątkiem kilku planów podziemi klasztoru Montserrat. Ale to na pewno dokumenty wielkiej wagi. Dlatego uznałam, że powinny trafić do Smitha.

Po tym słowach Montse wydobyła z walizki aktówkę z czarnej skóry.

- Przypłynęłaś z Barcelony do Rzymu z teczką Himmlera? - zapytałem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Schowałam ją pod bielizną. Poza tym Junio dał mi przepustkę, na wypadek gdybym chciała wrócić do Rzymu. Poszło więc gładko.

Zuchwałość Montse wprawiła mnie w osłupienie. Chytry plan, jego wykonanie (dla osoby nienawykłej do takich występków była to kradzież na wielką skalę) oraz zimna krew, której dowiodła Montse, przepływając pół Morza Śródziemnego ze skradzioną aktówką ukrytą pod ubraniem, były godne podziwu.

- Widzę, że nawet w Barcelonie nie porzuciłaś roli Maty Hari.

- Los stryja Jaime otworzył mi oczy. Postanowiłam w pełni poświęcić się walce z faszyzmem - stwierdziła.

- Ale dlaczego nie w Barcelonie? - zapytałem.

- Bo Franco rozpanoszył się w Hiszpanii na dobre. Ale jeśli Hitler i Mussolini przegrają wojnę w Europie, Franco ostanie się bez sprzymierzeńców i czeka go izolacja polityczna... Nadal widzisz się ze Smithem?

- Tak, co trzy, cztery tygodnie.

- Zrobisz coś dla mnie? Oddasz mu to?

Wzięłem aktówkę i schowałem do szafy, nawet do niej nie zaglądam.

- Jutro umówię się z nim na spotkanie - przystałem.

- Dzięki Bogu. Przez całą drogę do Rzymu zamartwiałam się, co będzie, jeśli... się zmienię.

- Zmieniłem się, możesz mi wierzyć. Przekazuję Smithowi plany projektowanych bunkrów. Jego zdaniem może to zostać uznane za zdradę stanu.

Po raz pierwszy poruszałem z kimś ten temat i słysząc własną opowieść o swoich występkach, miałem wrażenie, że mówię o kimś innym, nie uważałem się bowiem za zdrajcę. Robiłem to, co dyktowało mi sumienie, i nie widziałem niczego złego w swej działalności, tym bardziej że dobrze się z tym czułem.

- Czyli mogą cię rozstrzelać - stwierdziła Montse.

Nawet Smith nie ujął tego równie dobitnie.

- A pomyślałaś, co czeka ciebie, jeśli udowodnią ci kradzież aktówki Himmlera?

- W takim razie rozstrzelaliby nas razem. To dopiero byłaby przewrotność losu.

Zaniepokoiła mnie beztroska, z jaką mówiła o tak delikatny sprawie.

- Najważniejsze, abyśmy umierały dumne, ze świadomością spełnionego obowiązku. To chyba jedyna pociecha skazańca. Ja osobiście mogę myśleć o śmierci, nie potrafię sobie jednak wyobrazić, jak i kiedy umrę. Nie obchodzą mnie szczegóły i oczywiście nie wiem, jak zachowałbym się przed plutonem egzekucyjnym. Na razie całe moje męstwo ogranicza się do sfery abstrakcji i prawdę mówiąc, wolałbym nie wystawiać go na próbę.

- W moim przypadku jest odwrotnie. Oczami wyobraźni widzę, jak stoję przed plutonem egzekucyjnym, patrząc z uniesioną głową na swych katów, wołę natomiast nie myśleć o śmierci, a raczej o tym, co ona naprawdę oznacza. Czasem odechciewa mi się żyć, tak było chociażby wtedy, gdy dowiedziałam się o losie mojego stryja, ale to chyba normalny objaw empatii wobec cierpiących. Pragnienie śmierci daje nam siłę, by żyć i walczyć z niesprawiedliwością.

Właśnie tak, w sposób stonowany, prawie nieoczekiwanie zapadła noc i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że dysponuję jedną sypialnią i jednym łóżkiem, więc któreś z nas będzie musiało spać na kanapie.

Nigdy nie okazałem Montse wystarczającej wdzięczności za to, jak wybrnęła z tej sytuacji. Gdy przyszła pora udać się na spoczynek, kazała mi iść do łóżka i zgasić światło, a sama, przebrawszy się w łazience, po prostu położyła się przy mnie,

zupełnie jakby od lat spała u mego boku. Chyba nigdy nie czułem się równie przerażony, nigdy nie doświadczyłem takiego koszmaru. Byłem tak spięty, że płuca odmówiły mi posłuszeństwa, mięśnie zeszywniały jak u trupa. Czułem się niczym gitara w rękach stroiciela. Wszystko, dokładnie wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy, było sprawą Montse i uważam, że wyznaczyło reguły postępowania naszego przyszłego związku. Nigdy jej o tym nie mówiłem, ale ilekroć się kochamy, mam dziwne, nieprzyjemne wrażenie, że znajduje się gdzieś indziej - w świecie, do którego nie mam wstępu. Być może ktoś inny zażądałby od niej większego zaangażowania, ale mój egoizm nie pozwala mi się skarżyć; na dobrą sprawę wystarcza mi ta część Montse, która przypadła mi w udziale. Nigdy nie pytałem, czy jest mi wierna, chociażby dlatego, że nie potrafiłbym się na to zdobyć. W rzeczywistości nie martwi mnie nawet, że mogła mnie kiedyś zdradzić, że zdradza mnie teraz lub zdradzi w przyszłości. Znam ją dobrze i wiem, że jej kochanek będzie musiał zadowolić się, podobnie jak ja, tym, co zechce mu z siebie dać. Montse nigdy nie oddałaby się mężczyźnie bez reszty. Jest jak banknot, który grupka przyjaciół drze i rozdziela między siebie przed rozjechaniem się po świecie. Aby złożyć banknot, musieliby znów się spotkać i poskładać kawałki w całość.

Lecz jak już mówiłem, choć tamtej nocy nic między nami nie zaszło, właśnie ona przypieczętowała nasz związek. Odmawiając mi swej namiętności, w szerokim znaczeniu tego słowa, Montse dopuściła mnie w zamian do swego prywatnego życia, pozwoliła spać u swego boku, jeść śniadania w swym towarzystwie, siedząc na tarasie naszego domu i patrząc ku gęstwinie porastającej wzgórze Gianicolo, oraz dzielić z sobą obiady i kolacje, podczas gdy świat wykrwawiał się beznadziejnie. Spoglądając wstecz, myślę, że najbardziej wyjątkową rzeczą w naszym ówczesnym związku było to, że mimo różnic charakteru zdołaliśmy zarazić się wzajemnie sporą dozą optymizmu - artykułu równie deficytowego w owych latach jak mięso lub towary kolonialne. Najlepiej świadczy o tym fakt, że chcąc zrobić na złość wojnie, pobraliśmy się zaledwie kilka tygodni później. Choć mogliśmy zaczekać, aż skończy się światowa zawierucha, właśnie ta, na pozór pochopna, decyzja pozwoliła nam uwierzyć w siebie oraz w to, że my, a nie wojna, panujemy nad sytuacją. Zresztą do dzisiaj jednym z filarów naszego związku jest optymizm - pozostały nam z lat wojny majątek nieruchomy, stanowiący naszą dożywotnią rentę.

Właśnie radość z powodu bliskiego ślubu z Montse pomogła mi pogodzić się z faktem, że nigdy nie będziemy mieć dzieci. Pamiętam, że w dniu, gdy się jej oświadczyłem, stwierdziła, że przed podjęciem decyzji musi mi o czymś powiedzieć. „O najsmutniejszym wydarzeniu w moim życiu”, dodała. Następnie, wykazując się nadzwyczajnym opanowaniem, zaczęła mi opowiadać o niedoświadczonej, romantycznej nastolatce, która straciła głowę dla kilka lat od niej starszego chłopaka, bardzo przystojnego światowca o wielkich ideałach i bogatych doświadczeniach, które zaślepiły naiwne dziewczę. Ta duszą i ciałem oddała się młodzieńcowi, a po kilku tygodniach miłosnej idylli zaszła w ciążę. Jednak ukochany był cudzoziemcem i dziewczyna wiedziała, że niedługo zabawi w jej kraju oraz że ciąża okryje hańbą ją i jej rodzinę. Poza tym mogła na tym ucierpieć opinia młodzieńca, którego praca miała wielkie znaczenie dla pewnej sprawy politycznej. Zrozumiawszy, że nie może wyjechać z ukochanym za granicę, dziewczyna postanowiła o niczym mu nie mówić i w tajemnicy usunąć ciążę. Poprosiła o pomoc swego stryja, człowieka o postępowych poglądach, wielkiej determinacji i znajomościach wśród osób potrafiących zaradzić podobnemu problemowi. A ponieważ dziewczę mieszkało w kraju dopiero co zamienionym w republikę, spełniono jej prośbę, nie narażając interesowanej na zbędne wyjaśnienia ani wielkie koszty. Niestety, w wyniku komplikacji okazało się, że pacjentka nigdy więcej nie będzie mogła mieć dzieci. Dziewczyna uznała to za karę boską i przez trzy lata nie mogła dojść do siebie, zresztą do dzisiaj miewa napady wyrzutów sumienia, trapiące ją niczym nieuleczalna choroba. „Dlatego mam dług wdzięczności wobec stryja Jaime i przez to nie mogę mieć dzieci”, zakończyła swą opowieść Montse.

Wyznanie to zaskoczyło mnie bardziej niż napad Hitlera na Polskę czy Francję. Za sprawą jakiegoś niezrozumiałego przesądu uważałem Montse za dziewczicę. Jednak otrząsnąwszy się z wrażenia, powiedziałem:

- To nic. Wojna pozostawi mnóstwo sierot. Adoptujemy.

- Nic nie rozumiesz. Nie mogłabym adoptować żadnego dziecka. Patrząc na nie, myślałabym o tamtej istocie, którą wyrwałam z własnego łona. Nie, nie chcę mieć dzieci.

Wielokrotnie kusilo mnie, by zapytać ją o szczegóły dotyczące owego młodzieńca, z którym wyczerpała cały zapas namiętności, ale gdy dochodziło co do czego, odwaga mnie opuszczała. W głębi duszy uważam tamtego chłopaka za marzenie, wokół którego Montse skonstruowała z biegiem czasu własną osobowość. Gdyby nie on, nie znalazłoby się dla mnie miejsce w jej życiu. Więc jeśli kiedykolwiek czułem do niego zazdrość czy nawet nienawiść, była to zawsze nieokreślona zazdrość i serdeczna nienawiść. Ostatecznie nauczyłem się akceptować zalety Montse i lekceważyć jej wady. Wyczytałem gdzieś, że wszyscy małżonkowie próbują ukryć jakąś słabą stronę



własnego charakteru przed osobą, z którą dzielą życie, bo trudno wytrzymać dzień w dzień z kimś, kto zna nasze podłostki. Stąd bierze się tyle nieszczęśliwych małżeństw. W końcowym rozrachunku podłości ciężą bowiem bardziej niż jakikolwiek pozytywny aspekt wspólnego życia. Podpisuję się obiema rękami pod tą myślą, wszak i ja starałem się nie dostrzegać drobnych podłostek Montse. Mimo to sam nie wiem, czy jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

Ślubu udzielił nam ojciec Sansovino, w roli świadków wystąpił Junio oraz kilku moich kolegów ze studia architektonicznego. Zdecydowaliśmy się na ceremonię kościelną tylko dlatego, że ślub cywilny oznaczałby ukłon w stronę faszystów. Przystąpienie Wioch do wojny powiększyło napięcie między państwem a Kościołem. I choć w stosunkach z walczącymi mocarstwami nowy papież wtedy jeszcze starał się utrzymać równowagę godną wytrawnego linoskoczka (nieco później Pius XII z akrobaty zamienił się w marionetkę nazistów), część członków Kościoła przejrzała na oczy i oskarżyła Mussoliniego o współudział w potwornościach dokonywanych przez hitlerowców na podbitych terytoriach. Na kursie przedmałżeńskim napomknąłem ojcu Sansovinowi o tym, czego dowiedziałem się od Junia o wizycie Himmlera w Montserrat i poszukiwaniu świętego Graala.

- Słyszałem o wyprawie Reichsführera do Barcelony, ale przecież powszechnie wiadomo, że kielich, z którego Pan nasz pił podczas Ostatniej Wieczery, znajduje się w Walencji - zapewnił mnie.

- No, ale co z tymi opowieściami o katarach? - zapytałem.

- To tylko opowieści, nic więcej. Prawdziwy, zdaniem Kościoła, święty Graal został znaleziony w Huesce przed najazdem Maurów na Półwysep Iberyjski. W roku 713 biskup Hueski, niejaki Audaberto, uszedł ze swej siedziby wraz z relikwią, którą ukrył w grocie na górze Pano, gdzie po pewnym czasie zbudowano klasztor San Juan de la Pena. Dokument z czternastego grudnia 1134 roku potwierdza, że właśnie w tym klasztorze przechowywano Chrystusowy kielich. Z innego dokumentu, datowanego na dwudziesty dziewiąty września 1399 roku, wiemy, że kielich został przekazany królowi Marcinowi Ludzkiemu, który kazał go umieścić najpierw w pałacu Aljaferia w Saragossie, a następnie w kaplicy Świętej Agaty w Barcelonie, gdzie znajdował się aż do śmierci władcy. W roku 1437, za panowania Alfonsa Wspaniałego relikwię przewieziono do katedry w Walencji i tam znajduje się do dzisiaj. Tak brzmi oficjalna historia świętego Graala. Sam widzisz, że nie ma w niej śladu katarów.

- W takim razie czego szukał Himmler w Montserrat?

- Nie wiem, ale słyszałem, że nie raczył nawet zwiedzić bazyliki. Opaci, w odpowiedzi na taki afront, nie zgodzili się go powitać i wysłali w zastępstwie ojca Ripoll, władającego językiem niemieckim. Według niego, Himmlera nie obchodził klasztor, tylko otaczająca go przyroda. Reichsführer utrzymuje ponoć, że w przeszłości w Montserrat sprzyjano katarom, z którymi naziści mają tyle wspólnego.

- Niewiele wiem o katarach - przyznałem.

- Ci heretycy, nazywani również albigensami lub „dobrymi ludźmi”, nie wierzyli, że Jezus poniósł śmierć z rąk Rzymian, dlatego nie uznawali świętości krzyża. Za jedyną świętą księgę uważali Ewangelię św. Jana, nosili długie czarne tuniki i przemierzali w parach Langwedocję, pomagając potrzebującym. Wyrzekli się własności materialnej i szybko znaleźli poparcie wszystkich warstw społeczeństwa odczuwającego potrzebę utożsamienia się z jakąkolwiek wyzwolicielską filozofią. Jednak gdy ten skromny ruch lokalny rozprzestrzenił się poza granice Francji i zadomowił w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii, Rzym postanowił interweniować. Fakt, że „dobrzy ludzie” uważali Lucyfera, którego nazywali Lucybelem, za dobroczyńcę ludzkości, wystarczył papieżowi Innocentemu III do zwołania krucjaty przeciwko albigensom. Rozpoczęto wtedy okrutne prześladowania, które zakończyły się rzezią tysięcy osób i przyczyniły do powstania sławnej legendy o tym, jakoby przed śmiercią katarzy zdążyli ukryć wielkie skarby, między innymi świętego Graala. Naprawdę nie wiem, co może łączyć Himmlera z katarami, chyba tylko to, że Graal uznawany przez Kościół i Graal poszukiwany przez Reichsführera to dwie różne relikwie.

- Co ksiądz ma na myśli?

- Niektóre pogańskie legendy zapewniają, że Graal to nie kielich użyty podczas Ostatniej Wieczery, ale święty kamień skupiający niebiańską energię. W poemacie *Parsifal* Wolfram von Eschenbach twierdzi, że Graal to kamień, który „czysty jest niezmiernie”. Inni nazywali go „kamieniem z duszą” lub „kamieniem elektrycznym”. Niektóre teorie mówią o źródle neutralnej energii, strzeżonym przez zastęp „wątpiących” aniołów, które nie opowiedziały się po żadnej stronie podczas walki Boga z diabłem. Eschenbach, którego dzieło dotyczyć ma wydarzeń z czasów krucjaty przeciwko katarom, pisał o tych aniołach:

*A te, co na uboczu stały,  
kiedy walkę zaczynali  
Lucyfer i Trinitas, /aniołów ile było tam  
szlachetne te i zacne, /na ziemię udać się musiały,  
do kamienia tego...<sup>11</sup>.*

- A więc Himmler szukał w Montserrat nie Chrystusowego kielicha, ale źródła energii.

- Całkiem możliwe. Chodzi o neutralną energię, która może być użyta zarówno do czynienia dobra, jak i zła. Nie muszę chyba dodawać, że w tych dwóch zwalczających się światach Heinrich Himmler gra rolę czarnego maga Klingsora, przeniewiercy, byłego rycerza świętego Graala.

- Jak mniemam, Reichsführer liczy, że Mapa Stworzyciela zdradzi mu lokalizację kamienia.

---

<sup>11</sup> Przel. Andrzej Lam.

- Niewykluczone. Choć, tak między nami, widzę w tej historii wiele sprzeczności.

- Na przykład?

- Katarzy pogardzali dobrami materialnymi, ich duchowi przywódcy, tak zwani „doskonali”, mieli obowiązek się ich wyrzec. Poza tym byli ikonoklastami, a więc sprzeciwiali się kultowi obrazów, figur i przedmiotów. Czyli wiara w skarb, który katarzy starali się jakoby ukryć przed swymi prześladowcami, trąci absurdem i przeczy ich religijnym zasadom. Coś mi się zdaje, że Himmler zasłużył sobie na miano „kataro-idioty”.

- Rozumiem.

Dopiero Smith, przetłumaczywszy zawartość aktówki Reichsführera, rzucił trochę światła na całą sprawę. Rysunki, o których wspomniała Montse, rzeczywiście przedstawiały w części podziemia Montserrat, inne natomiast były planami bunkrów budowanych przez oddziały generała Franco w okolicach miasta Línea de la Concepción. Mam na myśli czterysta dziewięćdziesiąt osiem betonowych fortyfikacji, które zgodnie z umieszczonymi w dokumentach przypisami miały ułatwić armii niemieckiej zajęcie Gibraltaru. Operacja, ochrzczona pseudonimem „Félix”, została odwołana po spotkaniu Franco i Hitlera w Hendaye. Aktówka Himmlera zawierała również dowody współpracy hiszpańskiej policji politycznej z SS. Oprócz tego Reichsführer zabrał ze sobą do Barcelony osobliwy raport o podziemnych miastach istniejących ponoć w Andach - trzynastu kamiennych, sztucznie oświetlonych i połączonych siecią tuneli ośrodkach, których stolicą był Akakor położony za rzeką Purus, w wysokogórskiej dolinie na granicy Brazylii i Peru. Mieszkańcy tego podziemnego królestwa, zbudowanego przed tysiącami lat na zlecenie Wielkich Mistrzów, znali roślinę, która potrafiła zmiękczyć kamień i której tajemnicę chcieli za wszelką cenę zgłębić hitlerowcy.

Moim zdaniem, historyjki te były puste jak Ziemia Himmlera, nawet jeśli Reichsführer sądził, że realizacja opartych na nich planów ruszy świat w posadach.

Dzisiaj, powracając pamięcią do tamtych wydarzeń, dochodzę do wniosku, że zniosłem je tylko dzięki Montse - zupełnie jakby los nagroził mnie, pozwalając mi się z nią ożenić. Sam nie wiem, jak inaczej zniósłbym te ezoteryczne brednie nazistów, zwłaszcza że uważam się za racjonalistę. Wiem, że drugi Smith brał te sensacyjne odkrycia całkiem poważnie, mnie natomiast wydawały się one stratą czasu, bo podczas gdy my zaprzętailiśmy sobie głowę nazwą jakiegoś legendarnego miasta w Amazonii niemiecka machina wojenna parła nieuchronnie do przodu. Nie widziałem sensu w tropieniu Mapy Stworzyciela, Włóczni Longinusa czy świętego Graala, opowiadałem się za inną, skuteczniejszą formą powstrzymania pancernych hufców Trzeciej Rzeszy. Chętnie zbombardowałbym własnoręcznie zaprojektowane bunkry, których lokalizację Smith znalazł dzięki moim raportom. Niejednokrotnie miałem mu za złe ową bierność, choć zawsze gryzłem się w język i nakazywałem sobie cierpliwość,

licząc, że alianci wiedzą lepiej ode mnie, jak i kiedy zrobić użytek z przekazywanych przeze mnie informacji.

To samo dotyczy Junia. Jeśli mogę mu cokolwiek zarzucić, prócz przestępczej działalności, to właśnie to, że padł ofiarą zabobonów. Z początku chciałem złożyć tę wadę na karb jego charakteru, ale po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że jego ezoteryczne ciągoty były po prostu kaprysem, błazenadą, na którą mogą sobie pozwolić tylko ludzie bogaci. Bo oprócz paleograficznych zainteresowań i polityki Junio niczym się nie zajmował. Nie musiał nawet doglądać rodzinnych interesów, bo czuwało nad nimi stado adwokatów, walutowych i giełdowych maklerów oraz księgowych. Ale pewnie tego właśnie oczekuje się od księcia, którego sam król Włoch zaszczyca swą przyjaźnią.

Jak w przypadku nas wszystkich, wojna wyciągnęła na światło dzienne najlepsze i najgorsze cechy Junia. Kiedy nieudolność włoskiej armii doszczętnie zniszczyła jego ślepą wiarę w ruch faszystowski, schronił się w ezoteryzmie z zaciekłością alkoholika, który bierze swe pijackie majaki za rzeczywistość. Do rzadkości należały spotkania, na których nie wspominałby o kolejnej cudacznej misji zleconej mu przez Himmlera: to musiał poszukiwać młota Wodana lub kryjówki Króla Świata, to znowu zdobyć łaskę władzy... Najlepiej pamiętam historię, którą opowiedział nam podczas wspólnej kolacji w restauracji Nino, na ulicy Borgognona. Dowiedzieliśmy się mianowicie, że Reichsführer zlecił mu doniosłą misję zorganizowania ekspedycji do Ameryki Środkowej w poszukiwaniu czegoś, co Junio nazwał „czaszką przeznaczenia”. Ponoć w styczniu 1924 roku podróżnik Fredrik A. Mitchell-Hedges znalazł czaszkę z kryształu górskiego w ruinach miasta Majów - nazwanego przez niego Lubaantun (co znaczy „miasto kamieni” lub „zwalonych kolumn”) - na należącym do Belize skrawku Jukatana. Wążąca pięć kilogramów czaszka wyrzeźbiona została z jednego kawałka kryształu, a jej mistrzowskie wykonanie, idealna zgodność anatomiczna (szczeka była ruchoma) oraz twardość (siedem w dziesięciostopniowej skali Mohsa), czyniła z niej przedmiot niepowtarzalny, jedyny w swoim rodzaju. Znawcy zapewniali nawet, że do jej wyrzeźbienia i wyszlifowania potrzebny był korund lub diament, a jeśli została wykonana ręcznie, a wszystko na to wskazywało, jej twórca lub twórcy poświęcili na to ponad trzysta lat. Ale nie dość na tym. Miejscowi Indianie Kekczi zapewniali o istnieniu trzynastu takich czaszek należących do szamanów i używanych podczas magicznych ceremonii. Były one bowiem źródłem mocy i mogły uleczyć lub zabić. Mitchell-Hedges zarzekał się, że odkryte przez niego ruiny i czaszka pochodziły z Atlantydy - zaginionego kontynentu.

- Jak powiedział Rilke, świat to kurtyna, za którą kryją się najgłębsze tajemnice.

Podczas gdy Junio brał na poważnie wszystkie te misje, ja dopatrywałem się w jego entuzjazmie próby ucieczki od rzeczywistości. Nic dziwnego: schyłek włoskiego faszyzmu zdawał się z każdym dniem bardziej ewidentny, podobnie jak rozgoryczenie ludności zmęczonej bezowocnymi wyrzeczeniami. Było jasne, że wyczerpuje się cierpliwość Włochów, którzy z wolna odkrywali, że za hardym i bojowym spojrzeniem

duce, onegdaj żywym symbolem wytrwałości i niezłomności na drodze mającej poprowadzić naród ku największej w historii chwale, kryje się wyłącznie zaślepienie.

## 7

Lata 1941 i 1942 upłynęły pod znakiem niedostatku. Obiecana przez Hitlera pomoc finansowa nigdy nie nadeszła i warunki życiowe Włochów pogorszyły się okrutnie. Obieg pieniądza wzrósł trzykrotnie, produkcja spadła o trzydzieści pięć procent, a sen o potędze, o której tyle mówił Mussolini w miesiącach poprzedzających wojnę, zamienił się w koszmar.

Tylko Rzym zdawał się oglądać wojnę z boku, niby z wyspy, ponieważ jako obfitująca w zabytki kolebka cywilizacji uniknął alianckich nalotów. Właśnie dlatego do stolicy ściągali z całych Włoch setki tysięcy uchodźców, którzy tłoczyli się w kamienicach, na klatkach schodowych i w bramach, w związku z czym brak żywności jeszcze bardziej dawał się wszystkim we znaki.

Jeśli chodzi o mnie, na zlecenie ministerstwa obrony nadal zapełniałem północ i południe Włoch bunkrami, Montse natomiast rozpoczęła pracę jako bibliotekarka w sąsiadującym z naszym domem Palazzo Corsini. Zarabiała ledwie kilkaset lirów, ale zajęcie było zgodne z jej powołaniem.

W połowie 1942 roku znów udałem się z Juniem w podróż, tym razem o charakterze czysto zawodowym. Wojska Osi obawiały się ofensywy alianckiej na południu, konkretnie na Sycylii, zlecono mi więc zbadanie (oraz wzmocnienie, jeśli zajdzie taka potrzeba) systemu obronnego Pantelleria - maleńkiej *isola* należącej do Włoch i oddalonej o zaledwie siedemdziesiąt kilometrów od przylądka Mustafa na wybrzeżu tunezyjskim, a sto od sycylijskiego Przylądka Granitola. Zlecenie wydawało się jak najbardziej zrozumiałe: Pantelleria była bramą Sycylii, a Sycylia - bramą całego Półwyspu Apenińskiego. Przed wojną wyspa została pieczołowicie ufortyfikowana według planów architekta Nerviego, mogłem więc tylko skonstatować, że nic więcej nie da się tam zrobić.

Ponieważ na wyspie nie było miejsc noclegowych, zatrzymaliśmy się w *dammuso*, tradycyjnej budowli o arabskich wpływach, która zadziwiła mnie swą prostotą oraz miłym chłodem kontrastującym z letnim skwarem. Codziennie po pracy jechaliśmy samochodem terenowym włoskiej armii podziwiać zachód słońca z Cala Tramontana, skąd rozciągał się najpiękniejszy na całej wyspie widok na morze spienione przez wiejący z Afryki mistrzał. Nigdy nie widziałem, by morze było tak podobne do nieba. Ani by niebo tak bardzo przypominało morze.

Junio znów stał się bardziej serdeczny, zupełnie jak podczas naszego pobytu nad jeziorem Como. Pamiętam, że pewnego wieczoru, gdy jedliśmy kolację przy świecach (po zmroku na Pantellerii nie wolno było używać światła elektrycznego z obawy przed nalotami), strapiiony Junio opowiedział mi, że SS zamordowała ponad tysiąc trzystu Czechów w odwecie za zamach partyzantów na Reinharda Heydricha (byłego szefa gestapo, mianowanego przez Hitlera zastępcą protektora Rzeszy dla Czech i Moraw). Mimo że zamachowcy zostali wytropieni i popełnili samobójstwo podczas niemieckiej obławy, Himmler rozkazał wymordować całą ludność wioski Lidice. Na moje pytanie, dlaczego Reichsführer wybrał akurat tę wioskę, książę odpowiedział:

- Jej mieszkańców oskarżono o udzielenie schronienia członkom ruchu oporu, uczestniczącym w zamachu. Himmler kazał rozstrzelać wszystkich mężczyzn powyżej szesnastego roku życia, kobiety wywieźć do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück a dzieci do Berlina, gdzie miały zostać poddane selekcji i germanizacji. Żydowski więźniowie wykopali zbiorowe mogiły dla rozstrzelanych mężczyzn, wszystkie zabudowania puszczono z dymem, a ziemię zaorano. Lidice dosłownie przestały istnieć.

Niedawno przeczytałem we włoskiej gazecie wspominającej owe tragiczne wydarzenia, że tylko sto czterdzieści trzy kobiety przeżyły wojnę, podczas gdy z dziewięćdziesięciorga ośmiorga dzieci wywiezionych do Niemiec jedenaścioro poddano germanizacji, przekazując na wychowanie rodzinom oficerów SS. Z pozostałych tylko dziesięścioro przeżyło wojnę. Reszta zginęła w komorach gazowych obozu koncentracyjnego w Chełmnie nad Nerem,

Skończywszy mówić, Junio wyszedł z *dammuso* i stojąc pod rozgwieżdżonym niebem, rzucił pod adresem Reichsführera;

- Ten człowiek zupełnie oszalał. Konwencja haska z 1907 roku pozwala karać wyłącznie osoby uczestniczące w działaniach przeciwko okupantowi. Niemcy nie wygrają wojny, mordując niewinnych cywilów.

Po raz pierwszy i ostatni usłyszałem wtedy z ust Junia otwartą krytykę niemieckiej polityki. Skorzystałem z tej chwili słabości, by wypytać go o krążące po Rzymie pogłoski, jakoby Żydów z całej okupowanej Europy wywożono do obozów koncentracyjnych i tam mordowano. Odpowiedź Junia nie pozostawiała wątpliwości:

- Niebawem cała Europa będzie jednym wielkim obozem koncentracyjnym i gigantycznym cmentarzem.

Owa podróż pomogła nam zacieśnić przyjacielskie więzy. Fakt, że oddałem swój architektoniczny talent na usługi włoskiej armii, czynił mnie w oczach księcia jej częścią. Nie wiem, czy nadal podejrzewał mnie o szpiegostwo - nawet jeśli tak, nigdy nie dal tego po sobie poznać. Jak wspominałem, Junio był realistą, dlatego w połowie 1942 roku nie miał już wątpliwości, że wojna zakończy się klęską Włoch, a więc i faszyzmu. Tamta wyprawa na południe pozwoliła nam przekonać się na własne oczy, że Włochy przegrały wojnę, jeszcze zanim rozegrano na jej terytorium jakkolwiek

bitwę. A przegrały ją nawet nie z powodu nędzy, która niczym złośliwy nowotwór pustoszyła południe kraju, ale ponieważ włoski naród stracił wiarę w swych przywódców.

Upadek Mussoliniego wydawał się więc tylko kwestią czasu. W lutym 1943 roku jego pozycja była już poważnie zagrożona. Sam Bastianini, pełniący obowiązki ministra spraw zagranicznych w rządzie duce, opowiadał się za zerwaniem stosunków z Hitlerem i przystąpieniem do pertraktacji pokojowych z aliantami. Miesiąc później wybuchły protesty w fabryce Fiata w Mediolanie, której pracownicy krótko potem ogłosili strajk. Żądali wypłaty zaległych odszkodowań dla ofiar alianckich nalotów. Strajk szybko objął inne zakłady na północy kraju i sytuacja polityczno-społeczna skomplikowała się w sposób niewyobrażalny. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść.

Osiemnastego lipca 1943 roku, jednego z najgorętszych dni tamtego lata, Junio zapukał do naszych drzwi, by zaprosić nas na plażę Santa Severa. Pod domem czekał już szofer i samochód, a w nim: kosz z kanapkami i winem, leżaki, składane krzesła oraz ręczniki plażowe. Nie mogliśmy się oprzeć takiemu zaproszeniu.

Był to wyjątkowo udany dzień. Wykąpaliśmy się, opaliliśmy i zjedliśmy obiad w cieniu rozłożystej sosny razem z kilkoma innymi rodzinami, dla których, podobnie jak dla nas, upał stanowił wymówkę, by wyrwać się z miasta i zażyć kilkugodzinnego wypoczynku. Gdy wylegiwaliśmy się na leżakach lub siedzieliśmy okrakiem na składanych krzesłach, spoglądając beztrosko na ospały letni czas płynący z wolna, niby krople potu, po naszych ciałach, zdawało się, że w Rzymie panuje pokój i ani miasta, ani jego mieszkańców nie dotyczy wojna tocząca się w innych stolicach Europy. Po obiedzie Montse znów udała Afrodytę i po iluś nurach w morską toń, wyszła z morza, narzuciła bluzkę z gazy i poczęła spacerować wzdłuż plaży, zbierając perłowe muszle koralowce i skorupki morskich ślimaków. Nawet Gabor wykorzystał stan ogólnego rozleniwienia, zdjął koszulę i wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, wprawiając w podziw dzieciarnię zafascynowaną jego herkulesową muskulaturą. Junio i ja woleliśmy pozostać pod gigantycznym parasolem sosnowego cienia, skąd obserwowaliśmy brzeg obmywany przez szmaragdowe morze i wdychaliśmy bryzę niosącą od wody słonawą mgiełkę. Nie przypuszczaliśmy, że to cisza przed burzą, która lada moment przesądzi o przyszłości Rzymu.

Nazajutrz rano, kwadrans po jedenastej, zawyły - jak tylekroć wcześniej - syreny oznajmiające nalot, ale ponieważ do tej pory alianckie samoloty tylko przelatywały nad Rzymem, nie widzieliśmy powodów do niepokoju. Jednak owego dnia amerykańskie bombowce nie przeleciały nad Rzymem tak po prostu - chmura pocisków przesłoniła niebo nad stolicą, ziemia zatrzęsła się, zaczęła drzeć, a potem zapłonęła w morzu ognia i zniszczenia. Nalot zabił tysiąc pięciuset rzymian, ranił sześć tysięcy, zniszczył dziesięć tysięcy budynków i pozostawił bez dachu nad głową czterdzieści tysięcy osób. Najbardziej ucierpiały dzielnice Prenestino, Tiburtino, Tuscolano i San Lorenzo. Jeszcze przez wiele tygodni miasto pozbawione było wody, gazu i prądu. *Z citta aperta* Rzym przemienił się w *citta colpita*.

Tego samego dnia w Feltre, setki kilometrów od Rzymu, Mussolini spotkał się w Hitlerem. Głównym tematem rozmów miał być fakt, że Włochy nie mogą dalej prowadzić wojny u boku Niemiec. Choć właśnie podczas tego spotkania Mussolini dowiedział się o zbombardowaniu Rzymu, nie potrafił przedłożyć Hitlerowi swych żądań. Po prostu zasłabł i oniemiał.

Nazajutrz rano na jednym z domów uszkodzonych podczas nalotu można było przeczytać następujące hasło: *Meio l'americani su'lla capoccia che Mussolini tra i coioni* (Lepsi Amerykanie nad głową niż Mussolini zawracający fujare).

Król Wiktor Emanuel III, przy poparciu Wielkiej Rady Faszystowskiej i nie pytając o zdanie Mussoliniego, postanowił zerwać sojusz z Trzecią Rzeszą i przystąpić do negocjacji pokojowych z aliantami.

W ciągu zaledwie kilku godzin stolica włoskiego faszyzmu zamieniła się w stolicę światowego antyfaszyzmu. Gdy wieczorem radio podało wiadomość o odwołaniu duce ze stanowiska, miasto rozświetliło się nagle, a ludzie wybiegli na ulice, krzycząc: Abasso Mussolini! Evviva Garibaldi! Usypywano stosy, na których palono przedmioty i symbole mające jakikolwiek związek z faszyzmem, podłożono nawet ogień pod redakcję „Il Tevere” - czasopisma sprzyjającego dyktaturze. Tłum zgromadził się na placu Weneckim i placu Świętego Piotra, by dziękować Bogu i modlić się o pokój.

Nie ukrywam, że Montse i ja również wyszliśmy, by uczcić upadek Mussoliniego.

Jednak alianci zajęli już Sycylię i lada moment mieli sforsować Cieśninę Messyńską, dlatego Hitler, nie chcąc dopuścić do kapitulacji Włoch, rozkazał swym wojskom stawić opór najeźdźcy, ustanowić linie obronne wokół Rzymu i zająć miasto.

Dziesiątego i jedenastego września doszło do walk między broniącymi stolicy oddziałami włoskimi (cywilami oraz członkami rozwiązanej armii) a Niemcami, którzy wkraczali powoli do miasta, by ostatecznie objąć nad nim całkowitą kontrolę.

Już jedenastego września po południu rozklejono na ulicach Rzymu następujące obwieszczenie:

**NACZELNY DOWÓDCA NIEMIECKICH**

**WOJSK POŁUDNIOWYCH INFORMUJE:**

Znajdujący się pod moim dowództwem obszar Włoch stanowi terytorium objęte wojną i podlega bez wyjątku niemieckim prawom wojennym.

Wykroczenia przeciwko siłom zbrojnym Trzeciej Rzeszy będą karane zgodnie z niemieckim prawem wojennym.

Zabrania się strajków, które sądzone będą przez trybunał wojenny.

Przywódcy strajków, sabotażyści i snajperzy zostaną osądzeni w trybie doraźnym i straceni.

Uważam za swój obowiązek utrzymać ład i porządek oraz wszelkimi możliwymi środkami pomóc kompetentnym organom władzy zapewnić ludności dobrobyt.



Włoscy robotnicy, którzy na ochotnika zgłoszą się na roboty przymusowe, będą traktowani podług niemieckich standardów i otrzymają taką samą wypłatę jak pracownicy niemieccy.

Włoscy ministrowie i urzędnicy sądowi pozostaną na swoich stanowiskach.

Natychmiast przywrócone zostanie działanie kolei, telefonów i poczty.

Prywatna korespondencja zostaje zakazana do odwołania. Rozmowy telefoniczne, które powinny ograniczać się do niezbędnego minimum, będą kontrolowane.

Władze cywilne oraz wszystkie inne instytucje odpowiadające przede mną za utrzymanie porządku będą mogły kontynuować działalność tylko pod warunkiem wzorowej współpracy z władzami niemieckimi zgodnie z polityką Trzeciej Rzeszy, zmierzającą do zapobiegania aktom sabotażu i biernego oporu.

Rzym, 11 września 1943 roku

Marszałek polowy Kesselring

Jeszcze tego samego wieczoru Hitler przemówił do Włochów przez radio ze swej kwatery głównej w Kętrzynie położonym w Prusach Wschodnich. Pogratulował sobie zajęcia Rzymu i zagroził, że Włochy srogo pożałują zdrady oraz obalenia „swego znamienitego syna”, jak określił duce.

Zaledwie dzień później Mussolini został odbity z ośrodka narciarskiego Gran Sasso, gdzie był przetrzymywany, przez zuchwałego spadochroniarza Otto Skorzeny'ego i postawiony na czele Włoskiej Republiki Socjalnej ze stolicą w Salo - miasteczku i bastionie nazistów nad jeziorem Garda.

Na tych zmianach najbardziej skorzystał major Herbert Kappler, który wytropił kryjówkę Mussoliniego, za co otrzymał Krzyż Żelazny i awans na podpułkownika, oraz jego młody zastępca Erich Priebke, który awansował na kapitana. W ten właśnie sposób Kappler został komendantem SS i zaufanym człowiekiem Himmlera w Rzymie. Jeszcze tego samego dnia Reichsführer zadzwonił do Junia z prośbą, by pomógł Kapplerowi w jego trudnym zadaniu.

Na samym początku Himmler polecił Kapplerowi aresztować i deportować z Rzymu wszystkich Żydów. Jednak Kappler, obeznany z włoską rzeczywistością, uznał, że wykonując rozkaz Reichsführera, ściągnąłby na wojska okupacyjne więcej kłopotów niż korzyści, zwłaszcza że brakowało mu ludzi do przeprowadzenia akcji na taką skalę. Postanowił za pośrednictwem Junia i samego ambasadora Niemiec przy Stolicy Apostolskiej, barona Ernsta von Weizsäckera, ostrzec społeczność żydowską przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Jednak pozorny spokój panujący w Rzymie oraz fakt, że Niemcy stacjonowali w stolicy od jakiegoś już czasu, nie naprzykrzając się Żydom, przekonał przywódców gminy żydowskiej, że ksiądz Cima Vivarini i Weizsäcker dramatyzują. Puszczono również mimo uszu radę rabina Izraela Zollego,

rozumiejącego obłąkańcze plany nazistów, by zamknąć synagogi, zlikwidować konta bankowe i szukać schronienia w mieszkaniach chrześcijan oraz w klasztorach i domach zakonnych. Tymczasem, podczas gdy Kappler opowiadał się za wykorzystaniem rzymskich Żydów do zdobycia informacji na temat międzynarodowego „spisku” judaistycznego, Himmler nadal obstawał przy „ostatecznym rozwiązaniu”. Po spotkaniu z marszałkiem Kesselringiem w kwaterze głównej Wehrmachtu we Frascati Kappler zmienił taktykę i zażądał od gminy żydowskiej w Rzymie przekazania w ciągu dwudziestu czterech godzin pięćdziesięciu kilogramów złota w celu uniknięcia deportacji pewnej liczby swych członków.

Kappler i Kesselring chcieli w ten sposób ratować rzymskich Żydów, zamieniając ich w tanią siłę roboczą, jak to miało miejsce w Tunezji. Następnie Kappler rozmyślnie zapakował żydowski okup do skrzyni i wysłał go do berlińskiego biura generała Kaltenbrunera, by załatać dziurę w budżecie służb wywiadowczych SS. Jednak Himmler podesłał mu w odpowiedzi kapitana Theodora Danneckera, organizatora paryskich łapanek na Żydów. Przesłanie wydawało się jasne: postępowanie Kapplera oraz innych, wyższych oficerów nazistowskich, którzy wazyli się kwestionować rozkazy zwierzchników, było błędne i podejrzane, a tym samym niedopuszczalne. Dannecker stawiał się w Rzymie na czele Oddziału Trupiej Czaszki z Waffen-SS, złożonego z czterdziestu pięciu osób, w tym oficerów, podoficerów i szeregowców. Zaraz po pierwszym spotkaniu z Kapplerem zażądał posiłków i listy Żydów zamieszkałych w Rzymie. Obława została zaplanowana na rano szesnastego października. Choć jesień 1943 roku była wyjątkowo upalna, operację przeprowadzono w strugach ulewnego deszczu. W samym getcie aresztowano ponad tysiąc Żydów, których przetransportowano ciężarówkami z Portico d'Ottavia do Collegio Militare - położonego na brzegu Tybru, zaledwie pięćset metrów od Watykanu - a następnie do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, skąd po wojnie wróciło tylko piętnastu mężczyzn i jedna kobieta. Na wieść o łapance Pius XII musiał zawiesić prawo kanoniczne dotyczące stołecznych zakonów klauzurowych i pozwolić ocalałym z obławy wyznawcom wiary mojżeszowej schronić się w klasztorach.

Los Żydów zrobił na mieszkańcach Rzymu wielkie wrażenie, które w miarę upływu godzin przerodziło się w oburzenie. Zgodnie z obawami Kapplera, bezpośredni atak na społeczność żydowską zbudził u reszty mieszkańców ducha oporu i w Rzymie poczęły się mnożyć akty sabotażu oraz zamachy na siły okupacyjne.

Pamiętam, że nazajutrz Montse przyniosła do domu egzemplarz podziemnej gazetki „Italia Libera”, której jeden z nagłówków głosił:

**NIEMCY CAŁY DZIEŃ PRZECZESYWALI RZYM, WYŁAPUJĄC WŁOCHÓW DO SWYCH KREMATORIÓW NA PÓŁNOCY EUROPY.**

Dzięki przyjaźni Junia z pułkownikiem Eugenem Dollmannem, pośrednikiem między SS a włoskimi faszystami, zostałem zatrudniony przy projektowaniu i budowie niemieckich umocnień mających powstrzymać ofensywę aliancką.

Jedynym sprawdzianem, jakiemu mnie poddano, był obiad z Juniem i z samym Dollmannem. Podczas posiłku pułkownik rozwodził się nad urodą Włoszek, nad stoma sposobami przyrządzenia langusty, nad swą słabością do *tartufo nero* (zamówił bliny w kwaśnej śmietanie i kawior) oraz innymi błahostkami wynikającymi z jego upodobań dystygowanego sybaryty. O polityce wspomniął tylko po to, by pochwalić się autorytetem, jakim cieszył się u marszałka Kesselringa, głównodowodzącego niemieckimi siłami zbrojnymi we Włoszech. Ponoć Kesselring poprosił go o opinię na temat reakcji rzymian w przypadku ewentualnego zajęcia miasta przez armię Trzeciej Rzeszy.

- Odpowiedziałem, że w ciągu dziejów mieszkańcy włoskiej stolicy udowodnili, iż nie są skorzy powstawać nawet z łóżka, co dopiero zbrojnie, i że również tym razem nie zachowają się inaczej. Zapewniłem Kesselringa, że przyglądać się będą beczynn timer, w czyje ręce, brytyjskie, amerykańskie czy niemieckie, wpadnie miasto. I proszę, miałem rację.

Dollmann zapominał o ponad sześciuset rzymianach, którzy stracili życie, nie chcąc pozwolić, by ich miasto wpadło w ręce Niemców.

Zaraz potem pułkownik po raz pierwszy zwrócił się do mnie:

- Książę twierdzi, że jest pan znakomitym młodym architektem. Jeśli zgodzi się pan dla nas pracować, pozwolimy panu mimo zakazu prowadzić korespondencję z żoną.

Uznałem, że Junio wystarczy o tę zgodę. Zawsze zachodziłem w głowę, czemu był dla nas tak pobłażliwy, nawet wiedząc o naszej tajnej działalności. Widzę tylko jedno wytłumaczenie - robił to z miłości do Montse.

- Czy wolno mi odmówić? - próbowałem wybadać Dollmanna.

- Oczywiście, tyle że wtedy musiałbym pana przedstawić jako ochotnika do przymusowych robót - odparł, nie kryjąc cynizmu.

Po czym, opróżniwszy kieliszek wina i wykrzywiwszy wargi w półuśmiechu, dodał kpiąco:

- Wiedzieli panowie, że Kesselring bywa nazywany „uśmiechniętym Albertem”? Ale ostatnimi czasy uśmiech skostniał mu na twarzy, a cierpliwość wyczerpała się. Potrzebował do budowy umocnień obronnych na froncie południowym sześćdziesięciu tysięcy ochotników, w tym szesnastu tysięcy czterystu z samego Rzymu, tymczasem zgłosiło się tylko trzysta piętnaście osób. Albert tak się rozsierdził, że podniósł poprzeczkę i wezwał do pracy dwadzieścia pięć tysięcy rzymian, a kiedy ochotników nie przybywało, kazał ich łowić po domach, tramwajach lub autobusach i wysyłać do przymusowych robót.

- Dzisiaj rano przeżyłem właśnie taką łapankę. Wsiadłem pod Koloseum do tramwaju, a pięć minut później żołnierze SS wpadli do wagonu i kazali nam wysiadać. Wylegitymowali wszystkich mężczyzn i zatrzymali czterech - wtrącił Junio.

- Generał Stahel pokpiwa, że odkąd rozpoczęły się łapanki „połowa Rzymu ukrywa się w domach drugiej połowy”. Wygląda na to, że w stolicy Włoch mężczyźni zapadli się pod ziemię. Jeszcze trochę a my, Niemcy, będziemy musieli ich zastąpić w domowych pieleszach i zająć się ich żonkami. Rozumieją chyba panowie, co mam na myśli...

Przy tych słowach Dollmann wybuchnął tubalnym, groteskowym śmiechem.

Na zakończenie do restauracji wkroczył Mario, włoski szofer Dollmanna, oraz Cuno, owczarek niemiecki pułkownika. Wilczur dostał w nagrodę resztki ze stołu, które przyjął z właściwym psom szlachetnym entuzjazmem.

Niedawno opublikowany portret psychologiczny Dollmanna, wykonany między czerwcem a sierpniem 1945 roku, ukazuje osobę o wyjątkowej inteligencji i nadzwyczajnym jak na Niemca temperamencie. Z analizy wynika ponadto, że próżny i pozbawiony zasad Dollmann był jednocześnie tak wytworny i tak hedonistycznie nastawiony do życia, że najprawdopodobniej nie dopuścił się aktów okrucieństwa.

Nie wiem, o jakie przestępstwa oskarżono Dollmanna, mogę jednak poświadczyć, że wyglądał na osobę, którą narodowy socjalizm interesuje nie jako ideologia, ale jako sposób na realizację własnych celów, sprowadzających się do zbytkownego, rozpustnego życia w luksusowym apartamencie na ulicy Condotti. Jeśli natomiast chodzi o stronę czysto polityczną, nie znałem innego niemieckiego oficera, któremu równie obca byłaby nazistowska etyka - tak obca, że pod koniec obiadu miałem już zapewnioną posadę, i to bez potrzeby odpowiadania na żadne pytanie. Myślę, że Dollmann potraktował sprawę mojego zatrudnienia jako doskonałą okazję do spożycia wykwintnego posiłku w towarzystwie swego dobrego znajomego, księcia Cimy Vivariniego. Poprzestał na rekomendacji Junia, bo w gruncie rzeczy guzik go obchodziłem.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie harowałem równie ciężko. Stres wynikający z potrzeby jak najszybszego ukończenia projektu potęgowały wielkie odległości, jakie przyszło nam pokonywać, oraz ukształtowanie terenu (od stromych szczytów La Mainarde po łagodne zbocza gór Aurunci). Nie można zapominać, że do tamtej pory alianci zdążyli już wylądować na plażach Salemo i zepchnąć niemiecką X Armię na północ, za rzekę Volturno zaledwie czterdzieści kilometrów od naszych pozycji. Churchill postanowił zamienić włoski but w piętę achillesową Niemców i wbić się w niego klinem, by odwrócić uwagę Hitlera od frontu wschodniego i zachodniego. Ale Kesselring był twardym przeciwnikiem. Stawiał silniejszy opór, niż należałoby przypuszczać.

Linia Gustawa - główne niemieckie umocnienia na terytorium Włoch - prowadziła od gór Abruzji przez kluczową oś obrony na Monte Cassino, a potem

wzdłuż rzek Garigliano i Rapido aż do morza. W ciągu zaledwie kilku dni przyszło nam zbudować, w ulewnym deszczu i na niemiłosiernym zimnie, fortyfikacje w postaci zakopanych wież czołgowych, bunkrów, kazamat z wyrzutniami pocisków oraz baterii dział kalibru osiemdziesiąt osiem milimetrów. Na domiar złego musieliśmy również karczować zarośla i stawiać pola minowe.

Kiedy nie objeżdżałem terenu budowy, nadzorując postęp robót, pracowałem w krążgankach zaprojektowanych przez Bramantego dla opactwa na Monte Cassino. To dzieło z 1595 roku przywodziło mi na pamięć mój pobyt w Akademii Hiszpańskiej. Z wychodzących na zachód balkonów roztaczał się wspaniały widok na dolinę rzeki Liri. Nawet dzisiaj, gdy zamknę oczy, widzę Monte Cassino takie jak dawniej - nim alianckie lotnictwo obróciło opactwo w gruzy, a dolina przemieniła się w cmentarz polskich żołnierzy.

Jednak mimo katorżniczej pracy znajdowałem czas, by pisać do Montse. Zlecił mi to zresztą drugi Smith, gdy tylko usłyszał o wyróżnieniu, jakie spotkało mnie ze strony Dollmanna. A więc wieści z frontu docierały do Smitha za pośrednictwem Montse (na dobrą sprawę jej zadanie sprowadzało się do oddawania moich listów Marcowi - kelnerowi z pizzerii Pollarolo). Ukrywałem wojskowe informacje w zdaniach na pozór niewinnych, wedle banalnie prostego szyfru. Pisałem na przykład: „Z opactwa rozciąga się wspaniały widok”, by powiedzieć, że w okolicy nie widać Niemców. Natomiast skierowane do Montse zdanie „Tęsknię za twymi ściskami” oznaczało, że wojska niemieckie zajęły pozycje w sąsiednich miejscowościach. Dzięki takiej formie kodowania wiadomości nie musiałem nosić przy sobie księgi szyfrów i niepotrzebnie ryzykować. Wystarczyło nauczyć się kilku prostych zasad.

Choć Niemcy cenzurowali korespondencję, żaden z moich zaszyfrowanych listów nie wzbudził ich podejrzeń.

Gdy moja misja na Monte Cassino dobiegła końca, wysłano mnie na linię Reinharda, przebiegającą niedaleko linii Gustawa, a zaraz potem na linię Sengera - zwaną również linią Hitlera - łączącą Pontecorvo, Aquino i Piedimonte San Germano. W tym samym czasie powstała jeszcze jedna linia umocnień, broniąca dostępu do stolicy, lecz nie uczestniczyłem w jej budowie, gdyż zostałem wezwany do Berlina.

Rozkaz wyjazdu przeraził mnie i oszołomił. Trudno się dziwić, że miałem jak najgorsze przeczucia - w całych Włoszech mnożyły się deportacje tudzież powody, z jakich można było trafić przed pluton egzekucyjny lub do obozu koncentracyjnego.

Pięć godzin później w towarzystwie Junia, pułkownika Eugena Dollmanna oraz kapitana SS o imieniu Ernst, któremu rozkazano eskortować mnie do samych Niemiec, znalazłem się pod numerem sto pięćdziesiątym piątym na ulicy Tasso, gdzie mieściła się rzymska kwatera główna gestapo. Okazało się, że miałem rozpocząć pracę dla firmy budowlanej Hochtief.

Ernst, o piędź wyższy od Gabora i jeszcze bardziej jasnowłosy, wyglądał na owoc laboratoryjnych sztuczek Himmlera. Został wyszkolony do przyjmowania oraz

wypełniania rozkazów i słowo daję, nie znam nikogo, kto gorliwiej wywiązywałby się ze swych obowiązków. Gdy szedłem do łazienki, Ernst odprowadzał mnie do samych drzwi i czekał, aż wyjdę. Podczas podróży nowoczesnym samolotem Junkers-52, mogącym zabrać na pokład piętnastu pasażerów, wyznał mi, że należał do Einsatzgruppen - lotnych jednostek śmierci, które tępiły Żydów i Cyganów w Europie Wschodniej. Nie mógł jednak poradzić sobie z wyrzutami sumienia spowodowanymi strzelaniem do bezbronnych cywilów nierzadko kobiet i dzieci, został więc odesłany do Rzymu, którego klimat koi ponoć dolegliwości ducha. Roczny pobyt we Włoszech pomógł mu podreperować zdrowie i teraz wracał do ojczyzny, by nadal walczyć z wrogiem, tym razem zza biurka. Na moje pytanie czym zajmował się przed wojną, Ernst odpowiedział:

- Sprzedawałem kiełbaski. Miałem sklep mięsny w Dreźnie.

Pozwolono mi spakować trochę ubrań na wyjazd, mogłem więc pożegnać się z Montse.

- Muszę jechać do Berlina w sprawach służbowych. Nie mam czasu na wyjaśnienia, bo na dole czeka na mnie niemiecki oficer. Jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować, zgłoś się do Junia. On ci pomoże.

Montse uścisnęła mnie - myślałem, że po raz ostatni - i rzuciła:

- Ojciec Sansovino nie żyje. Popełnił samobójstwo.

Żołądek podskoczył mi do gardła. Zaprotestowałem, dopatrując się w słowach Montse sprzeczności:

- To niemożliwe. Księżom nie wolno popełniać samobójstwa.

- Podobno odkrył, że Niemcy szpiegują ojca Roberta Lieberta, osobistego sekretarza papieża. Dlatego Kappler kazał go aresztować, jeśli opuści teren Watykanu. Junio opowiadał, że na widok otaczających go gestapowców ojciec Sansovino połknął kapsułkę cyjanku, którą zawsze nosił przy sobie.

- Trafi do piekła. Wszyscy trafimy do piekła - rzuciłem przez zęby, nie potrafiąc stłumić ogarniającej mnie wściekłości.

Chwyciłem papier i ołówek. Naszkicowałem linie Gustawa, Reinharda i Sengera, zaznaczając na nich pozycje niemieckiej obrony oraz dodając kilka wskazówek ułatwiających ich lokalizację (dane topograficzne, wysokości nad poziomem morza i tym podobne szczegóły).

- Umów się na spotkanie ze Smithem i przekaż mu te plany - nuciłem. - Najbezpieczniejszym miejscem na spotkanie jest krypta Świętej Cecylii. Ale zanim cokolwiek zrobisz, upewnij się, że nikt cię nie śledzi. Jeśli wpadniesz, zgubisz siebie i mnie.

- Nie martw się, będę uważać.

- Jeszcze coś. Smith, z którym się spotkasz, nie jest Smithem znanym ci z cmentarza protestanckiego. Tamten Smith nie żyje, i to od dawna. Nie wiedziałem, jak powiedzieć ci prawdę.

- Nie sądzisz, że prawda jest teraz bez znaczenia?

Idąc po schodach prowadzących na ulicę, miałem wrażenie, że zstępuję do piekieł.

## 8

Wiele rzeczy przykuło moją uwagę, gdy wylądowałem na lotnisku Tempelhof Feld. Po pierwsze - dobry stan tamtejszych instalacji. Po drugie - niemal brak formalności celnych wynikający zapewne z faktu, że każda osoba wjeżdżająca do Niemiec była uprzednio sprawdzona i poddana klasyfikacji. (Jeśli o mnie chodzi, posiadałem nie tylko zaproszenie największego niemieckiego przedsiębiorstwa budowlanego, ale również referencje podpisane przez samego Dollmanna, w których podkreślał mój wkład w budowę umocnień obronnych na południu Włoch). Po trzecie - panujący wokół spokój, zupełnie jakby wojna była tu sprawą drugorzędną. W końcu, po krótkim przesłuchaniu w biurach gestapo, otrzymałem kartki żywnościowe na cały tydzień i szofer zawiózł mnie do centrum miasta.

Berlin doskonale odzwierciedlał zamiar Hitlera, by pozostawić po sobie dziedzictwo zapisane w „dokumentach z kamienia”. Pomagał mu w tym jeden z najbardziej znanych niemieckich architektów, Albert Speer, któremu zlecono przeobrażenie prowincjonalnego miasta w kosmopolityczną Germanię - nową stolicę Niemiec mającą prześcignąć pod względem urody i okazałości Paryż oraz Wiedeń. Projekt, którego ukończenie planowano na rok 1950, przewidywał budowę alei rozleglejszej od Pól Elizejskich, gigantycznego, wysokiego na osiemdziesiąt metrów łuku, pałacu kongresowego zwieńczonego kopułą dwustupięćdziesięciometrowej średnicy. Na materiał wybrano kamień, gdyż nowe budowle miały przetrwać tysiąc lat - dokładnie tyle, co Trzecia Rzesza. Aktualnie Speer pracował nad tymczasową Nową Kancelarią Rzeszy - monumentalnym budynkiem kolosalnych rozmiarów, ukończonym w ciągu roku. Pamiętam, że na widok ostentacyjnie wielkiej siedziby rządu na Wilhelmstrasse przyszło mi do głowy zdanie filozofa Arthura Moellera Van der Brucka: Monumentalizm ma ten sam skutek, co wielkie wojny, powszechne powstania czy narodziny narodu: oswobadza, jednoczy oraz dyktuje i narzuca przeznaczenie.

Rozmiary budynków były w rzeczy samej imponujące, starały się pomniejszyć człowieka, onieśmielając go i zastraszać. W architekturze tej, pompacyjnej, a

zarazem monotonnej, stawiano przede wszystkim na symetrię i powierzchnie poziome. Jednak podobnie jak w przypadku architektury faszystowskiej we Włoszech, za tymi przypominającymi fortece budowlami bez wyrazu kryła się wyłącznie wielka pustka.

Moją uwagę zwróciły również miejskie ogrody zamienione w polećka uprawne, gdzie zamiast kwiatów rosły ziemniaki i fasola.

Jesienią 1943 roku wbrew zapewnieniom propagandy Berlin był już stolicą zwyciężonego państwa. Potwierdzała to zresztą moja obecność w mieście - firma Hochtief potrzebowała mej pomocy, by przeobrazić miasto w gigantyczny schron przeciwlotniczy, który nijak nie pasował do Germanii Alberta Speera.

Choć próby zduszenia ruchów dysydenckich w kraju były liczne (mnożyły się chociażby naloty policyjne oraz rewizje domów i mieszkań), wyraźnie dawało się odczuć, że część społeczeństwa nie popiera nazizmu. Jak zauważył jeden z przeciwników dyktatury hitlerowskiej, ówczesne Niemcy wiodły podwójne życie: obok państwa swastyk, mundurów i defilujących żołnierzy, pojawiającego się do znudzenia w radiu i kinie, istniały inne ukryte Niemcy, wszechobecne w sposób nieokreślony, lecz wyczuwalny. Szczerze mówiąc, Trzecia Rzesza była jak palimpsest lub przemalowany obraz: po ostrożnym i cierpliwym usunięciu wierzchniej warstwy pod spodem ukaże się tekst lub obraz zupełnie inny, który być może uległ uszkodzeniu podczas poprawek i wycierania, ale nadal stanowi harmonijną i spójną całość.

Choć od tamtych wydarzeń upłynęło już dziewięć lat, wciąż słyszę syreny ostrzegające o nadlatujących samolotach i niecichący świst bomb tnących niebo. Od połowy listopada bombardowania nasiliły się. Z początku skuteczniała je brytyjska Royal Air Force nadciągająca zawsze pod osłoną nocy. Potem niebo nad Berlinem pruć poczęły latające fortece amerykańskich sił powietrznych, które wolały zrzucać swój śmiertcionośny ładunek za dnia. Wspólnymi siłami przemieniły one miasto w wielki lej, a ulice - w blizny. Dwie trzecie budynków zawaliło się lub doznało uszczerbku. Kto mógł, uciekł z miasta.

Ci, którzy tak jak ja nie mieli prawa opuszczać Berlina, spędzali sporą część dnia i nocy w metrze, obcokrajowcom nie wolno było bowiem korzystać ze schronów przeciwlotniczych, zarezerwowanych wyłącznie dla Aryjczyków.

Pewnej nocy w tunelu stacji Niederschö neweide, gdzie przeczekiwałem bombardowanie RAF-u, podszedł do mnie członek SS, z pochodzenia Hiszpan. Nazywał się Miguel Ezquerra, był oficerem Błękitnej Dywizji, który po rozwiązaniu jego jednostki zdecydował się pozostać w Niemczech. Teraz wchodził w skład niemieckich służb wywiadowczych i naziści polecili mu zwerbować jak najwięcej rodaków, by stworzyć hiszpański oddział SS. Pochwalił się, że skaptował już przeszło sto osób, w większości robotników przysyłanych przez generała Franco do niemieckich fabryk broni, którzy ostali się bez pracy po zniszczeniu ich zakładów przez bomby.

- Więc co? Chcesz się do nas przyłączyć? - zaproponował mi.



- Pracuję jako architekt dla firmy Hochtief - wykręcałem się.
- Nie mówię teraz, ale w przyszłości, gdy sytuacja się pogorszy.

W tej samej chwili kilka metrów od nas uderzyła bomba i pył posypał się nam na głowy.

- Do licha z tym rzeźnikiem Harrisem! Ta spadła naprawdę blisko - zaczął złorzeczyć Ezquerra.

„Rzeźnikiem” mieszkańcy Berlina nazywali marszałka RAF-u sir Arthura T. Harrisa. W pełni zasłużył na swe przydomki, każąc zastąpić bomby burzące bombami zapalającymi, znacznie skuteczniejszymi w łamaniu ducha u ludności cywilnej i robotników z fabryk.

- Mieszkam w Rzymie, rodzina tam na mnie czeka - wyjaśniłem, gdy w tunelu znów zaległa cisza.

Powiedziałem „rodzina”, by uprawomocnić swe pragnienie powrotu do domu.

- Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Możliwe, że nie będziesz mógł wyjechać z miasta.

Nic, nawet strach przed bombardowaniami czy myśl, że zginę lub zostanę ranny, nie dręczyły mnie bardziej niż obawa, iż będę musiał przesiedzieć w Berlinie, z dala od Montse, aż do końca wojny.

- Jeśli nie zdołam wrócić do Rzymu, będzie to oznaczało, że Niemcy przegrały wojnę - skonstatowałem.

- A wtedy znajdziesz mnie w barakach firmy Motorenbau. To blisko stąd.

Oczywiście zdumiało mnie bardzo, że stacje metra Niederschöneweide, Friedrichstrasse lub Anhalter roją się od typów podobnych do Miguela Ezquerry, gotowych oddać życie za Trzecią Rzeszę. Byli wśród nich Łotysze, Estończycy, Francuzi, Gruzini, Turcy, Hindusi a nawet niejedyn angielski faszysta.

Ponownie spotkałem Ezquerrę w czasie intensywnych bombardowań trwających od dwudziestego drugiego do dwudziestego szóstego listopada. Towarzyszył mu jeden z jego podwładnych, niejaki Liborio - człek o rozbieganych oczach i nerwowym tiku powiek, który ze względu na panujący w mieście głód myślał tylko o jedzeniu. Dwudziestego szóstego listopada, jeśli mnie pamięć nie myli, gdy tylko rozeszła się wieść, że alianckie bomby zapalające trafiły w berlińskie zoo, Liborio zaproponował:

- Jeśli się pospieszymy, może znajdziemy jeszcze jakiegoś padłego krokodyla lub miśka. Nawet nie będzie trzeba ich przyrządzać. To jedyna zaleta tych cholernych bomb zapalających: mięso jest dzięki nim dobrze wypieczone.

- Lubi pan niedźwiedzie mięso, panie architekcie? - zagadnął mnie Ezquerra.

- Dziękuję, nie jestem głodny.

- No tak, wy, mieszkańcy Unter den Linden i Alexanderplatz, jadacie codziennie. Mam rację?

- Jem to, co wszyscy: kapustę, ziemniaki...

- Myli się pan. W Berlinie nie wszyscy jedzą. I coś mi mówi, że jak tak dalej pójdzie, wkrótce pozjadamy się wzajemnie - stwierdził Ezquerra.

Nie miałem innego wyjścia, tylko zaprosić ich na kolację do restauracji Stoeckler, na Kurfürstendamm. Zjedliśmy sto dwadzieścia pięć gramów mięsa, tyleż ziemniaków i trzydzieści gramów chleba z moich kartek żywnościowych, oprócz trzech budyniów chemicznych, które dostaliśmy za darmo. Budynie chemiczne były wynalazkiem zakładu I.G. Farben, wykorzystującego proces przetwarzania pewnych minerałów do produkcji jajek, masła i innych witaminizowanych artykułów spożywczych. Dopiero później dowiedziałem się, że I.G. Farben było największym światowym konsorcjum chemicznym i że w jej filii w Leverkusen produkowano gaz cyklon B, którym w obozach zagłady uśmiercono miliony Żydów, Cyganów i homoseksualistów. Napelniwszy żołądek, Ezquerra zaprosił mnie na niedzielę przed Bożym Narodzeniem do klubu Humboldta na przyjęcie wydawane przez władze niemieckie na cześć obcokrajowców przebywających w Berlinie.

- Będzie wyzerka i tańce, mimo zakazu. Przynajmniej w zeszłym roku pozwolono nam śpiewać i tańczyć - dorzucił Liborio.

Odmówiłem, tłumacząc, że tego samego wieczoru wybieram się na kolację z dyrekcją firmy Hochtief.

Następnie zaczęliśmy rozmawiać o tym, czy Rosjanie dotrą do Berlina, oraz o zwierzęcym strachu mieszkańców przed taką ewentualnością.

- Noga iwana - „iwanami” berlińczycy nazywali Rosjan - nigdy nie postanie na ulicach tego miasta, bo Führer ma asa w rękawie: tajną śmiertcioną broń, która odwróci bieg wojny - przekonywał Liborio.

Wtedy Ezquerra, robiąc użytek ze swej rangi, szarpnął kompana za bluzę i wskazał wzrokiem plakat na ścianie lokalu - taki sam, jaki wisiał we wszystkich berlińskich środkach transportu i budynkach użyteczności publicznej - głoszący:

#### UWAGA. WRÓG SŁUCHA

Gdy wyszliśmy z restauracji, miasto spowijała gęsta, ponura ciemność, niemal wyczuwalna pod palcami. Po zmroku berlińczycy musieli opuszczać rolety z czarnego papieru i szczelnie zasłaniać wszystkie okna, by światło nie wydostawało się na zewnątrz.

Kiedyś nalot zaskoczył mnie na ulicy. Nie znając dobrze miasta, nie mogłem wystarczająco szybko odnaleźć żadnego wylotu metra, dlatego schroniłem się w

pierwszej lepszej bramie. Zobaczyłem tam drobną kobietę o orientalnych rysach. Przywarła do ziemi, nakrywając głowę dłońmi. Obok niej leżał *Luftschutzkoffer* - obowiązkowa walizeczka zabierana z domu w razie nalotu zawierająca osobiste dokumenty, kartki na żywność oraz trochę jedzenia i ubrań. Być może nieznajoma była służącą, która tak jak ja nie miała wstępu do schronów. Dwie minuty później bomba trafiła w dach naszego budynku i przez otwór klatki schodowej zaczęły wpadać najpierw szkło i gruz, a potem piach i strumienie wody, zapewne z jakiejś wanny lub z wiader ustawionych zgodnie z rozkazem władz za drzwiami mieszkań. Kolejna bomba uderzyła sześćdziesiąt - siedemdziesiąt metrów od nas, w sam środek ulicy, wyrwijąc olbrzymi lej. Kiedy trzecia bomba zwała fasadę kamienicy naprzeciwko, zrozumiałem, że musimy brać nogi za pas. Nie wiedziałem tylko dokąd. Skinąłem na swoją towarzyszkę niedoli, by szła za mną, lecz strach ją oślepił. Nie widziała mnie. Tkwiła w miejscu jak sparaliżowana. Wziąłem ją na ręce i pobiegłem ku lejowi na ulicy. Następna bomba trafiła w naszą kamienicę, obracając ją w gruzy. Mało brakowało, a byłoby po nas. Huk pocisków i dział przeciwlotniczych stał się nie do zniesienia. Kobieta przywarła do mnie i skuliła się w moich objęciach jak kwiat tulący płatki przed nocą. Leżeliśmy tak z pół godziny, lgnąc do siebie całym ciałem, by nie pozostawić nawet szparki, przez którą mogłaby wślizgnąć się śmierć. Nie zamieniliśmy słowa, lecz po każdym wybuchu czytaliśmy sobie w myślach. Nie potrafię opisać, co wtedy czułem, wiem tylko, że nigdy nie doświadczyłem z nikim takiej duchowej komunii.

Gdy bombardowanie ustało, wyrząłem z zagłębienia, by zbadać sytuację. Przed moim nosem setka niemieckich żołnierzy biegła w popłochu po śniegu niczym mrówki, wznosząc barykady z worków piasku i rozstawiając ciężkie działa. Inna grupa starała się gasić bomby zapalające, które rozlewały się po ziemi jak sztabki rozżarzonego złota, sycząc i wznecając liczne pożary. Jedynie posypując je piaskiem, można było zażegnać niebezpieczeństwo. Spojrzałem w niebo, ku któremu wznosiły się nieprzeliczone słupy dymu, pyłu i ognia. Wspomniałem czyjeś słowa, że wojny służą do obrony tego, co najukochańsze, i powiedziałem sobie w duchu, że za tym, co właśnie przeżyłem, stać może tylko jakaś żalosna istota, niezdolna nawet do odrobiny miłości. Gdy znów spojrzałem w głąb leju po bombie, nie było tam już kobiety o orientalnych rysach.

Skuteczność nalotów RAF-u zwiększyła się, gdy Brytyjczycy odkryli, że niemieckie działa przeciwlotnicze wyposażone są w nadajniki krótkich fal, które odbijają się od metalu samolotów i powracają do punktu wyjścia, zdradzając dokładną lokalizację latających maszyn. Aby okpić ten system, brytyjscy piloci wypuszczali z samolotów blaszki staniolu pochłaniające fale nieprzyjaciela. Tak więc czasami po okrutnym bombardowaniu sypały się nam na głowy strzępki cynfolii.

Innym moim żywym wspomnieniem z pobytu w Berlinie jest wizyta w biurze Alberta Speera, ówczesnego ministra uzbrojenia i amunicji Trzeciej Rzeszy, którego odwiedziłem z grupką dyrektorów Hochtief. Wiem, że Speer został skazany przez trybunał w Norymberdze na dwadzieścia lat więzienia za zbrodnie wojenne i zbrodnie

przeciwko ludzkości, jednak gdy go poznałem, był po prostu człowiekiem przybitym i zdezorientowanym na wieść o zniszczeniu bazy lotniczej w Peenemünde, jednego z najważniejszych doświadczalnych ośrodków rakietowych niemieckiej armii.

Podczas spotkania poruszono temat budowy drugiego bunkra dla Führera (oprócz schronu przeciwlotniczego istniejącego już w ogrodach Dawnej Kancelarii Rzeszy). Był to kolejny znak, że naziści są świadomi swej klęski.

Nigdy nie widziałem pełnych planów przygotowywanego obiektu, choć, owszem, miałem okazję rzucić okiem na kilka szkiców, a nawet zasięgnięto mojej opinii w sprawie pewnych rozwiązań technicznych. W ten sposób dowiedziałem się, że chodzi o dwupiętrowy bunkier (każde piętro liczyć miało dwadzieścia na jednaście metrów) wykopany piętnaście metrów pod ziemią, połączony schodami ze schronem z 1936 roku i wyposażony w wyjście ewakuacyjne oraz stożkowatą wieżę wentylacyjną i ochronną. Ściana bunkra miała mieć dwa i pół metra szerokości a sklepienie ze zbrojonego betonu i stali - od trzech do pięciu metrów grubości.

Jednak w gabinecie Speera moją uwagę zwróciła przede wszystkim makieta Germanii: miasta na planie krzyża, wyznaczonego przez dwie wielkie aleje północ-południe i wschód-zachód, od którego niczym gęsta pajęczyna pięćdziesięciokilometrowej średnicy odchodziły w formie koncentrycznych okręgów ulice i bulwary. Rozległe aleje, niektóre szerokie na sto dwadzieścia metrów i długie na siedem kilometrów, symbolizowały ziszczenie idei Lebensraum - przestrzeni życiowej. W sercu tego urojonego miasta stała Wielka Sala, największy budynek, jakiego projekt kiedykolwiek oglądałem. Kolos ten miał ważyć dziewięć milionów ton, sięgać dwustu dziewięćdziesięciu metrów i pomieścić sto pięćdziesiąt - sto osiemdziesiąt tysięcy osób.

Chcąc poznać przebieg drugiej wojny światowej, dziś wystarczy przyrzeć się architektonicznemu dorobkowi Speera, który rozpoczął karierę od projektu utopijnego miasta olbrzyma, a zakończył ją, tworząc kompleksy takie jak Riese - gigantyczny podziemny bunkier, do którego budowy zużyto dwieście pięćdziesiąt siedem tysięcy metrów sześciennych betonu i stali oraz sto kilometrów rur. Tak, w 1944 roku Trzecia Rzesza musiała zaszyć się pod ziemią i wegetować w coraz głębszych tunelach. W pewnym sensie spełniło się więc marzenie Himmlera o odkryciu podziemnego świata. Coś mi mówi, że gdyby wojna potrwała dłużej, a naziści ryliby coraz głębiej w trzewiach ziemi, dokopaliby się do samego piekła.

Opuszczenie Berlina nie stanowiło łatwego zadania. Potrzebna była do tego przepustka policyjna, przyznawana prawie wyłącznie Ausgebombte - ofiarom bombardowań. Musiałem więc zwrócić się o pomoc do Junia, a ten - do pułkownika Eugena Dollmanna.

Gdy samolot oderwał się od ziemi, kreśląc parabolę na berlińskim niebie, ujrzałem w dole miasto spoczywające na własnych gruzach. Przez ponad cztery miesiące spędzone w stolicy Rzeszy wielokrotnie miałem okazję kontemplować

oblicze zniszczenia, ale teraz, z powietrza, pierwszy raz w życiu oglądałem konające miasto otoczone całunem pól tonących w śniegu.

## 9

Wróciłem do Rzymu w połowie lutego 1944 roku. Choć miasto stało na swym miejscu, nadzieje jego mieszkańców legły w gruzach. Niemiecka XIV Armia, zwarta i gotowa, przybyła z północy Włoch na pomoc Kesselringowi, co spowodowało wstrzymanie alianckiego desantu na plażach Anzio i Nettuno. Zawód płynący z faktu, że alianci, będąc tak blisko, zwlekają z wyzwoleniem miasta, najlepiej wyrażał napis na jednym z murów Zatybrza: *Amerykany, trzymajcie się! Wkrótce was wyzwolimy!* Na domiar złego alianckie bombardowania przybrały na sile, nic więc dziwnego, że pogodne, bezwietrzne dni przemianowano w Rzymie na *una giornata da B-17* od nazwy amerykańskich latających fortec. Głód dziesiątkował ludność - tę, która oparła się „germanizacji”, czyli zdecydowaną większość, szerzyły się choroby zakaźne, a woda pitna była dostępna tylko w dzielnicach zamieszkałych przez Niemców. Spadochroniarze z Wehrmachtu dzień i noc pełnili wartę przy białej linii oddzielającej Watykan od okupowanego przez Niemców Rzymu. Nasiliły się łapanki, w których chwymano niewolniczą siłę roboczą do pracy na budowach prowadzonych przez Trzecią Rzeszę, oraz działania wymierzone przeciwko ruchowi oporu. Połączenia telefoniczne były często przerywane, a prywatne rozmowy - podsłuchiwane przez władze. Za przestępstwo uważano prowadzenie rozmów telefonicznych po angielsku. Pomoc „zbiegom” lub „uchodźcom” karana była śmiercią. To samo dotyczyło śmiarków wsiadających na rower. Niemieccy żołnierze mieli rozkaz strzelać do rowerzystów bez uprzedzenia. Krótko mówiąc, Rzym przemienił się - jak pisał Ezio Bacino, w przygraniczne miasto położone na ziemi niczyjej, między pozycjami dwóch wrogich armii i dwóch walczących ze sobą światów. Miesiące nazistowskiej okupacji upłynęły pod znakiem terroru, nieufności, kontrabandy, grózb i pochlebstw. Odkąd Herbert Kappler oraz jego zastępca, kapitan Erich Priebke, osobiście nadzorowali przesłuchania członków ruchu oporu, kwatera gestapo na ulicy Tasso przemieniła się w miejsce najokrutniejszych i najbardziej wymyślnych tortur. Miasto szybko obiegła wieść, że Kappler i Priebke używają podczas przesłuchań kastetów z brązu, biczów, palników i pałek nabijanych gwoździem, wbijają zatrzymanym igły pod paznokcie oraz wstrzykują substancje chemiczne, by wydobyć z nich zeznania. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów z hitlerowcami, włoscy faszyci stworzyli specjalną jednostkę policyjną, znaną jako „banda Kocha”. Jej dowódca, Pietro Koch, nazywany „doktorem”, syn Niemca, wyspecjalizował się w polowaniu na „wywrotowców”. Szef policji Tamburini przekazał mu na siedzibę pensjonat Oltremare na ulicy Principe Amadeo, niedaleko stacji Termini. W torturach Koch i jego ludzie prześcignęli samych Niemców, używali

bowiem podczas przesłuchań prętów z żelaza, drewnianych tłuczków i pras do łamania kości, wbijali w skronie więźniów ostre narzędzia, wrywali im paznokcie i zęby, sypali do gardła popiół i włosy łonowe. Pod koniec kwietnia zapotrzebowanie na większy metraż (pensjonat Oltremare zajmował tylko jedno piętro w kamienicy i sąsiedzi skarżyli się na hałasy) skłoniło bandę Kocha do zarekwirowania pensjonatu Jaccarino - uroczego, zlokalizowanego na ulicy Romagna pałacyku w stylu tokańskim - i przemienienia go w swą stałą siedzibę, gdzie więziono, przesłuchiowano i torturowano zatrzymanych. Jedną z wielu makabrycznych opowieści na temat bandy Kocha mówiła o wchodzącym w jej skład mnichu benedyktynie, który posługiwał się pseudonimem „Epaminonda” i wygrywał na pianinie utwory Schuberta, aby zagłuszyć krzyki torturowanych. Po drugiej stronie barykady walczyło dziesięć podziemnych organizacji komunistycznych, socjalistycznych i monarchistycznych, do których dodać należy służby wywiadowcze mocarstw biorących udział w wojnie. Wcześniej powiedziałem, że po alianckich nalotach Rzym z *citta aperta* zamienił się w *citta colpita*, teraz natomiast przypominał *citta esplosa* o krok od wybuchu.

Sam zostałem dwukrotnie zatrzymany przez SS, gdy jechałem tramwajem do pracy. W obu przypadkach uniknąłem przymusowych robót tylko dzięki moim zasługom dla Trzeciej Rzeszy, położonym na południu Włoch i w Berlinie. Nie podejrzewałem jednak, że szczęście ma się ode mnie wkrótce odwrócić.

Pewnego popołudnia po powrocie z pracy zastałem w domu Junia. Na jego twarzy malowała się powaga i surowość, a faszystowski mundur przydawał jego wizycie oficjalności. Siedząca obok niego Montse była wyraźnie zdenerwowana i gdy tylko wszedłem do salonu, zerwała się na równe nogi. Wtedy Junio powiedział:

- Zatrzymano przywódcę nielegalnej organizacji o nazwie „Smith”. Wśród rzeczy zarekwirowanych w jego mieszkaniu znaleziono plany niemieckich umocnień obronnych. W uwagach widniejących na tych dokumentach rozpoznano twój charakter pisma. Dziś wieczorem Kappler ma podpisać nakaz aresztowania ciebie. Mówiłem właśnie Montse, że powinieneś na jakiś czas zniknąć.

Prawda musiała kiedyś wyjść na jaw, to była tylko kwestia czasu. Dlatego nie próbowałem nawet zaprzeczać.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później tak się to skończy - przyznałem się do winy.

- Coraz trudniej prowadzić w Rzymie działalność konspiracyjną. Niemcy wzięli sobie bardzo do serca sprawę nielegalnych organizacji i chcą za wszelką cenę zdławić ruch oporu - zauważył Junio.

- Co ze Smithem? - spytałem.

- Nie przeżył przesłuchania gestapo. Ale nie zdradził twojego imienia. Jak mówiłem, Niemcy trafili na ciebie innymi drogami.

Uspokoilem się na wieść, że Smith nie wydał Niemcom Montse.

- Gdzie mam się niby ukryć?

- Pamiętajsz mieszkanie na ulicy Coronari? Tam będziesz bezpieczny, póki sytuacja się nie uspokoi.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że sytuacja się nie uspokoi, póki Niemcy okupują Rzym - stwierdziłem.

- W takim razie będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Cierpliwości mi nie brakuje, nie chcę tylko wyjść na ostatniego naiwnego. A teraz odpowiedz mi na jedno pytanie: dlaczego chcesz mi pomóc?

- Bo cokolwiek zrobięś, nie ma to dla mnie znaczenia. Nic nie ma już znaczenia. Wszyscy się pomyliliśmy w mniejszym lub większym stopniu. No i nie można zapominać o Montse - przyznał Junio.

- No właśnie, Montse. Nie zostawię jej samej. Jeśli Niemcy mnie nie znajdą, będą próbować zemścić się na niej.

- Obronię ją. Przy mnie nic jej nie grozi.

Tego właśnie chciałem uniknąć. Ani myślałem zostawiać Montse z Juniem. Nie zamierzałem być mu wdzięczny za uratowa nie życia nam obojgu. Junio znalazł mi pracę, zaopatrywał nas w mięso i lekarstwa... Już i tak zbyt długo rozporządzał naszym życiem...

- Chyba nie zrozumiałeś. To ja chcę jej bronić - powiedziałem.

Mówiliśmy o Montse jak o kimś nieobecnym, tymczasem ona uważnie przysłuchiwała się naszej rozmowie.

- Obawiam się, że w twojej obecnej sytuacji to niemożliwe - rzucił Junio.

- Możesz zostawić nas na kilka minut? Muszę porozmawiać z Jose Marią na osobności - przerwała nam Montse, zwracając się do Junia.

- Dobrze. Przyjechałem sam, bez Gabora. Zaczekam na dole w samochodzie.

- Dziękuję.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, powiedziałem do Montse

- Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Nie chcę znów się z tobą rozstawać.

- Obawiam się, że jest już za późno - odparła zupełnie obojętnie.

Wtedy zrozumiałem, że w którejś chwili, podczas mojej nieobecności, czar naszego małżeństwa prysnął.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Montse podeszła do regału, poszperała między stronami jakiejś książki i podała mi zadrukowaną kartkę, której nagłówek głosił: ZASADY WALKI PARTYZANCKIEJ. Przebiegłem wzrokiem jeden z akapitów, zalecający zaczynać od prostych akcji, jak rozrzucanie gwoździ czteroramiennych na drogach uczęszczanych przez kolumny wrogich wojsk lub rozciąganie w poprzek szosy kabli, by „kosić” głowy kierowcom i pasażerom nieprzyjacielskich motocykli.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - zdumiałem się.

- Poznałam pewne osoby... - powiedziała niepewnie Montse.

- Jakie osoby? - dopytywałem się.

- Członków ruchu oporu z GAP, Gruppi di Azione Partigiana.

- Chcesz powiedzieć: morderców. To, do czego namawiają, niewiele się różni od metod nazistów.

- A właśnie że nie! - zaprotestowała Montse. - Oni walczą w słusznej sprawie.

- „Kosząc” głowy?

Dla podkreślenia swych słów pomachałem jej przed nosem ulotką.

- Tak trzeba - rzuciła Montse, jakby odpowiadała na zawołanie litanii.

- Ciągle pamiętam, jak zareagowałaś, gdy twój ojciec i sekretarz Olarra usprawiedliwiali pogrom niemieckich Żydów w czasie „kryształowej nocy”.

- To zupełnie co innego - tłumaczyła. - Obiecałam im pomoc i nic nie skłoni mnie do zmiany zdania.

- Obiecałaś również, że mnie nie opuścisz aż do śmierci - przypomniałem jej.

Wiem, może się wydać, że nasz związek przechodził kryzys, jednak w innych okolicznościach nie odważyłbym się posunąć tak daleko. Jak już mówiłem, pogodziłem się z wadami Montse, a ona z moimi. Nie pomyłę się jednak, jeśli powiem, że najgorszą z moich wad była zazdrość - namiętne uczucie, które pętało mi serce i przemieniało mnie w istotę zaborczą, a jednocześnie żalną.

- Moja decyzja nie ma nic wspólnego z naszym małżeństwem - broniła się Montse.

- W takim razie z kim?

- Ze mną, José Maria, z moim sumieniem. Zaczynałem się czuć jak szantażysta, który próbuje wymusić zaufanie od uczciwej osoby.

- A więc sumienie podpowiada ci, że masz mnie porzucić i poświęcić się wyrzynaniu Niemców?



- Jesteś potwornie niesprawiedliwy. Po prostu uważam, że to nie najwłaściwszy moment, byś mnie prosił o udawanie przykładowej małżonki.

Bogiem a prawdą po długich miesiącach spędzonych najpierw na linii Gustawa, a potem w Berlinie niczego bardziej nie pragnąłem jak właśnie tego, by zachowywała się jak żona. Lecz w owych dniach Montse, podobnie jak większość mieszkańców Rzymu, uległa bojowej euforii, która objawiała się nieugiętym duchem oporu i nijak nie dawała się pogodzić ze spokojnym życiem małżeńskim. Tak, wiem, że żyliśmy w okupowanym mieście, ale właśnie dlatego przydałaby się nam większa dawka uczucia. Jestem świadomy, że gdy z nieba sypią się bomby, ucieczka w romantyczność niewiele pomoże. Zdaję sobie sprawę, że miłość jest zbyt krucha, by wojna nie wycisnęła na niej niezatartego piętna, ale w przypadku Montse sprawy zaszły za daleko. Nie zamierzałem się zgodzić, że moja prosta i skromna wizja małżeństwa ustępuje w czymkolwiek jej własnej.

- Można wiedzieć, gdzie poznałeś tych ludzi? - kontynuowałem przesłuchanie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Skinąłem potakująco głową.

- Przyszli po ciebie.

- Przyszli? Po mnie?

- Chcieli cię zabić. Myśleli, że jesteś kolaborantem, mieli nas za zdrajców. Musiałam wyznać prawdę. Powiedziałam im, co wiem na temat Smitha, i o przekazywanych przez ciebie planach. Teraz wszyscy walczymy po tej samej stronie barykady.

Już miałem zapytać, jacy „wszyscy”, ale wolałem machnąć ręką na retorykę i uświadomić Montse niebezpieczeństwa wspomnianej przez nią walki.

- Słyszałaś, co powiedział Junio: Smith zginął z rąk gestapo. Bóg mi świadkiem, że nie wybaczyłbym sobie, gdyby ciebie spotkało to samo.

Jak podejrzewałem, moja uwaga nie zrobiła na niej wrażenia.

- Jeśli się ukryję, przez resztę życia będę sobie wyrzucać, że nie zrobiłam, co do mnie należało.

- Już zrobiliśmy, co do nas należało. Właśnie dlatego Niemcy depczą mi po piętach.

- Wojna toczy się na ulicach Rzymu. W żadnym wypadku nie zamierzam się chować - moja żona twardo obstawała przy swoim.

Zazwyczaj nasze sprzeczki umacniały jeszcze władzę Montse nade mną. Powód był dość prosty: większość kłótni wynikała z mojego sprzeciwu.

- I zlecono ci już jakieś zadanie? - spytałem.

- Jutro maffi odebrać ze sklepu żelaznego na Zatybrzu skrzynkę czteroramiennych gwoździ, a pojutrze roznieść bibułę.

Nic nie drażniło Niemców bardziej niż czteroramienne gwoździe - wynalazek z czasów rzymskich cesarzy wykorzystywany i teraz przez antyhitlerowski ruch oporu i wyjątkowo skuteczny do przebijania opon oddziałów zmotoryzowanych.

- Czy twoi nowi kumple powiedzieli ci, że zostaniesz rozstrzelana, jeśli Niemcy znajdą przy tobie te gwoździe?

- Tak, ale muszę podjąć takie ryzyko. Transport gwoździ i roznoszenie ulotek nawołujących do powstania stanowią część szkolenia. Jeśli je zaliczę, otrzymam prawdziwe zadanie - wyznała Montse,

- Jakie zadanie?

Odpowiedź padła dopiero po kilku sekundach:

- Mam zabić Junia.

Najpierw pomyślałem, że żartuje, ale napięcie malujące się na jej twarzy przekonało mnie, że mówi poważnie.

- I zrobisz to? - zapytałem.

- O tym właśnie rozmawiałam z Juniem, gdy przyszedłeś. Poprosiłam go, by opuścił Rzym, bo nawet jeśli ja daruję mu życie, inny z moich towarzyszy odprawi nad nim sąd.

Nie ulegało wątpliwości, że Montse udzieliła się retoryka partyzantów, których górnolotne przemówienia były często bardziej dopracowane niż akcje sabotażowe. Choć muszę przyznać, że z tygodnia na tydzień poczynali sobie coraz zuchwalej.

- I co powiedział Junio?

- Bym się nie martwiła, bo sam potrafi o siebie zadbać. I że jeśli obiecuję, że z mojej strony nic mu nie grozi, uratuje ci życie.

- A ty się zgodziłaś.

- Oczywiście.

- Czyli darowałaś mu życie pod warunkiem, że mnie uratuje?

- Mniej więcej.

- Idę się spakować.

- Nie zdziw się, jeśli nie znajdziesz części swoich ubrań. Oddałam je - rzuciła po chwili.

- Oddałaś moje ubrania?

- Tylko te, których nie używasz.

- Można wiedzieć, komu je oddałaś?

- Uchodźcom, ukrywającym się Żydom, żołnierzom, którzy zdezerterowali z włoskiej armii, by nie wypełniać rozkazów niemieckich dowódców. Potrzebującym.

- Nie poznaję cię, Montse.

- Myślałeś, że będę czekać z założonymi rękami, podczas gdy ty ryzykujesz życie w Berlinie? Nie miałam żadnej pewności, że cię jeszcze zobaczę. Musiałam nadać sens swemu życiu.

- Twoje życie miało sens - próbowałem ją przekonywać. .

- Żadne życie nie ma sensu, jeśli dławi je najokrutniejsza dyktatura, jakiej doświadczyła ludzkość - nauczyła mnie.

Cóż miałem odpowiedzieć? Z fanatyzmem nie można walczyć, a Montse z idealistki zamieniła się w fanatyczkę. Teraz byk znacznie bardziej zimna i wyrachowana w imię tego, w co wierzyła. Być może tym właśnie różni się idealizm od fanatyzmu. Idealista to osoba namiętna i porywcza, gotowa z entuzjazmem bronić swych ideałów, fanatyk natomiast jest zimny i nieprzejednany, próbuje za wszelką cenę narzucić innym swe poglądy, choćby kosztem własnego życia. Pozostawało mi tylko sprawdzić, czy Montse jest gotowa posunąć się aż tak daleko.

Wsiadłem do samochodu Junia, obiecując sobie ratować własny honor, jakby rozmowa, którą dopiero co przeprowadziłem z Montse, nigdy się nie odbyła. Nie chciałem jego współczucia i - co to, to nie - ani myślałem okazywać mu wdzięczności za to, co dla mnie robił. Ale chwilę potem, gdy po tak długiej przerwie znalazłem się z nim sam na sam, zmieniłem zdanie. Miałem mu zbyt dużo do powiedzenia, zbyt wiele pytań do zadania.

- Wszystko w porządku? - zagadnął.

- Mniej więcej. Mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie.

- Pomógłbyś mi, gdyby nie Montse?

Junio spojrzał na mnie badawczo, a potem przesłał mi nieodgadniony uśmiech.

- Oczywiście. Zawsze cię ceniłem, wierz mi.

Dopiero wtedy zauważyłem, że prowadzi samochód niepewnie, jakby nie umiał jednocześnie posługiwać się pedałami, kierownicą i skrzynią biegów.

- A Gabor?

- Dałem mu dzisiaj wolne. Powiedzmy, że nie powinien wiedzieć o niektórych sprawach.

- Na przykład o tym, że zdradzasz Rzeszę?

- To nie zdrada.

- W takim razie co?

- Odrobina humanitaryzmu. Próba wiania szczypty zdrowego rozsądku w ten zbiorowy obłąd. Poszanowanie życia stoi ponad ideologią. Chyba się ze mną zgodzisz?

Kusiło mnie, by zapytać, kiedy i dlaczego zmienił zdanie.

- Poza tym, gdybym pozwolił Kapplerowi torturować cię i rozstrzelać, obarczyłbym się wyrzutami sumienia do końca życia - ciągnął książkę.

- A przy okazji „obarczyłbyś” się wdową po mnie - wypaliłem.

Junio przyjął nowy cios jak autentyczny dżentelmen. Może więc, choć udawał faszystę i nazistę, był nade wszystko dżentelmenem z prawdziwego zdarzenia.

- Montse jest silną kobietą, zawsze była silna. Żaden mężczyzna nie musiałby się nią „obarczać”, gdyby owdowiała. Natomiast ty... Wystarczy na ciebie spojrzeć.

- Co jest ze mną nie tak?

- Byłby z ciebie żaloszny wdowiec. Popadłbyś w pijaństwo lub coś w tym stylu.

- Zawsze mógłbym jeszcze popełnić samobójstwo - zauważyłem.

- Nie, to nie dla ciebie.

- Skąd ta pewność?

- Bo popełniając samobójstwo, pozbawiłbyś się przyjemności obwiniania się. Byłoby to równoznaczne z przerwaniem cierpień, a bez Montse jedyną rację twego istnienia stanowiłoby właśnie rozdrapywanie ran, rzucanie się w otchłań rozpacz, powstawanie i ponowne pograżanie się w desperacji, i tak raz za razem, bez końca. Wiele osób potrafi tylko w ten sposób stawić czoło życiu - rozkoszując się własnym cierpieniem.

Grupka faszystów pozdrowiła księcia dzikimi gestami i gromkimi głosami, gdy nasz samochód mijał Palazzo Braschi.

- Niech żyje książę Junio Valerio Cima Vivarini! Niech żyje książę Junio Valerio Borghese! - wykrzyknął najmłodszy i nich.

Książę Borghese był dowódcą oddziału Decima MAS, jednostki włoskiej armii, która nawet w najtrudniejszych chwilach pozostała wierna Mussoliniemu i Niemcom.

- Ci z kolei lubują się w zadawaniu cierpień bliźniemu - ciągnął Junio, bez śladu entuzjazmu odpowiadając na pozdrowienie.

- Witają cię niczym bohatera i porównują z tym księciem, twoim imiennikiem.

- Kto dziś ci schlebia, jutro może cię rozstrzelać. Wierz mi, gdy przyjdzie brać nogi za pas, będę unikał towarzystwa podobnych typów. Nie zabiorę ze sobą nawet Gabora.

- Sądziłem, że jesteście przyjaciółmi.

- Nie, tylko towarzyszymi broni. Gábor to cena, jaką musiałem zapłacić, by zaskarbić sobie zaufanie nazistów. Zlecono mu mieć mnie na oku (Gábor myśli, że o tym nie wiem), ja natomiast zwałam na niego mokrą robotę. Może się wydawać, że je mi z ręki, ale to tylko pozory. Gdy awansował na dziecioroba Rzeszy, myślałem, że uwolniłem się od niego po wsze czasy. Lecz jego nasienie okazało się nie tak dobre, jak sądzili Niemcy i on sam, więc odesłano mi go z podkulonym ogonem (i nie tylko ogonem...). Powiem otwarcie: przez te wszystkie lata utrzymywałem w tajemnicy swoją niechęć do Gabora. Tak, tak, ucieknę samotnie. Dlatego postanowiłem nauczyć się kierować.

Ton Junia był równie sztuczny, jak sama jego przemowa. Wydawało się, że przygotowuje głośno strategię na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

- Dokąd chcesz uciec?

- Jeszcze nie wiem. Może zaszyję się w jakimś dalekim zakątku Afryki lub Azji. Najważniejsze to znaleźć miejsce, gdzie nie będę rozumiał tubylców ani oni mnie. I nie myślę uczyć się ich języka ani przyjmować tamtejszych zwyczajów, bo zależy mi właśnie na życiu w izolacji. Pogardzam światem, który stworzyliśmy, nawet teraz, gdy obróciliśmy go w perzynę.

Kolejna grupka faszystów uniosła ramię na widok Junia.

- *Porci, carogne fasciste!* - wrzasnąłem.

- Krzycz, jeśli chcesz sobie ulżyć, ale tak, by żaden z tych furiatów cię nie usłyszał. W przeciwnym razie nawet ja nie uratuję cię przed zawiśnięciem na latarni. A gdyby ci się coś stało, jestem pewien, że Montse spełniłaby swą groźbę.

- O czym pomyślałeś, słysząc, że polecono jej cię zlikwidować?

- O niczym, ogarnął mnie tylko wielki smutek. Dopiero później, gdy minęło już pierwsze wrażenie, pomyślałem o kilku sprawach.

- Na przykład o czym?

- O tym, że skoro mam już umierać, to najlepiej z jej rąk. Bo to nie to samo dostać kulkę w łeb od anioła, co od demona. Chyba się ze mną zgodzisz? Zaraz potem pomyślałem, że nie znam nikogo równie odważnego, jak ona. Na koniec pomyślałem o tobie i... poczułem potworną zazdrość, bo twoja żona darowała mi życie w zamian za uratowanie twojego. To chyba najlepszy dowód miłości.

- Dlaczego w takim razie nie chce się ze mną ukryć i przeczekać, aż to wszystko minie?

- Właśnie dlatego, że jest kobietą odważną.

Nagle zdecydowałem się przedstawić mu osobliwą prośbę.

- Chcę, byś mi coś obiecał - powiedziałem.

- Mianowicie co?

- Jeśli aresztują Montse... Chcę, by nie cierpiała, by miała słodką śmierć...

Tym razem to Junio spojrział na mnie, nie kryjąc zdumienia.

- Prosisz, bym ją zabił, jeśli wpadnie z ręce Niemców?

- Tylko ty będziesz miał do niej wtedy dostęp. Nie chcę, by ten kat Kappler się do niej dobrał. Nie zniósłbym myśli, że ostatnią rzeczą, którą widziała przed śmiercią, był palnik przypiekający jej podeszwy stóp.

- Widzisz? Znów nakładasz opatrunek przed powstaniem rany, W rzeczywistości nie martwi cię los Montse, ale męka, o jaką przyprawiłyby cię jej cierpienia - zganil mnie Junio.

- Niepotrzebnie wszystko komplikujesz - rzuciłem.

-Ach tak? Zobaczmy więc, na czym stoimy. Montse darowuje mi życie pod warunkiem, że uratuję twoje, a teraz, gdy obaj jesteśmy bezpieczni, prosisz, bym zabił twoją żonę. I kto tu wszystko komplikuje?

- Zapomnij o tym.

- Oczywiście, że zapomnę o naszej rozmowie i mam nadzieję, że ty, dla własnego dobra, zrobisz to samo. Przyjdzie ci spędzić jakiś czas samotnie, w zamknięciu. Przy takim podejściu długo nie wytrzymasz.

- Czy będę odwiedzany?

- Raz w tygodniu ktoś przyniesie ci jedzenie.

- Zawsze ta sama osoba?

- Tak, zawsze ta sama osoba. Wymagają tego zasady bezpieczeństwa.

- A czy osobą tą może być Montse? Nie widzieliśmy się przez ostatnie cztery miesiące i mogą upłynąć następne cztery, zanim alianci wkroczą nareszcie do Rzymu.

- Szczerze mówiąc, i mnie dziwi, że jeszcze tego nie zrobili - przyznał ksiązę. - Zgoda. Zorganizuję wszystko tak, by Montse donosiła ci jedzenie.

- Dziękuję.

- Nie ma za co, robię to z myślą o własnej przyszłości. Gdy miasto zmieni właściciela, twój nakaz aresztowania opatrzony podpisem Kapplera otworzy ci wiele drzwi. To samo dotyczy Montse, odkąd „pracuje” dla ruchu oporu. Jeśli wpadnę podczas próby ucieczki, liczę na wasze wstawiennictwo.

- Coś jeszcze powinienem wiedzieć?

- W swojej nowej kryjówce znajdziesz radio i kilka książek. Czytaj i odpręż się. Nic otwieraj okiennic, a jeśli z jakiegoś powodu będziesz musiał to zrobić, nie wyglądaj przez okno. I ma się rozumieć, nie otwieraj drzwi obcym. Jeśli zapuka ktoś nieznanomy, spójrz ostrożnie przez wizjer i czekaj, aż powie hasło *casalinga*. Powiadomię cię, jeśli coś się zmieni. Ach, byłbym zapomniiał, w schowku przed tobą są klucze. Weź je.

Resztę drogi odbyliśmy w milczeniu.

Gdy dotarliśmy na miejsce, pożegnaliśmy się mocnym, długim uściskiem dłoni. Nie przypuszczałem, że widzimy się po raz ostatni.

Kiedy stanąłem na chodniku, okazało się, że jazda Junia przyprawiła mnie o mdłości. Zwymiotowawszy w bramie kamienicy numer dwadzieścia trzy na ulicy Coronari, ruszyłem na górę, przeskakując po dwa schody, by nikt mnie nie zauważył.

## 11

Gdybym miał opisać w kilku słowach to, co działo się w mieście podczas mojego aresztu domowego, powiedziałbym, że marzec był miesiącem burzliwym, obfitującym w dramatyczne wydarzenia, natomiast kwiecień i maj upłynęły pod znakiem głodu i wycieńczenia społeczeństwa. Sytuacja ta wynikała do pewnego stopnia z ogólnego stanu konfliktu zbrojnego, ponieważ Rzym był trofeum wojennym, które alianci chcieli za wszelką cenę przechwycić, a naziści i zatrzymać. Oczywiście najbardziej cierpieli cywile, którzy patrzyli, jak alianckie samoloty bombardują raz po raz konwoje z żywnością bez względu na to, czy wysyłał je Czerwony Krzyż, czy sam Watykan. Głodujący Rzym - myśleli alianci - szybciej powstanie przeciwko okupantowi. Głód i naloty - uważali Niemcy - działają na niekorzyść naszego przeciwnika. Jedni i drudzy znęcali się więc nad miastem, a gdy brak żywności był już tak dojmujący, że jedzenia mogło wystarczyć tylko na kilka dni, hitlerowcy znów zaczęli uliczne łapanki, by pozyskać niewolniczą siłę roboczą. Tym razem jednak kierowały nimi inne pobudki: deportując zatrzymanych na północ Włoch lub do Niemiec, pozbywali się wielu gąb do wyżywienia.

Ale zanim do tego doszło, ruch oporu wciąż działał, a Montse w jego szeregach. Fakt, że byłem po uszy zakochany w swojej żonie, pogarszał tylko sprawę, podczas mej izolacji najbardziej dręczyła mnie bowiem niewiedza, gdzie i z kim przebywa oraz czy grozi jej niebezpieczeństwo. Ku mej rozpaczycy w nowym mieszkaniu czekał na mnie zapas jedzenia na najbliższe siedem dni. Przyszło mi więc czekać cały tydzień na odwiedzinę Montse.

Gdy wreszcie się zjawiała, wydała mi się chudsza, może dlatego, że miała na sobie mój stary płaszcz, sporo na nią za duży, i dźwigała plecak pełen jedzenia.

- Niemcy przyszli po ciebie jeszcze tej samej nocy. Mało brakowało, a by cię dorwali - powiedziała, nagrodziwszy mnie pocałunkiem w usta.

Pomyślałem, że skoro drugi Smith i ojciec Sansovino nie żyją, jedyną osobą, którą mógłbym jeszcze wydać Niemcom, była właśnie ona.



- Czepiali się ciebie? - zapytałem.

- Powiedziałaś, że od twojego powrotu z Rzeszy nie mam od ciebie wiadomości, i udałam, że już mnie nie obchodzisz. Pokazałam im zresztą, że pozbyłam się nawet twoich ubrań. Junio był wtedy u nas, więc skończyło się na rutynowej rewizji.

- Rozumiem.

- Junio powiedział, że Kappler wyznaczył nagrodę za twoją głowę. Koch przyrzekł ponoć, że nie będzie żałował sił i środków, byle tylko cię schwytać.

- Ile jestem wart dla Kapplera?

- Milion lirów.

- W takim razie Koch postara się spełnić obietnicę. Skąd wzięłaś tyle jedzenia?

- Junio zna pewnego *corsaro della fame*.

„Piratami głodu” nazywano osoby handlujące żywnością na czarnym rynku.

Spod jedzenia wygrzebałem pistolet i ręczny granat.

- A to? - zapytałem, nie kryjąc zdumienia.

- Zatrzymaj je. Mogą ci się przydać - odparła Montse.

- W życiu nie posługiwałem się bronią i nie zamierzam tego robić teraz! Mowy nie ma! - oburzyłem się.

Montse zbyła milczeniem moje protesty.

- Obsługa pistoletu to fraszka - zaczęła mnie uczyć. - Odciągasz bezpiecznik, celujesz, próbując zapanować nad drżeniem dłoni, i naciskasz spust. Z granatem jest jeszcze łatwiej, tylko trzeba bardziej uważać. Po prostu wyciągasz zawleczkę i rzucasz. Jeśli ktoś będzie się próbował dostać do mieszkania, ciśnij granatem w drzwi, a potem uciekaj do łazienki, zamknij się na klucz i połóż w wannie. Masz na to piętnaście sekund. Wszystko, co znajduje się za drzwiami, zostanie zmiecione. Zaraz potem jak najszybciej opuść mieszkanie i uciekaj na dach, skąd będziesz mógł przeskoczyć na sąsiedni budynek. Nigdy nie wybiegaj na ulicę, bo najpewniej wejście do kamienicy będzie obstawione.

- Tego nauczyli cię twoi nowi znajomi? - spytałem osłupiały.

- To tylko teoria. Na razie nie oddałam ani jednego strzału. Zlecono mi zdobywanie informacji o niemieckiej armii. Przekazuje mi je Junio, dobrowolnie. Wy tłumaczyłam wszystko swoim kolegom i zrozumieli, że będziemy mieć większy pożytek z żywego Junia. Od tej pory towarzyszę księciu na kolacjach i bankietach wydawanych przez Niemców w hotelach Flora i Excelsior. Wczoraj na przykład jadłam z Erichem Priebke, który przyszedł do restauracji z aktorką Laurą Nucci.

Na samą myśl o spowitej w wieczorową suknię Montse, która uczepiona ramienia Junia stąpa po miękkich dywanach wykwintnych hoteli na ulicy Veneto, poczułem chłód i gorzką pustkę w żołądku.

- A Priebke? Nie wypytywał o mnie?

- Junio przedstawił mnie jako pannę Fâbregas.

- Czyli powróciłaś do stanu panieńskiego.

- Tylko chwilowo. To część planu. Niemcy mają myśleć, że księżę się do mnie zaleca.

- Junio to szczywany lis. Chce się naprędce zasłużyć, bo wie, co mu grozi, gdy alianci wyzwolą Rzym. Zresztą sam mi to powiedział. Ale jak przyjdzie co do czego, ani myślę kiwnąć palcem w jego sprawie.

Przemawiała przeze mnie uraza. Cóż mi pozostawało?

- Junio będzie musiał oczywiście zapłacić za popełnione zbrodnie, ale trybunał, któremu przyjdzie go sądzić, zapewne doceni jego współpracę z ruchem oporu - zauważyła Montse,

- Czyli bajka zakończy się tak: „Mordercy złagodzone karę i żyli długo i szczęśliwie”?

- Czemu jesteś taki zgorzkniały? Może powinnam zabrać cię z Rzymu i wywieźć w góry. Tam miałbyś więcej spokoju.

- Nie traktuj mnie jak gruźlika. Jestem tylko cholernym więźniem.

- Jesteś „zbiegiem”, czyli osobą uprzywilejowaną. Więźniowie siedzą w Regina Coeli, w piwnicach Villa Tasso oraz w pensjonacie Oltremare i są torturowani, zanim trafią przed pluton egzekucyjny.

- Skoro jestem uprzywilejowany, tej nocy chciałbym dostąpić przywileju w postaci twojego towarzystwa - rzuciłem z głupia frant.

- Przykro mi, ale mogę tu przebywać tylko tyle, ile to konieczne.

- Czyli ile? Minutę, godzinę, dwie, trzy? He?

- Na pewno nie całą noc. Zasada pierwsza: nie rzucać się w oczy sąsiadom. Wszędzie roi się od niemieckich szpiegów.

- Masz randkę z Juniem?

- Mam kolację z Niemcami w hotelu Excelsior. Przyjdzie generał Maltzer.

- Proszę, proszę, sam król Rzymu - wykrzyknąłem cynicznie.

Generał broni Kurt Maltzer, który zastąpił generała Stahela na stanowisku głównego dowódcy wojskowego stolicy, zamieszkał w luksusowym apartamencie hotelu Excelsior i okrzyknął się „królem Rzymu”, choć w rzeczywistości był po prostu kłótniowym i aroganckim opojem.

- Zobaczymy się za tydzień. Uważaj na siebie.

Gdy uścisnęliśmy się na pożegnanie, wyczułem w kieszeni jej płaszczka duży, twardy przedmiot.

- Co tam masz? - zapytałem.

- Pistolet, taki sam jak twój - powiedziała, jak gdyby nigdy nic. - W razie potrzeby muszę mieć się czym bronić.

- Dziś wieczorem zostaw go lepiej w domu. Nie chcę, by Niemcy znaleźli przy tobie tę zabawkę i o świcie rozstrzelali cię razem z księciem. Taka dawka romantyzmu byłaby ponad moje siły - rzuciłem, nieudolnie próbując rozładować napięcie.

- Nie martw się, jeśli kiedykolwiek stanę przed plutonem egzekucyjnym, postaram się, byś to ty mi wtedy towarzyszył.

Tamtej nocy śniło mi się, że zostałem zatrzymany przez ludzi Kocha i trafiłem do pensjonatu Jaccarino, gdzie czekał już na mnie „doktor” Koch, człowiek niewiele ponad dwudziestopięcioletni, z wyglądu dość podobny do Junia,

- A więc to ty jesteś wart milion lirów - powiedział. - Kappler bardzo, baaardzo się na tobie zawiódł. Zapewniłem go jednak, że wierzę w twą skruchę oraz dobrą wolę i że na pewno wyśpiewasz nam wszystko, co wiesz o tej organizacji, dla której pracujesz. Nie omyliłem się, prawda?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, uderzył mnie żelaznym prętem po nerkach. Zgiąłem się wpół. Wtedy z wyjątkowym okrucieństwem zaczął mnie walić po łydkach, aż nogi ugięły się pode mną.

- Wiesz, czego mi potrzeba, by skłonić cię do gadania? - ciągnął. - Muszę po prostu poznać twój próg bólu, a mam na to tyle czasu, ile tylko zechcę. Wyłącznie od ciebie zależy więc długość i intensywność tego przedstawienia. Co ty na to?

Próbowałem mówić, ale nie wiadomo dlaczego, nie mogłem. Chciałem wrzasnąć temu skurczysynowi prosto w twarz, żeby szczeł. Ale struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa, zupełnie jakbym miał zapchane gardło. Moje milczenie wyczerpało resztki cierpliwości Kocha. Rozkazał swoim zbirom przywiązać mi stopy i ręce do nóg oraz oparcia drewnianego krzesła. Następnie zaczął razić prądem moje genitalia w takt wygrywanej na pianinie muzyki Schuberta. Potem otrzymałem serię ciosów i uderzeń pięścią. Straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, jeden z oprawców rozwierał mi szczęki obcęgami, a Koch pakował mi do gardła włosy łonowe, nabierając je pęsetą z porcelanowego talerza. Robił to starannie, skrupulatnie.

Złapały mnie mdłości.

- Brzydzisz się? A nie powinieneś, bo to włosy z cipki twojej żony. Wyrwaliśmy je zębami, a potem ją przelecieliśmy, jeden po drugim. Co, nie wierzysz? Nie wierzysz, że byłbym do tego zdolny...

Koch otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie z jednej z belek stropowych zwisała Montse, martwa lub nieprzytomna. Rzeczywiście, na jej sromie, spływającym krwią, pozostały tylko nieliczne kępki włosów.

Na ten potworny widok odzyskałem głos.

Wydawszy głęboki, rozpaczliwy krzyk wściekłości i bólu, obudziłem się.

Zakaz otwierania okiennic sprawił, że straciłem poczucie czasu i rzeczywistości. A bez czasu i przestrzeni, które mogłyby powstrzymać moje myśli, dałem się zniewolić odrętwieniu i rozpacz. Niekiedy miałem wrażenie, że zapadłem w sen zimowy, że żyję w podziemnym świecie, gdzie jedyną zalecaną czynnością jest beczynność. Wszystkie drogi były zamknięte - zupełnie jak miejsce, w którym się ukrywałem.

Nie chcąc zamartwiać się tym, co dzieje się w mieście, postanowiłem nie włączać radia i poświęcić się lekturze. Książkami, o których wspomniał Junio, były dzieła zebrane Emilia Salgariego. Tak więc, chcąc nie chcąc, zaczytywałem się w samobójcy i pistoletem w jednej ręce i granatem w drugiej. Przypuszczam, że uratował mnie tylko prosty i pełen werwy styl Salgariego, zupełnie niepasujący do mojego wyobrażenia o autorze. To literackie odkrycie dostarczyło mi zajęcia na wiele dni - jakby życie i twórczość Salgariego nie należały do tej samej osoby, jakby istniał między nimi rozłam - a jednocześnie pomogło lepiej zrozumieć Montse. Niekiedy ludzie, wychodząc naprzeciw wyzwaniom swych czasów (a czasy, w których przyszło nam żyć, można było ponad wszelką wątpliwość nazwać niezwykłymi), czuli się skazani na robienie rzeczy niezwykłych, nadzwyczajnych, które nie miały nic wspólnego z codziennością. Nie znaczyło to jednak, że zmienili się na gorsze lub na zawsze zerwali z poprzednim życiem. Nie, przez jakiś czas, w zależności od sytuacji, można postępować w dany sposób, a żyć zupełnie inaczej, po czym wszystko wraca do normy. Teraz uważam, co prawda, że rozumowanie to pozbawione jest jasności, a tym samym i sensu, lecz naówczas znajdowałem się w głębokiej depresji. A może powinienem raczej powiedzieć, że byłem o krok od postradania zmysłów, niełatwo jest bowiem przetrwać dzień, żyjąc jak w nocy. Jest to uczucie dziwne i - ma się rozumieć - psychicznie szkodliwe.

Niekiedy przeplatałem rozmyślania gimnastyką, bojąc się, że bezruch przyprawi mnie o zanik mięśni. Nawet więźniowie mają dziedziniec, na którym mogą

rozprostować nogi, tymczasem ja musiałem wegetować w całkowitym zamknięciu, niby zjawa, uważając, by mnie nie usłyszano.

Gdy przeczytałem już wszystkie książki, przywróciłem do łask radio, by posłuchać czegoś innego niż głosu podświadomości.

Było południe dwudziestego piątego marca. Upływał trzeci tydzień mojego aresztu domowego. Nastawiwszy Radio Roma, usłyszałem następujący komunikat wydany poprzedniego wieczoru przez dowództwo niemieckie:

*Dwudziestego trzeciego marca 1944 roku po południu bandyci przeprowadzili atak bombowy na oddział niemieckiej policji maszerujący ulicą Rasella. W zasadzce zginęło trzydziestu dwóch funkcjonariuszy, a wielu innych zostało rannych.*

*Zbrodniczego zamachu dokonali comunisti-badogliani. Wszczęte śledztwo wykaże, w jakim stopniu za czyn ten odpowiedzialne są brytyjsko-amerykańskie siły wywiadowcze.*

*Dowództwo niemieckie postanowiło dać nauczkę obłąkanym bandytom i udowodnić, że nie można bezkarnie sabotować świeżo umocnionego sojuszu italsko-germańskiego. W związku z powyższym nakazano, by za każdego zamordowanego Niemca rozstrzelano dziesięciu comunisti-badogliani. Rozkaz został wykonany.*

Oznaczało to, że hitlerowcy stracili trzystu dwudziestu *comunisti-badogliani*, czyli partyzantów komunistycznych i monarchistycznych. Pietro Badoglio piastował urząd premiera ostatniego rządu monarchistycznego, zanim wraz z królem opuścił pod osłoną nocy Rzym, wydając miasto w ręce Niemców. Komunikat wspominał o podzieleniu ofiar na dwie grupy po sto sześćdziesiąt osób. A ponieważ Montse należała do GAP, powiązanych z podziemną partią komunistyczną, prawdopodobieństwo, że została rozstrzelana, wydało mi się niezwykle wysokie.

Pogrążony w absolutnej izolacji nie wiedziałem, że informacje rozpowszechniane przez Niemców bardzo często mijają się z prawdą. Byłem tak zrozpaczony, że już - już miałem porzucić swą kryjówkę i ruszyć na miasto, by dowiedzieć się czegoś o Montse. Uznałem jednak, że Junio powiadomiłby mnie, gdyby coś się jej przytrafiło.

Nazajutrz moja żona osobiście opowiedziała mi, że akcję na ulicy Rasella przeprowadziło tuzin członków GAP, którzy ukryli potężną bombę w skradzionym wózku zmiataacza ulic na trasie przemarszu 11. kompanii III batalionu Bozen SS, stacjonującej na Wzgórzu Viminal, w budynkach udostępnionych przez włoskie ministerstwo spraw wewnętrznych. Żołnierze codziennie przemierzali dwukrotnie *centro storico* Rzymu w drodze na ćwiczenia odbywające się w pobliżu Ponte Milvio. Gdy maszerowali zwartą kolumną, ponad sto pięćdziesiąt niemieckich gardeł wyśpiewywało, o zgrozo, piosenkę Hupf, mein madel (czyli w wolnym tłumaczeniu „Skacz, moje dziewczątko”). Wielka liczba żołnierzy, rejdach towarzyszący ich przemarszowi oraz punktualność uczyniły z 11. kompanii łatwy cel.

Wobec wielkiej liczby ofiar Niemcy nie zamierzali przejść nad zamachem do porządku dziennego, jak ponoć dotąd czynili, ale postanowili dać wrogowi przykładową naukę. Choć mogło skończyć się jeszcze gorzej...

W natłoku wiadomości związanych z wydarzeniami na ulicy Rasella tudzież ich następstwami wyczytałem, że Hitler z początku żądał uśmiercenia trzydziestu pięciu Włochów za każdego Niemca zabitego w krwawym zamachu. Jednak Kesselring obniżył proporcje do dziesięciu na jednego w obawie, że kaprys Führera wywoła powstanie. Operacja „Todeskandidaten” - „Kandydaci na śmierć” - była w całości nadzorowana i wykonana przez Kapplera. Rozkazał on stracić w trybie przyspieszonym wszystkich więźniów skazanych na śmierć oraz tych z czekających dopiero na wyrok, których najprawdopodobniej nie ominąłby najwyższy wymiar kary. Wnet okazało się jednak, że jest ich za mało, dlatego Kappler zwrócił się o pomoc do bandy Kocha oraz policyjnego *questore* i arywisty Pietra Carusa. W końcu, wspólnymi siłami udało im się skompletować listę z członków ruchu oporu, Żydów, robotników, kryminalistów, a nawet jednego księdza. Na miejsce egzekucji wybrano Jaskinie Ardeatyńskie położone między katakumbami Świętego Kałiksta a katakumbami Domitylli. Znałem dobrze co miejsce, wydobywano tam bowiem piasek do produkcji cementu. Była to olbrzymia grotła złożona z licznych korytarzy i tuneli. Jak wspominałem, liczba ofiar podana w komunikacie prasowym była tylko wygodną dla hitlerowców wersją oficjalną. Gdy po wyzwoleniu Rzymu ponownie przeszukano jaskinie (zwane dziś Mogiłami Ardeatyńskimi), odnaleziono tam trzysta trzydzieści pięć ciał. Podobno jeden z członków 11. kompanii zmarł już po zamachu, w czasie przygotowań do akcji odwetowej, i Kappler, chcąc sumiennie wypełnić rozkaz, nie zawahał się do swej listy dopisać dziesięciu nazwisk. Dodatkowe pięć osób było ofiarami błędu, bo ktoś - Koch, Caruso lub sam Kappler - po prostu pomylił się w rachunkach. A ponieważ nieszczęsna piątka wbrew własnej woli stała się świadkami masakry, postanowiono stracić i ją. Trzystu trzydziestu pięciu skazańców wprowadzano piątkami do jaskini, gdzie zabijano ich strzałem w potylicę. Taki był przynajmniej początkowy zamiar, ale podczas krwawej orgii wielu żołnierzy, którym kazano strzelać z bliska do bezbronnych cywilów, musiało napić się dla kuraju. Celność pijanych katów pozostawiała wiele do życzenia, nie więc dziwnego, że niektórym ofiarom seria z karabinu ucięła głowę. Na koniec dla zatarcia śladów Kappler rozkazał wysadzić w powietrze wejścia do jaskini. Dowódca rzymskiego gestapo nie przewidział jednak, że po kilku dniach fetor gnijących ciał rozniesie się po okolicy i mieszkańcy zaczną się burzyć i zadawać niewygodne pytania. W rezultacie Kappler urządził przed Mogiłami Ardeatyńskimi wysypisko śmieci, licząc, że smród odpadków okaże się silniejszy od trupich wyziewów.

Życie w stolicy Włoch toczyło się dalej nawet po tak potwornych wydarzeniach. W odwecie za zamach na ulicy Rasella Niemcy natychmiast zmniejszyli dzienną rację chleba do stu gramów i nasilili walkę z ruchem oporu. Montse mogłaby opowiedzieć o tym dokładniej, ale jeśli mnie pamięć nie myli, obecność zdrajcy w szeregach GAP pozbawiła organizację przywódców, a licznych jej członków zmusiła do ukrywania się przez wiele tygodni.

Również Montse schroniła się w zajmowanym przeze mnie mieszkaniu.

Weszła zmieniona na twarzy, z rozpuszczonymi włosami i trwogą w oczach. Oddychała ciężko, nierówno. Pomyślałem, że coś złego przydarzyło się jej po drodze. Nim zdążyłem zapytać, co się stało, rzuciła:

- Chcę cię przeprosić.

- Za co? - spytałem zdziwiony.

- Że nie byłam dla ciebie żoną, na jaką zasługujesz.

- Co za głupstwa pleciesz?

Montse wtuliła się w moje ramiona, po czym odpowiedziała:

- Wszystko zepsułam. Właśnie zabiłam człowieka.

Gdy objąłem ją z całej siły, by poczuła, że jestem przy niej, nadziałem się na pistolet, który trzymała u boku. Lufa była jeszcze ciepła..

- Uspokój się. Na pewno działałaś w obronie własnej - uprzedziłem jej słowa, by podnieść ją na duchu. - Wszystko się wyjaśni.

Pierwszą zainteresowaną, szukającą wyjaśnienia tego, co się stało, była sama Montse.

- To zdarzyło się tak szybko... - mówiła. - Po drodze tutaj jakiś młody faszysta zatrzymał mnie pod Palazzo Braschi. Szłam zamyślona, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Chłopak posługiwał się jakimś dialektem, chyba sycylijskim. Zignorowałam go. Ruszył za mną, nie przestając mówić, z początku uprzejmie, ale potem, widząc, że jego próby zagajenia rozmowy nie przynoszą rezultatów, rozgniewał się, zaczął wymachiwać rękami, a ton jego głosu stał się ostry. Rozkazał mi zatrzymać się i pokazać dokumenty. Sama nie wiem, czy starał się zrobić na mnie wrażenie, czy rzeczywiście wpadł w złość. Nerwy mi puściły. Wystraszyłam się, że po wylegitymowaniu mnie przystąpi do rewizji, bo byłam pewna, że z jakiegoś powodu się na mnie uwziął. Zaciśnęłam ręce na pistolecie, odwróciłam się i bez słowa strzeliłam do niego dwa razy. Huk sprawił, że otworzył szeroko oczy, a gdy zrozumiał, co się stało, i zobaczył, że wpakowałam mu dwie kule w brzuch, wykrzyknął: *La puttana mi ha sparato! La puttana mi ha ucciso*<sup>12</sup>. Wówczas rzuciłam się do ucieczki.

Było oczywiste, że Montse zastrzeliła tego nieszczęśnika ze strachu. Jednak odkąd Niemcy wprowadzili rządy terroru, strach był równie dobrym motywem zabójstwa, jak każdy inny.

- Może przeżyje. Może tylko go zraniłaś - przekonywałem.

---

<sup>12</sup> *Ta dziwka do mnie strzeliła! Ta dziwka mnie zabiła! (wł.).*

- Tak myślisz?

- Dwa strzały w brzuch nie zawsze są śmiertelne.

Nie miałem zielonego pojęcia o ranach postrzałowych, byłem jednak pewien, że gdy tylko chwilowy szok minie, Montse się załamie. Na szczęście coś mnie natchnęło, by zabrać na wygnanie dwie butelki amaro, zmusiłem więc Montse do wypicia jeden po drugim kilku kieliszków. Pół godziny później głos jej zmiękł, język zaczął się plątać i stężała maskę, w którą przemieniła się jej twarz, zaćmiło zmęczenie, a zaraz potem zapadła w sen.

Biorąc przykład z Montse, również sięgnąłem po likier, choć bynajmniej jej nie współczułem. Uznałem, że sama jest sobie winna, bo łażenie po mieście z pistoletem musi wcześniej czy później skończyć się tragedią. Refleksje takie sprawiły, że poczułem się jak zdrajca. Poza tym obawiałem się konsekwencji, jakie to nieprzyjemne zajście może pozostawić w psychice Montse, dlatego postanowiłem utopić czarne myśli w alkoholu.

Tymczasem nazajutrz Montse zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Nie kryję, że fakt ten dotkliwie mnie rozczarował, dowodził bowiem, iż zmieniła się bardziej, niż mógłbym przypuszczać. Podczas gdy ja oczekiwałem oznak skruchy czy chociażby słówka współczucia dla ofiary, Montse, miast coś powiedzieć, uniosła tylko dłoń do gardła, jakby chciała w ten sposób stłumić resztki udręki. Potem, słuchając spikera BBC, pułkownika Stevensa, który informował o nowych akcjach ruchu oporu w dzielnicy Quadraro, niedaleko ulicy Tuscolana, Montse poczerwieniała z dumy i oznajmiła:

- Moi towarzysze z ósmej strefy dokonali kolejnego zamachu. Chyba powinnam się była do nich przyłączyć. Podobno Niemcy boją się zapuszczać do Quadraro. Popełniłam błąd, kryjąc się tutaj, rzut kamieniem od Palazzo Braschi, tym bardziej że faszyci zdążyli już pewnie zdwoić czujność.

- Być może - rzuciłem zdawkowo.

W ten sposób Montse podsumowała wypadek, który, gdybym był na jej miejscu, odbiłby się na całym moim życiu. Coś mi jednak mówi, że choć nie daje tego po sobie poznać, do dzisiaj zmagają się z tym brzemieniem zalegającym w zakamarku jej sumienia. W naszych niezliczonych rozmowach o wojnie już po jej zakończeniu nigdy nie napomknęła o tamtym zdarzeniu, nawet wobec dawnych towarzyszy z GAP. Lecz pewien szczegół potwierdza me podejrzenia: od tamtej pory Montse omija plac Pasquino, gdzie padły owe feralne dwa strzały. Nie zbliżyła się nawet do placu San Pantaleo, przy którym stoi Palazzo Braschi.

Pierwszego kwietnia rozpętała się „wojna chlebowa”, której kulminacją miała miejsce kilka dni później, gdy tłum wygłodniałych kobiet i dzieci napadł w dzielnicy Ostiense na piekarnię zaopatrującą w pieczywo oddziały SS. Hitlerowcy aresztowali



dziesięć uczestniczek szturm, zaprowadzili je na Ponte di Ferro, ustawili twarzą do rzeki i rozstrzelali.

Choć do ostatecznego wyzwolenia miasta brakowało jeszcze dwóch miesięcy, nie zachowałem wyraźnego (a przynajmniej emocjonalnego) wspomnienia tamtych wydarzeń. Natomiast wciąż stoją mi przed oczami potworności, jakich dopuścili się Niemcy przed opuszczeniem miasta. Może zapamiętałem je z powodu ich bezcelowości wobec ostatecznego przerwania linii Gustawa przez *goumiers* francuskiego marszałka Juina. Był to początek końca. Owego dnia w pył zamieniła się legenda nazywająca marszałka Kesselringa niezwyciężonym. Tamtej nocy, na stromych szczytach prowincji Frosinone, poczęło rozwiewać się dla Niemców rzymskie marzenie. Jeszcze dzisiaj wiele osób zastanawia się, dlaczego wycofujący się hitlerowcy nie wysadzili Rzymu w powietrze, jak uczynili wcześniej z Neapolem. Niektórzy twierdzą, że zrobili to dla dobra ludzkości. Jednak moim zdaniem wysadzenie miasta byłoby równoznaczne z zabiciem marzenia (możliwości) o ponownym zdobyciu Rzymu z całym jego bogactwem.

Gdy po tak długim czasie mogłem nareszcie otworzyć na oścież okna, światło zakłuło mnie boleśniej w oczy.

W skrzynce pocztowej znaleźliśmy wiadomość od księcia Cimy Vivariniego:

Uciekam z barbarzyńcami na północ. Żegnajcie. Junio.

Jakże ciekawe jest działanie ludzkiego umysłu. Kiedy po trzymiesięcznym areszcie domowym pierwszy raz wypuściłem się na ulice wyzwolonego miasta, zauważyłem tylko jedną zmianę - zniknięcie kotów do niedawna szwendających się watahami po Rzymie. Ani jednego kota, ani jednego księcia, pomyślałem.

## 12

Z czasem otworzyłem własne studio architektoniczne i zaprojektowałem dziesiątki domów, które wyrosły na gruzach pozostawionych przez alianckie bomby. W uznaniu moich zasług z okresu okupacji rząd przyznał mi włoskie obywatelstwo. Zgodnie z zapowiedzią Junia nakaz aresztowania podpisany przez Kapplera otworzył mi wiele drzwi. Moje odręczne szkice niemieckich linii obronnych znalezione wśród dokumentacji zarekwirowanej w kwaterze głównej gestapo na ulicy Tasso mają zostać pokazane wraz z innymi „pamiątkami” z wojny na wystawie czasowej, poświęconej „podziemnym metodom walki”.

Przypadek Montse okazał się jeszcze ciekawszy. Jej nazwisko pojawiło się w prasie obok pseudonimu konspiracyjnego „Liberty”. Siedem lat później u fryzjera i w

osiedlowym sklepiku jest nadal traktowana jak bohaterka. Tuż po wojnie wstąpiła do Włoskiej Partii Komunistycznej, otrzymała, podobnie jak ja, tutejsze obywatelstwo i całym sercem poświęciła się pracy bibliotekarskiej.

Osiemnastego września 1944 roku miał stanąć przed sądem były questore Pietro Caruso, oskarżony o przekazanie Kapplerowi pięćdziesięciu więźniów z zakładu karnego Regina Coeli w celu dopełnienia listy ofiar z Mogił Ardeatyńskich. Rozsierdzony tłum, spragniony zemsty, wtargnął tuż przed rozprawą na salę sądową, a nie znalazłszy tam Carusa, skierował swój gniew na Doñata Carretę - dozorcę więziennego oraz głównego świadka oskarżenia - i zlinczował go. W rozprawie, która odbyła się dwa dni później, Caruso został skazany na rozstrzelanie. Wyrok wykonano nazajutrz w forcie Bravetta.

Dwudziestego kwietnia 1945 roku Mussolini odwołał swój marionetkowy rząd i próbował zbiec do Szwajcarii. Tydzień później został zatrzymany w Masso przez ruch oporu, a następnego dnia rozstrzelany w Giulino di Mezzegra. Po kilku godzinach zwłoki dyktatora oraz jego kochanki Clarety Petacci zawisły głową w dół na stacji benzynowej mediolańskiego placu Loreto, wydane na pastwę ludu.

Do tego czasu Hitler zdążył już podjąć w berlińskim bunkrze decyzję o samobójstwie i nakazać spalenie swych zwłok. Na widok zdjęć sojusznika wiszącego niczym tusza w rzeźni przeraził się, że podzieli jego los.

W czasie gdy Führer popełniał samobójstwo, porucznik William Horn wchodził w Norymberdze do pancernego pomieszczenia, gdzie hitlerowcy przechowywali skarb Habsburgów, i w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki konfiskował Włócznię Longinusa.

Czwartego czerwca 1945 roku, w pierwszą rocznicę wyzwolenia Rzymu, przed sądem stanął Pietro Koch oskarżony o tortury i zbrodnie przeciwko narodowi włoskiemu. Został uznany winnym i skazany na rozstrzelanie. Z różańcem przesłanym mu przez Piusa XII na głowie - nie chciał wziąć go do rąk splamionych krwią - prosił przed śmiercią Boga o wybaczenie za zadanie swym ofiarom tyłu cierpień:

- Ojczyzna mnie przeklina i ma rację. Wymiar sprawiedliwości posyła mnie na śmierć i również ma rację. Papież mi przebacza i postępuje jeszcze słuszniej. Gdybym pozostał wierny jego nauce, która jest dobrocią, wy, drodzy państwo, nie tracilibyście teraz czasu, a i ja me stałbym tu w oczekiwaniu na śmierć - powiedział kilka chwil przed egzekucją.

W listopadzie 1946 roku odbyła się w Rzymie rozprawa przeciwko generałom Eberhardowi von Mackensenowi i Kurtowi Mältzerowi, choć nie przed trybunałem włoskim, lecz brytyjskim, podsądni byli bowiem jeńcami wojennymi podlegającymi prawu międzynarodowemu. Obaj zostali skazani na rozstrzelanie, jednak wyrok nie został wykonany.

Kolejną osobą, która zasiadła na ławie oskarżonych, był Kesselring, skazany, podobnie jak jego poprzednicy, na śmierć. Po jakimś czasie wyrok został zamieniony na karę więzienia i były marszałek polny wyszedł niedawno na wolność, co spowodowało liczne protesty i manifestacje.

W maju 1948 roku przez włoskim sądem stanął Herbert Kappler. Został uznany winnym mordów w Jaskiniach Ardeatyńskich i skazany na *ergastolo* - najwyższą karę przewidzianą w nowej konstytucji Włoch. Obecnie odsiadyuje wyrok w więzieniu w Gaeta.

Natomiast Eugen Dollmann wyznał po swym aresztowaniu, że podczas wojny pracował dla amerykańskiego OSS. W roku 1949 opublikował w mediolańskim wydawnictwie Longanesi książkę *Rzym nazistowski*. Jeszcze jej nie przeczytałem. Zresztą, czegoż nowego mogę się dowiedzieć od Dollmanna?

Z wolna goiły się rany pozostawione przez wojnę. Miasto odzyskiwało hałaśliwą witalność, a rzymianie zaczęli otrząsać się z żałoby i spoglądać w przyszłość. Powrócono do dawnego pomysłu EUR, którego jestem teraz aktywnym realizatorem.

W marcu 1950 roku Montse pojechała do Como na kongres bibliotekarski. Jak można się było spodziewać, program przewidywał zwiedzanie Triangolo Lariano, w którego skład wchodziły oprócz Como sąsiednie miejscowości Lecco i Bellagio. Przespacerowawszy się po stromym borgo małego Bellagio, grupka bibliotekarek wstąpiła na przekąskę do ogródka hotelu Serbellom Tam Montse spotkała Junia. Siedział przy stoliku z widokiem na jeziora.

Po powrocie do Rzymu opowiedziała mi, że bardzo się zmienił. Miał elegancki garnitur w walijską kratę, przerzedzone włosy na czubku głowy i przytył kilka kilogramów. Był teraz panem Warburgiem - podobno tak brzmiało panieńskie nazwisko jego matki. Powiedział, że mieszka w szwajcarskim Lugano i zajmuje się handlem nieruchomościami. Zapewnił, że często mnie wspomina, brakuje bowiem architektów do podnoszenia z ruin miast Niemiec oraz innych państw europejskich i że może dane nam będzie kiedyś razem pracować. Choć Junio udawał wcielenie dobrobytu - ponoć obdzielał wszystkich triumfalnym uśmiechem - podczas rozmowy ni stąd, ni zowąd rzucił dość osobliwą uwagę: „Mimo wszystko moje życie wisi na włosku”. A gdy Montse zapytała, co ma na myśli, odparł: „Gdybym ci powiedział, wystawiłbym i ciebie na niebezpieczeństwo. Choć niewykluczone, że w przyszłości, gdy umrę, będziecie mi potrzebni. Zajmiesz wtedy moje miejsce. Tylko ty pozostałaś”. Dzień był słoneczny, temperatura wymarzona jak na ową porę roku, a piękno krajobrazu niezrównane, Montse uznała więc, że Junio żartuje, próbując przywołać stare czasy. Przecież książkę mógł spać spokojnie, skoro nawet ze strony włoskiego wymiaru sprawiedliwości nic mu nie groziło. Dzięki swym kontaktom wywinął się od wszelkiej odpowiedzialności (dziwnym zrządzeniem losu nie zdołano odtworzyć jego faszystowskiej kariery, a tym bardziej udowodnić mu udziału w jakiegokolwiek zbrodni), choć musiał opuścić terytorium Włoch. Mógł więc, wydawałoby się, wieść beztroski żywot. „To, o czym mówisz, Junio, już minęło”, tłumaczyła mu Montse.

„Maximilian. Mów mi Maximilian. Jesteś w błędzie, sądząc, że sprawy mają się teraz tak jak przed wojną. A właściwie masz rację, dzieje się dokładnie to samo. Nic się nie zmieniło. Wróciliśmy do czasów sprzed ataku na Polskę i zmierzamy do nowej katastrofy”, odparł Junio. Montse uznała, że plecie trzy po trzy, ale nie miała czasu na dyskusje. Musiała się pożegnać, bo czekało ją jeszcze zwiedzanie ogrodu azalii i różaneczników w pobliskiej willi Melzi D’Eril. Junio, cmoknąwszy Montse w oba policzki, szepnął jej na ucho: „Jeśli coś mi się stanie, otrzymasz prawdopodobnie pewne dokumenty. Przeczytaj je, proszę, a potem postępuj zgodnie ze swym sumieniem”.

Nie ulega wątpliwości, że była to bardzo dziwna rozmowa. Zacząłem nawet podejrzewać, że Junio postradał zmysły i nie odnalazł się w powojennym świecie, tak jak wielu nastolatków nie potrafi zaakceptować faktu, że dorosło. Współczułem mu na myśl, że przemienił się w mieszczaucha, był to bowiem ewidentny znak, iż jego świat przestał istnieć. Europa wielkich rodów stała się Europą wielkich firm i aby trafić do nowej elity, należało rozpiąć kołnierzyk i zakasać rękawy. Wojna zniszczyła nie tylko miasta, miasteczka, wsie i pola uprawne, lecz również pewną formę życia. Na nowej scenie dziejów Junio nie był już dzieckiem swych czasów.

## Część trzecia

### 1

*Drogi José Maria:*

*Gdy dostaniesz ten list, nie będzie mnie już wśród żywych. Wybacz, jeśli moje słowa wydadzą ci się nazbyt prozaiczne i bezbarwne, lecz zostało mi niewiele czasu, a winien ci jestem wiele wyjaśnień. Ghyba najlepiej zrobię, przechodząc od razu do rzeczy.*

*Wszystko zaczęło się w roku 1922, kiedy hrabia Richard Coudenhove-Kalergi podczas kongresu, w którym uczestniczyło dwa tysiące delegatów (mniej więcej, dokładna liczba nie ma teraz znaczenia), postanowił utworzyć Unię Paneuropejską. Austriacki arystokrata zaproponował rozwiązanie wszystkich państw Europy Zachodniej i przestrzegł obecnych przez zagrożeniem bolszewickim. Koszty powstania Unii Paneuropejskiej pokryła wenecko-germańska rodzina Warburg, do której należała moja matka. Max Warburg, spadkobierca niemieckiej gałęzi rodu, przekazał Coudenhove-Kalergiemu sześćdziesiąt tysięcy marek w złocie na wcielenie projektu w życie. Intelktualnymi patronami ruchu byli: Immanuel Kant, Napoleon Bonaparte, Giuseppe Mazzini i Fryderyk Nietzsche. Jednak paneuropeizm Coudenhove-Kalergiego sprowadzał się po prostu do zdominowania świata finansów, a tym samym polityki.*

*Wielki kryzys 1929 roku, dojście do władzy Mussoliniego, a potem Hitlera, przemieniły ruch w uniwersalny projekt faszystowski zmierzający do stworzenia europejskiego państwa feudalnego.*

*Mój ojciec bardzo szybko przeciwstawił się tej wizji, choć musiał przy tym zachować wielką ostrożność. Powiedzmy, że skontaktował się z wpływowymi osobami z Anglii i Francji, które po objęciu władzy przez Mussoliniego i Hitlera wystąpiły przeciwko paneuropeizmowi. Oczywiście krytykowanie ruchu paneuropejskiego po wielkim kryzysie było równoznaczne z krytykowaniem faszyzmu oraz narodowego socjalizmu. W ten sposób ojciec stał się członkiem tajnej organizacji o nazwie „Smith”. Byłem wtedy wyrostkiem i kilka lat zajęło mi zrozumienie, co się wokół mnie dzieje, ponieważ moja matka, prawdziwa Warburg, dała się omamić syrenim śpiewom nazizmu. Według niej Wielkie Niemcy miały stać się sercem nowej Europy, której potęga i determinacja uratowałyby resztę kontynentu przed naporem bolszewickich hord. Mój ojciec z kolei uważał, że dla dobra Europy nie należy pozwolić Niemcom dojść do siebie po pierwszej wojnie światowej.*

Wkrótce salony naszego rodzinnego palazzo zaroily się od członków partii nazistowskiej, których moja matka rozpieszczała, a ojciec podpytywał i szpiegował. Wśród naszych gości nie brakowało takich osobistości jak Alfred Rosenberg, Karl Haushoffer, Rudolf Hess, Eckart Dietrich czy Rudolf von Sebottendorff (który w rzeczywistości nazywał się Adam Glauer). Ten ostatni opowiadał zawsze o Kairze, gdzie spędził wiele lat i zapoznał się z islamskim mistycyzmem i naukami derwiszów Mawlewi. Był nawet członkiem loży rytu Memphis i tam właśnie po raz pierwszy usłyszał o Mapie Stworzyciela. Przesiąknięty tymi ezoterycznymi teoriami założył w sierpniu 1918 roku Stowarzyszenie Thüle.

Mój ojciec posiadał majątek ziemski oddalony o siedemdziesiąt kilometrów od Wenecji i upstrzony jeziorami. Było to wymarzone miejsce do polowania na kaczki. Jeździłem tam często z ojcem i zapewniam cię, że myśl o tym zakątku wywołuje w mojej pamięci najszcześniejsze chwile dzieciństwa: szelest trzciny ocierających się o łódkę, pospieszny trzepot skrzydeł spłoszonego ptactwa, oślepiające i hipnotyzujące tęczowe refleksy na wodzie, zapach wiosny, łagodną ospałość lata, pobzykiwanie gzów... Spotykaliśmy się tam z innymi myśliwymi, przyjaciółmi mego ojca, którzy, jak się okazało, również należeli do tajnej organizacji „Smith”. W ten właśnie niewinny sposób poznałem owych ludzi i dowiedziałem się o Sebottendorffie i jego mapie.

W tym miejscu pragnę wyjaśnić, w obronie mego ojca i własnej, że praca była zawsze źle postrzegana przez naszą klasę społeczną jako element zdominowany przez karierowiczów pozbawionych skrupułów. W zamian za przywilej pozornego nieróbstwa zwykliśmy prowadzić działalność społeczną usprawiedliwiającą naszą pozycję. Dlatego filantropia jest rzeczywistą profesją naszej klasy. Niektórzy jej członkowie kolekcjonują dzieła sztuki, które z czasem przekazują społeczeństwu, inni finansują budowę uniwersytetów i sanatoriów. Natomiast mój ojciec wybrał szpiegostwo jako formę wywiązania się ze społecznych zobowiązań. A ponieważ jesteś zapewne świadomy wagi tradycji w rodzinach takich jak moja, domyślasz się, że, chcąc nie chcąc, musiałem przejąć pałeczkę po ojcu i kontynuować jego dzieło. W związku z moim pochodzeniem, kontaktami i znajomością kilku języków niewybaczalnym marnotrawstwem byłoby, gdyby taki „talent” nie został zaprzężony do działalności wywiadowczej. Ale mój list zaczyna trącić cynizmem, a przecież mam ci jeszcze wiele do powiedzenia.

Po zajęciu w organizacji miejsca ojca niewiele trudu kosztowało mnie udanie najbardziej zagorzałego faszysty i wielbiciela Hitlera. Dzięki dobrym stosunkom mojej matki z głównymi przywódcami nazistowskimi, dane mi było poznać samego Heinricha Himmlera. Był on jednak osobą wielce skrytą, otwierał się tylko przed najbliższymi współpracownikami - tuzinem oficerów SS mieszkających wraz z nim na zamku Wewelsburg. Słabym punktem Reichsführera były niewątpliwie jego ezoteryczne przekonania, które, mówiąc szczerze, zakrawały w moich oczach na absurd. I właśnie dzięki swej absurdalności dawały nieograniczone pole działania osobom skłonnyim je wykorzystać. W końcu czymże jest zabobon, jeśli nie częścią

wiary? Tak, Himmler był w pewnym sensie osobą wierzącą, czekającą na cud. My po prostu ziściliśmy jego marzenie o cudzie w zamian za możliwość dotarcia do samego serca Trzeciej Rzeszy.

Jak już mówiłem, poznałem dzięki ojcu legendę o Mapie Stworzyciela, więc wysiłki naszej organizacji skoncentrowały się na odnalezieniu owego dokumentu, który, ma się rozumieć, miałem sprezentować Himmlerowi, by wkupić się w ten sposób w jego łaski.

Realizacja równie ambitnego planu była isticie koronkową, że się tak wyrażę, robotą ze względu na wielką liczbę uczestniczących w nim osób obeznanych w tematach tak niecodziennych jak paleografia, bibliotekoznawstwo, restauracja dziedzictwa kulturalnego tudzież falsyfikacja. Z tego powodu skontaktowaliśmy się z brytyjskim MI5 i jego Occult Bureau, które powołano do życia, by śledzić „okultystyczny” trop nazistów. Techniczno-ezoterycznym doradcą owej komórki był Aleister Crowley, osoba trudna do zdefiniowania. Dość powiedzieć, że matka Crowleya nazywała go „bestią” z racji jego podobieństwa do apokaliptycznych potworów. W życiu nie spotkałem człowieka równie przebiegłego i lekceważącego bliźnich. Mimo wszystko jego rady nie na wiele się zdały. Crowley namówił władze brytyjskie do zastosowania symbolu zwycięstwa - rozpowszechnionego później przez Churchilla - będącego ponoć magicznym znakiem starożytnych Egipcjan oznaczającym zniszczenie. W celu podkopania morale wroga kazał rozrzucić nad terytorium Niemiec ulotki z nieprawdziwymi informacjami okultystycznymi oraz wydrukować czterowersze Nostradamusa wieszczące klęskę Niemiec.

Wiele się natrudziliśmy, nim na światowym rynku książek używanych znaleźliśmy dzieło Pierusa Valerianusa Hieroglify, czyli komentarz do świętych znaków Egipcjan tudzież innych plemion. Książkę wysłaliśmy do Anglii, gdzie wytrawny falszerz umieścił w niej krótki dopisek na temat Mapy Stworzyciela. Oczywiście musieliśmy również spreparować „prawdziwą” mapę odpowiadającą opisowi Pierusa Valerianusa. To zadanie, zresztą podobnie jak poprzednie, wymagało udziału licznych specjalistów, od geomantów po znawców pisma klinowego. Następny krok polegał na dorobieniu mapie wiarygodnego rodowodu. No, sam wiesz: Persja, Egipt, Germanik, piramida Cestiusza, John Keats... Na koniec musieliśmy się jeszcze rozejrzeć za właściwym miejscem „zdeponowania” naszego znaleziska, aby ani Sebottendorff, ani Himmler nie wątpili o jego autentyczności. Wybór padł oczywiście na Bibliotekę Watykańską.

Jako obywatel Suwerennego Rycerskiego Zakonu z Malty odbyłem studia paleograficzne w Szkole Watykańskiej, gdzie, jak wiesz, poznałem ojca Giordana Sansovina. Wspomniałem ci kiedyś, że Sansovino był członkiem Świętego Przymierza, czyli tajnych służb papieskich, jednak rozczarowany ustępliwością Piusa XII wobec nazistów przyłączył się do nas i pomógł nam umieścić Mapę Stworzyciela w Bibliotece Watykańskiej. Potem musieliśmy już tylko czekać na właściwy moment, by podsunąć mapę Himmlerowi.

Obawiam się, że znów przyjdzie mi zrobić skok w czasie. W roku 1934 oczy całego świata zwrócone były na Hiszpanię, której rząd zdawał się tracić kontrolę nad sytuacją. Narastająca z każdym dniem groźba konfliktu zbrojnego zmusiła nas do skoncentrowania uwagi na twojej ojczyźnie. Jak napisano: Hiszpania stanowiła problem, Europa - jego rozwiązanie.

W wyniku zaistniałej sytuacji na początku tego właśnie roku udałem się do Barcelony, gdzie czekała na mnie osoba zwerbowana przez organizację - Jaime Fábregas. Jak się zapewne domyślasz, poprzez Jaime poznałem jego bratanicę Montserrat, urodziwą pannę, która wtedy świeżo ukończyła siedemnaście lat, a której idealizm polegał na trzymaniu strony ukochanego stryja w rodzinnym sporze rozstrzygającym się właśnie w sądach. Wierz mi, do dzisiaj oblewam się rumieńcem, wyznając, że zakochałem się w Montse od pierwszego wejrzenia, zresztą z wzajemnością. To, co wydarzyło się w miesiącach, które spędziłem w Barcelonie, nie ma teraz znaczenia. Powiem tylko, że dzięki naszemu związkowi Montse przemieniła się w kobietę dorosłą, poważną i odpowiedzialną, oraz zrozumiała, jak odróżniać dobro od zła. Jedyne, z czego mogę być dumny, to że nauczyłem ją cenić zobowiązanie - niepodważalną wartość stojącą ponad uczuciami i życiem osobistym. Chcę przez to powiedzieć, że Montse zrozumiała, iż dojrzały związek opiera się na trwałości przekonań oraz dochowaniu wierności obowiązkom i że zdrada tych zasad byłaby równoznaczna z pogrzebaniem na zawsze miłości. Dlatego nasz związek utknął w martwym punkcie - najpierw z powodu dzielących nas kilometrów, potem z winy spoczywających na nas zobowiązań politycznych.

Ale przenieśmy się teraz do stolicy Włoch, tym razem do zimy 1937 roku. Los zrządził, że państwo Fábregas musieli opuścić Barcelonę i schronić się w Hiszpańskiej Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie. Fakt, że Montse zajęła się tamtejszą biblioteką, był znakomitą okazją do ostatecznej realizacji planu „Mapa Stworzyciela”. Posiadaliśmy już mapę, książkę oraz bibliotekarkę, mającą natknąć się na cenny wolumin w zbiorach starej instytucji, którą wojna domowa w Hiszpanii doprowadziła do bankructwa. By wcielić w życie pierwszą część planu, wystarczyło znaleźć księgarza chętnego do współpracy. I tym razem szczęście nam dopisało.

Pierus Valerianus opuścił bibliotekę akademii i za pośrednictwem pana Tasso trafił do mnie, a zaraz potem książka wraz z informacją o Mapie Stworzyciela została przekazana Himmlerowi.

Przed wykonaniem następnego kroku konieczne było opracowanie bezpiecznego systemu komunikacji między poszczególnymi członkami organizacji. Zdobyte przeze mnie informacje musiały docierać do „Smitha” bez budzenia podejrzeń. Wtedy właśnie pomyśleliśmy o tobie. Wiem, że wiadomość ta wywoła w tobie wściekłość i osłupienie oraz dotknie cię do żywego, ale wierz mi i ukryliśmy przed tobą prawdę w trosce o wspólne bezpieczeństwo. Rzec by można, że organizacja taka jak nasza powinna przypominać okręt podwodny, którego



poszczególne sektory są szczelne, aby w razie zalania jednego z nich okręt nie poszedł na dno. Powiem jasno: nie wiedząc, że należę do „Smitha”, nie mogłeś mnie wydać. Poza tym dla dobra sprawy musiałeś wierzyć w istnienie mapy, słyszeć o niej, a nawet być obecny przy dyskusji na temat jej autentyczności. Tylko w ten sposób, gdybyś został zatrzymany przez Niemców i poddany torturom, twoje zeznania byłyby wiarygodne.

Mimo zachowania wszelkich środków ostrożności doznaliśmy znacznych strat. Zginęli między innymi Smith, ojciec Sansovino oraz jeden ze scriptores Biblioteki Watykańskiej, który sprzedał mi rzekomo Mapę Stworzyciela i którego rozkazałem zabić - niech mi Bóg przebaczy. Gabor wziął na siebie mokrą robotę. Chodziło o tak zwaną śmierć konieczną, choć eufemizm ten jest ze wszech miar odrażający. W każdym razie powinieneś wiedzieć, że od samego początku scriptor był świadomy swego losu. Napomknąłem ci chyba kiedyś o tajnych organizacjach działających w łonie Kościoła, ale poza jego nawiasem. Ojciec Sansovino otrzymał zadanie zjednoczenia ich i wyznaczenia im wspólnego zadania. W ten sposób na scenę wkroczyli asasyni oraz Stowarzyszenie Octogonus, których udział miał dla sprawy decydujące znaczenie. Byli to waleczni żołnierze i prawdziwi męczennicy kierujący się w swych działaniach niezachwianą wiarą. Zapewniam cię, że niejednokrotnie właśnie wiara jest najlepszym sprzymierzeńcem organizacji takiej jak nasza.

Idźmy jednak dalej. Mapa Stworzyciela była ewidentną fałszówką, musieliśmy się więc zastanowić, jak przekazawszy ją Niemcom, uniemożliwić jej rozłożenie, tłumacząc to groźbą jej nieodwracalnego zniszczenia. Wpadliśmy na pomysł, by poddać mapę procesowi chemicznemu, w którego wyniku jej zawartość zatarłaby się w kontakcie z powietrzem, oraz zakazić teczkę bakteriami wąglika.

Dzięki temu mogliśmy dokonać zamachu na życie Hitlera lub Himmlera, kiedy tylko znaleźliby się w zasięgu działania bakcyła. Jednak gdy stanąłem pośród nazistowskich prominentów w carrozza Führera, obleciał mnie strach i nie rozłożyłem mapy. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tego nie zrobiłem, tkwi być może w fakcie, że nie umiałem oszacować konsekwencji takiego czynu. Myślałem o własnym życiu, nie o istnieniach, które mógłbym w ten sposób ocalić. Wspomniałem już o odwadze agentów tajnych organizacji watykańskich. Ci nie zawahaliby się poświęcić życie, byle uwolnić świat od Hitlera. Himmlera czy innej nazistowskiej gadziny. Tak, Jose Maria, stchórzyłem. Dlatego do dzisiaj nie daje mi spokoju myśl że mogłem zmienić bieg Historii. Niestety, nie miałem wtedy przy sobie Nicolasa Estorziego czy któregośkolwiek innego z asasynów. Pamiętasz, mówiłem ci kiedyś o Estorzim, szpiegu znanym Niemcom jako „Posłaniec”? Poznałem go jeszcze w Wenecji. Dzięki jego udziałowi w operacji „Taras Borodajkewycz” nasza organizacja wzbogaciła się o sztabki złota warte trzy miliony marek, którymi hitlerowcy chcieli po śmierci Piusa XI wpłynąć na wybór nowego papieża. Pieniądze te umożliwiły nam zakup wielu nieruchomości (między innymi znanego ci mieszkania pod numerem dwadzieścia trzy na ulicy Coronari) oraz współpracę z Delegazione Assistenza Emigranti Ebrei - organizacją ratującą Żydów, którym

udało się zbiec z terenów okupowanych. Wcześniej robiliśmy to na własny rachunek. Zapewne pamiętasz pierwsze zlecone ci przeze mnie zadanie. Substancja, którą dostarczałeś z apteki don Orestego do mieszkania na ulicy Coronari, to morfina, a jej odbiorcą był leciwy hamburski rabin poważnie chory na żołądek. Nie, nikt nie mógł dorównać Estorziem zuchwałością i odwagą. Zastanawiam się, jaki los przypadł mu w udziale. Obawiam się jednak, że mam ci jeszcze dużo do powiedzenia, a pozostało mi mało czasu.

W miarę jak szala zwycięstwa przechylała się na stronę aliantów, należało dostosować operację „Mapa Stworzyciela” do nowej sytuacji na froncie. Nie chodziło już tylko o zgłębienie wojennej strategii hitlerowców, ale o poznanie ich planów na przyszłość. A osobą odpowiedzialną za przyszłość Trzeciej Rzeszy był - jakżeby inaczej - Heinrich Himmler.

Po klęsce Niemiec na froncie wschodnim doszło do decydującego zwrotu w wojnie i Reichstührer zmuszony był powołać do życia tajną organizację, ażeby zapewnić schronienie nazistowskiemu przywódcom i ratować majątek Rzeszy. W tym celu wyznaczono trasy ewakuacyjne i założono liczne spółki handlowe w krajach takich, jak Hiszpania (gdzie działał już koncern Sotindus), Argentyna (powstało tam trzysta - czterysta przedsiębiorstw), Chile i Paragwaj. W 1944 roku Himmler wysłał do Madrytu tajnych agentów z zadaniem przygotowania szlaku ewakuacyjnego. Pierwsza taka trasa prowadziła z Berlina do Barcelony dzięki stałemu połączeniu lotniczemu obsługiwanej przez Lufthansę. Rok później, w marcu 1945, agent zagranicznych służb wywiadowczych SS, niejaki Carlos Fuldner (urodzony w Argentynie syn niemieckich imigrantów) wylądował w Madrycie na pokładzie samolotu przewożącego cenne obrazy i gotówkę. Pod przykrywką handlu dziełami sztuki miał nadzorować pracę organizacji ułatwiającej wjazd hitlerowskich prominentów do Hiszpanii.

Gdy klęska Trzeciej Rzeszy stała się faktem, alianci przystąpili do operacji „Safehaven” (Bezpieczny Port). Jej celem było zagwarantowanie, że hitlerowski majątek zostanie wykorzystany do odbudowy Europy i spłaty odszkodowań wojennych, przywrócenia prawowitym właścicielom zagarniętych dóbr oraz uniemożliwienia zbrodniarzom wojennym ucieczki do państw neutralnych. Chciano w ten sposób uniknąć zgromadzenia przez nazistów za granicą środków umożliwiających stworzenie Czwartej Rzeszy. W pierwszych miesiącach po wojnie operacja „Safehaven” przyniosła pewne rezultaty, jednak już pod koniec 1946 roku, dzięki złagodzeniu kontroli celnej, wielu zbrodniarzy wojennych, korzystających z fałszywej tożsamości, opuściło swe kryjówki i ruszyło szukać bezpiecznego schronienia w Ameryce Południowej. W ten sposób powstał „Ratline” - trasa łącząca Niemcy z Ameryką Południową, z przystankiem we Włoszech, szlak „B-B” prowadzący z niemieckiego miasta Bremen do włoskiego portu Bari, „korytarz watykański” stworzony przez Stolicę Apostolską i nadzorowany przez ojca Krunoslava Draganovica (wiadomo, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu...) czy też „północny szlak ewakuacyjny” z Kopenhagi do Bilbao lub San Sebastian.

W 1947 roku rząd Juana Perona wraz z argentyńskim biurem emigracyjnym w Europie obmyślił plan przerzutu do Argentyny hitlerowskich naukowców i inteligentów, by wykorzystać ich wiedzę do rozwoju kraju. Operację powierzono szpiegowi Reinhardowi Koopsowi oraz austriackiemu biskupowi Aloisowi Hudelowi - proboszczowi kościoła Santa Maria dell'Anima i duchowemu opiekunowi kolonii niemieckiej w Rzymie. Koopsowi pomagał konsul Argentyny w Genui, Hudelowi - liczne stowarzyszenia katolickie (jednym z głównych rzymskich ośrodków przerzutu hitlerowców był klasztor Franciszkanów na ulicy Sicilia). Zezwolenia zainteresowanym wydawało biuro migracyjne w Buenos Aires, a paszporty - Międzynarodowy Czerwony Krzyż (wspierający „dokumentalnie” uchodźców, którzy podczas wojny utracili dowody tożsamości). Z tej trasy ewakuacyjnej skorzystał na przykład Klaus Barbie, „Kat Lyonu”, który wsiadł w Genui na statek do Buenos Aires, a następnie kontynuował stamtąd bezpiecznie podróż do Boliwii. Odkryłem również, że Martinowi Bormannowi, wszechmocnemu sekretarzowi osobistemu Hitlera, skazanemu zaocznie na śmierć przez Trybunał Norymberski, udało się dostać do Hiszpanii dzięki fałszywym dokumentom otrzymanym z Watykanu. Następnie hiszpański szpieg z gestapo, Alcázar de Velasco, wywiózł go na pokładzie okrętu podwodnego do Argentyny. W jego ślady poszedł Josef Mengele, „Anioł Śmierci” z obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau - przepracowawszy trzy lata na bawarskiej farmie jako weterynarz, przekroczył granicę austriacko-włoską, dotarł do Bolzano, gdzie Watykan wyposażył go w fałszywe dokumenty, i po odwiedzeniu Hiszpanii wsiadł na statek do Ameryki Południowej. Nie mniej szczęścia miał Adolf Eichmann, jeden z pomysłodawców „ostatecznego rozwiązania” wymierzonego przeciwko narodowi żydowskiemu, który poddał się operacji plastycznej i od 1950 roku mieszka w Argentynie pod fałszywym nazwiskiem jako Ricardo Klement. Jednak nie koniec na tym. Erich Priebke, współodpowiedzialny za mord w Jaskiniach Ardeatyńskich, uciekł z obozu jenieckiego w Rimini i schronił się w argentyńskim mieście Bariloche. W wyjeździe pomogło mu pewne rzymskie stowarzyszenie katolickie, za którego wstawiennictwem władze Argentyny wpuściły go do kraju na paszport wystawiony przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Priebke wraz z rodziną wsiadł w porcie genueńskim na transatlantyk San Giorgio. Pracował przez pewien czas jako kelner i aktualnie prowadzi w Argentynie własny sklep z kielbaskami. Reinhard Spitz, współpracownik ministra spraw zagranicznych Ribbentropa, mieszka tam już od 1948 roku. Zresztą w tym samym roku do Argentyny dotarł również generał SS Ludolf von Avenleben. Wierz mi, dziesiątki tysięcy hitlerowców wymknęło się sprawiedliwości dzięki „korytarzowi watykańskiemu” tudzież podobnym trasom ewakuacyjnym. Ale to jeszcze nie wszystko.

Po wojnie alianci stanęli wobec dwóch dojmujących problemów. Pierwszy dotyczył ścigania zbrodniarzy hitlerowskich. Drugi miał związek z europejskim apogeum komunizmu, oznaczającym - przynajmniej według rządu Stanów Zjednoczonych - zagrożenie równie poważne, jak do niedawna Trzecia Rzesza. W związku z tym oddział X2 amerykańskiego OSS (przekształconego w 1947 roku w CIA) otrzymał zlecenie odszukania hitlerowskich agentów rozproszonych po

świecie. Agentów tych, którzy po wojnie pozostali na terytorium wroga i byli dlatego nazywani stay-behind, bynajmniej nie zamierzano aresztować ani stawiać przed plutonem egzekucyjnym. Postanowiono posłużyć się ich doświadczeniem w razie nowej wojny, tym razem z komunizmem. Pierwszy z okazji skorzystał książę Junio Valerio Borghese - dowódca Decima MAS, szwadronów śmierci Mussoliniego. Bez wahania wyjawiał nazwiska swych agentów, ratując im w ten sposób życie. Jego śladem poszedł René Bourguet, główny komisarz francuskiej policji współpracującej z nazistami, który również ujawnił tożsamość francuskich stay-behind. Po kapitulacji Niemiec „odzyskano” także dla czynnej służby generała Reinharda Gehlena, dowódcę niemieckich służb wywiadowczych na froncie wschodnim. Do organizacji Gehlena należą tacy oficerowie wywiadu SS, jak Alfred Seis, Emil Augsburg, Klaus Barbie, Otto von Bolschwing i Otto Skorzeny, który odbił Mussoliniego po jego zdymisjonowaniu. Wielu z nich wysłano do Ameryki Południowej, gdzie czekają na swą „reutylizację”. Ich ewakuacja nie byłaby możliwa bez pomocy Stolicy Apostolskiej.

Po tym pierwszym posunięciu przyszła kolej na następne, nie mniej alarmujące, jak chociażby Operacja „Paperclip” - przerzut do Stanów Zjednoczonych hitlerowskich naukowców, głównie specjalistów w zakresie aeronautyki, broni biologicznej i chemicznej oraz badań jądrowych. W wielu przypadkach sfalszowano akta wojskowe tych zbrodniarzy, by oczyścić ich z zarzutów stawianych po wojnie przez międzynarodowe trybunały.

*Sam widzisz: poświęciłem wiele lat życia ściganiu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, by przekonać się - o ironio losu! - że wielu z nich współpracuje ze swymi domniemanymi prześladowcami i korzysta z opieki rządów, które do niedawna z nimi walczyły. Co stało się z deklaracją moskiewską z 1943 roku, w której Roosevelt, Churchill i Stalin obiecywali solennie, że zbrodniarze wojenni nie unikną kary, że będą ścigani aż po krańce ziemi i dostarczeni na miejsce swych mordów, gdzie sądzić ich będą własne ofiary? Wszystko okazało się jednym wielkim łgarstwem. Europa o to, co się stało, oskarżyła Niemcy, Niemcy zwały winę na nazistów, a ci na Hitlera, który nie żyje...*

Sęk w tym, że nie mogę już nawet liczyć na przychylność „Smitha”, członkowie organizacji akceptują bowiem nowe „prądy polityki międzynarodowej”. Zostałem sam. Tak, Jose Maria, znalazłem się w sytuacji bez wyjścia. Posunąłem się za daleko i zapewne przyplacę to życiem. Wczoraj, pod moją nieobecność, ktoś wypytywał o mnie w hotelu. Właściciel, Węgier od piętnastu lat mieszkający w tej części Austrii, wspomniał, że mój niedoszły gość mówił po niemiecku z silnym węgierskim akcentem. Naturalnie zaraz pomyślałem o Gaborze, którego nie widziałem od naszej ucieczki z Rzymu. Obawiam się, że jest teraz jednym z płatnych morderców na usługach aliantów. Dlatego chcę cię prosić o ostatnią przysługę. Przekaż ten list Montse. Tylko jej mogę jeszcze ufać. Ona będzie wiedziała, co z nim zrobić.

Czas się żegnać.

*Jeszcze raz proszę, wybacz.*

*Ściskam cię serdecznie.*

*Smith*

*Innsbruck, 18 października 1952 roku*

## **2**

Sam nie wiem, ile czasu dochodziłem do siebie po lekturze listu Junia - zapewne nie trwało to krócej i nie było mniej męczące, aniżeli przepłynięcie w czas sztormu całego oceanu. Choć trzymałem się kurczowo burty, każde nowe słowo wstrząsało mną niczym rozjuszona fala - raz po raz, sylaba po sylabie, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, akapit po akapicie, strona po stronie... Aż nagle ujrzałem, że pokład się łamie i staje dęba, a ja jestem zupełnie bezradny. Gdy odzyskałem wreszcie równowagę, głowa mi pękała od emocjonalnych wstrząsów, policzki płonęły z upokorzenia, kolana drżały, a świat raz na zawsze utracił rozpoznawalne kształty i barwy. Jedyne od czasu do czasu udawało mi się dostrzec pojedynczą błyskawicę, drobne refleksy świetlne, które docierały do mnie falami, niosąc na potwierdzenie słów Junia obrazy z przeszłości: księgarnia pana Tassa - Montse i Junio udają, że widzą się po raz pierwszy; cmentarz protestancki - Smith narzuca pseudonim tylko Montse, mnie pozwala zdecydować samemu (oczywiście Smith wiedział, że Montse to „Liberty”); smutna opowieść Montse o stryju Jaime, usuniętej ciąży oraz namiętym romansie z „młodym cudzoziemcem”, którym okazał się Junio; prośba ojca Sansovina, bym informował go o posunięciach księcia i rozkaz Smitha, bym donosił mu na duchownego (tymczasem obaj wykorzystali mnie jako zwykłego łącznika). Stała mi przed oczami wykrzywiona bólem twarz Montse, gdy dowiedzieliśmy się z gazet o śmierci Junia. Nareszcie zrozumiałem jej cierpienie i długi rozpaczliwy szloch - szloch, który przesiąka duszę. Tymczasem ja, naiwny, przypisywałem jej łyzy kobiecej wrażliwości.

Zapraгнаłem, by wielka fala zmiotła mnie na zawsze z pokładu. Lecz stało się coś przeciwnego - sztorm ustał i wkrótce zobaczyłem, jak horyzont rozciąga się, tworząc niedosięglą linię. Wtedy pojąłem, że przede mną jeszcze całe lata rejsu, podczas których nie zaznam spokoju. Po burzy zapanowała cisza, a ja poczułem się znużony, wyjałowiony i zbierało mi się na wymioty.

Zrozumiałem, że nie od dzisiaj czekam na ten sztorm. W rzeczywistości list Junia był tylko potwierdzeniem tego, co podświadomość podpowiadała mi od samego

początku, a przed czym wzbraniało się moje świadome ja. Był to zresztą opór wyrachowany, wszak zależało mi tylko na tym, by ożenić się z ukochaną kobietą, bez względu na to, czy odwzajemnia ona moje uczucia.

Dziesięć lat wcześniej list Junia unicestwiłby mnie. Teraz jednak sprawy wyglądały inaczej. Nauczyłem się, że poświęcenie wypływa z miłości, i byłem gotowy się poświęcić, byle ratować nasz związek. Ja również, podobnie jak Junio i Montse, miałem prawo służyć własnej sprawie.

Przez kilka sekund zastanawiałem się, co zrobić z listem. Postanowiłem nie oddawać go Montse - z miłości do niej, nie dlatego, bym nie doceniał zawartych w nim informacji. Wiedziałem już na pewno, że nasz związek oparty jest na kłamstwie i że prawda może go zniszczyć. W każdym razie wołałem nie stawiać Montse przed dylematem. Bałem się, że mnie porzuci, gdy wyda się, iż wiem o jej oszustwach. Najlepsze, co mogłem zrobić, to pozostawić wszystko tak, jak było, udać niewiedzę i czekać, aż rezygnacja - i tylko ona - uleczy moje zranione serce.

Zdecydowany zniszczyć dowody, wyszedłem na taras, poszukałem pustej doniczki, włożyłem do niej kartki i zapaliłem zapalniczkę. Dwie minuty później list Junia przypominał zgniecioną czarną kalkę, którą rozwiać mógł najłżejszy podmuch. Dopelnivszy dzieła, poczułem wilgotny chłód potu na piersi i pod kolanami, jak po wielkim wysiłku.

Potem usiadłem, by poczekać na Montse, udając, że nic się nie stało. Włączyłem radio i próbowałem się skoncentrować na południowym serwisie informacyjnym mówiącym o odbudowie kraju i o wyjątkowo chłodnej tegorocznej jesieni.

Przypuszczałem, że rozczarowanie pozostawiło ślad na mojej twarzy, jednak musiało ono tam dokonać prawdziwego spustoszenia, bo Montse rzuciła już od progu:

- Źle wyglądasz.
- Wymiotowałem pół godziny temu. Śniadanie mi zaszkodziło - skłamałem.
- Ugotować ci trochę ryżu? Może zetrę ci jabłko?
- Nie, dziękuję, wolę nic nie jeść.
- Masz spuchnięte powieki, jakbyś płakał - zauważyła.

Nawet jeśli płakałem, to nieświadomie. Jednak równie dobrze moje zaczerwienione oczy mogły wziąć się stąd, że bardzo długo wpatrywałem się w list Junia z niedowierzaniem i zdumieniem, nie mogąc opuścić powiek, ani nawet mrugnąć.

- Wymiotowanie przychodzi mi z trudem, zawsze muszę się przy tym sporo namęczyć. Ale już mi lepiej.

Ruszyłem do łazienki, by przemyć twarz zimną wodą. Spojrzawszy w lustro, zauważyłem na swojej twarzy nie zgrzyotę, ale napięcie.

- Pachnie spalenizną. Czujesz? - zapytała Montse, gdy wróciłem do salonu.

Przez chwilę wydawało mi się, że próbuje mnie osaczyć, jakby nie dowierzała moim wyjaśnieniom. Pomyślałem nawet, że spodziewała się listu od Junia i znała zawczasu jego treść.

- Palilem papiery na tarasie - przyznałem.

- Palileś papiery? Jakie papiery?

- Stare śmieci.

- Mam przynajmniej pewność, że nie listy, które pisałam do ciebie z Barcelony - zażartowała.

Wykorzystałem moment, by przejąć inicjatywę. Chciałem udowodnić, nie zdradzając się, że wiem więcej, niż mówię.

- Nie, moje listy do ciebie, których nie wysłałem, bo nie znałem adresu.

- Nic a nic ci nie wierzę. Przecież nigdy nie wspomniałeś o tych listach. Zresztą zostawiliśmy nasz adres w akademii.

- Powiedzmy, że były to listy pisane do szuflady. Nie zamierzałem ich wysłać.

- I co w nich było?

- Wyznania, których się teraz wstydzę. Dlatego je spaliłem.

- Nigdy nie wstydziles się okazywać uczuć, ani publicznie, ani prywatnie. Zawsze to w tobie ceniałam,

- Nie mówię o uczuciach, ale o przeszłości - odparłem.

- Wstydzisz się własnej przeszłości?

- Owszem. Przeczytawszy ponownie te listy, uświadomiłem sobie, jaki byłem żaloszny. Ograniczałem się do rejestrowania faktów, nigdy ich nie analizowałem ani nie próbowałem doszukać się w nich przesady, podstępu, fałszu. Moja przeszłość była, że tak powiem, zbyt przyzwoita.

- I masz to sobie za złe?

- Tak, bo życie jest z gruntu nieprzyzwoite. Dlatego wiele osób mnie wykorzystało.

- Czy mam to rozumieć jako wyrzut?

Nie, to nie był wyrzut. Po prostu mściłem się za zranienie mojej dumy.

- Jesteś jakiś nieswój - dodała Montse.

- To tylko zmęczenie.

Mówiłem prawdę. Cierpienie mnie wyczerpało, nie pozwalając obmyślić strategii wykraczającej poza tę rozmowę.

### 3

Szóstego stycznia świętowaliśmy Trzech Króli, którzy we Włoszech przyjęli postać dobrej czarownicy imieniem Befana. Befana nosiła łachmany, dziurawe buty i przemieszczała się w mgnieniu oka dzięki miotle, która pozwalała jej lądować na dachach i wskakiwać do kominów, by podrzucać dzieciom prezenty. W Rzymie Befana miała swe centrum operacyjne na placu Navona, gdzie zbierał się kto żyw - od obwoźnych handlarzy po ulicznych grajków.

Ulewny deszcz padający przez całą noc ustał dopiero o brzasku, więc wilgoć przenikała do szpiku kości, bardziej aniżeli chłód. Od wzgórza Gianicolo napływała ostra woń opadłych liści i mokrej ziemi. Oszalałe wody Tybru pędziły zmacone, waląc z ogłuszającym rykiem w wały ochronne wyspy Tiberina, która przypominała skazaną na zatonięcie łódkę. Ulice były puste, co potęgowało uczucie osamotnienia. Montse i ja szliśmy w milczeniu, pod rękę, wypatrując śladów zimy, jakby chodziło o nieznaną - zbyt śliski *sanpietrino*, to znowu gzyms, na którym niczym groźba wisiały sople. Przeszliśmy przez plac Farnese i Campo dei Fiori. Na wysokości Palazzo Braschi Montse jak zwykle zmusiła mnie do nadłożenia drogi, by okrężną trasą dojść do placu Navona.

Tam sytuacja odmieniła się zdecydowanie: chłód zastąpiło ludzkie ciepło, samotność - tłum pulsujący niczym serce, ciszę - zgiełk pikoli i dud.

Cizba pochłonęła nas natychmiast i popchnęła ku grupce abruzyjskich pasterzy, przy których muzycznym akompaniamencie Befana straszyla dzieciarnię, krzywiąc się i nadymając:

- Se qualcuno e stato disubbidiente, trovera carbone, cenere, cipolle e aglio! <sup>13</sup> - pokrzykiwała.

Ale wszystkie maluchy były grzeczne, więc dostawały w nagrodę czekoladę i cukierki. Chwila ta była gwoździem świątecznego programu, powtarzanim przed każdą nową gromadką brzdąców. Posmutniałem na myśl, że dawno już nie czułem z bliska takiego szczęścia.

---

<sup>13</sup> *Jeśli ktoś z was było niegrzeczne, dostanie węgiel, popiół, cebulę i czosnek! (wł.).*



W rzeczywistości katastrofa wydawała się nieunikniona. Odkąd otrzymałem list Junia, nasz związek zaczął iść na dno i tym razem nawet ja nie próbowałem wypompowywać wody. Awaria była nie do naprawienia - wcześniej czy później i tak musieliśmy opuścić okręt. A wtedy morze - wodna otchłań, którą władały niewidzialne prądy - rozłączyłoby nas na zawsze. Lecz nie wszystko było jeszcze stracone: aby się ratować, musielibyśmy zrekonstruować, że tak powiem, prawdziwą historię. Ale nie zrobiliśmy tego. Ściślej mówiąc, ja tego nie zrobiłem. Wolałem odgrodzić się od Montse ścianą ciszy.

Choć nie zdradziłem się przed nią żadnym nieopatrzonym słowem, czułem się nieswojo. Chodziłem jak struty, każda dłuższa rozmowa z żoną potęgowała we mnie rozżalenie i odbierała mi apetyt. Moja huśtawka nastrojów oraz niechęć do jedzenia zaniepokoiły Montse, skłaniając ją do przyjęcia postawy obronnej. Rzecz by można, że oboje zachowywaliśmy się biernie, nie tracąc jednak ani na chwilę czujności.

Wielokrotnie byłem o krok od wyznania Montse prawdy, bo dochowanie tajemnicy wzmacniało tylko we mnie uczucie, że przeszłość jest żywsza niż kiedykolwiek. Nie potrafiłem jednak zdobyć się na ten krok. Gdy już-już miałem się odezwać, serce zaczynało mi trzepotać w piersi, płuca się ścisnęły, a słowa nie chciały przejść przez gardło.

Zaczęliśmy się przedzierać przez rozfalowany tłum i rozglądać za stoiskiem z pieczonymi kasztanami. Po udanych poszukiwaniach schroniliśmy się z parującym rozkiem w pobliskim portyku, by zjeść kasztany z dala od chłodu i tłoku. Prawie się nie odzywaliśmy, co zresztą ostatnio było na porządku dziennym. Jednak teraz, w tym świątecznym zgiełku, niewypowiedziane słowa ciążyły nam coraz bardziej. Najwyraźniej moja podświadomość podjęła nagle na własne ryzyko decyzję o rozpoczęciu ceremonii wyzwolenia, bo usłyszałem padające z mych ust słowa:

- Pamiętasz tamte papiery, które spaliłem? To był list od Junia. Wiem wszystko.

Myślę, że sam zrobiłem przy tym zdumioną minę.

Montse spojrzała na mnie z bezbrzeżną pogardą i powiedziała:

- Nic nie wiesz.

To rzekłszy, ruszyła przed siebie.

Rzuciłem się za nią w tłum, odpychając rękami ludzkie przeszkody.

- Zgoda, może nie wszystko, ale na pewno wiem bardzo dużo - dodałem.

- Tak sądzisz? Nawet gdybym wyjaśniła ci wszystko od początku, nie potrafiłbyś mnie zrozumieć.

- Być może, ale przynajmniej mógłbym pojąć, jaka była lub jest moja rola w tej szopce. Dzięki twoim wyjaśnieniom zrobiłoby mi się lżej na duszy.

- Naprawdę myślisz, że to zwykła szopka? Tak, popełniłam wiele błędów, zabiłam nawet człowieka, jednak moim największym błędem było pokochanie dwóch mężczyzn jednocześnie. Czy to wszystkiego nie wyjaśnia?

Zdawało się, że tańczymy - nieporadnie, bez muzyki i bez śladu liryzmu - jakąś odmianę tańca, będącą żywym odzwierciedleniem smutnych okoliczności naszego związku: miłości rozdarłej na dwoje i wspólnego życia.

W miarę jak zbliżało się południe, narastał tłok, jednak od jakiegoś czasu twarze mijających nas postaci zaczęły się zamazywać. Wystraszyłem się, że zgubię Montse, która nadal przedzierała się przez ludzki labirynt, dlatego położyłem ręce na jej ramionach i spróbowałem skierować ją ku mniej zatłoczonemu miejscu.

- Chodźmy stąd. Rozejrzyjmy się za spokojniejszym kątem na rozmowę - zaproponowałem.

- Nie dotykaj mnie.

- Jedno nie daje mi spokoju. Skoro Junio chciał ci przekazać informacje o ukrywających się hitlerowcach, dlaczego adresował list do mnie? - zapytałem.

- Nie wiem! W każdym razie inaczej się umawialiśmy. Miałam przekazać list władzom partii komunistycznej. Junio obiecał, że o niczym się nie dowiesz - usłyszałem w odpowiedzi.

- A więc wasze spotkanie w Bellagio nie było przypadkowe.

- Powiedzmy, że spotkaliśmy się przy okazji kongresu bibliotekarskiego. Junio chciał mnie powiadomić o swoich najnowszych odkryciach. Nie skłamałam, mówiąc ci, że zamierza przesłać mi pewne informacje, jeśli jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- A jednak gdy przyszło co do czego, adresował list do mnie. Zupełnie jakby chciał odejść z czystym sumieniem - drążyłem temat.

- W Bellagio powiedział, że być może widzimy się po raz ostatni, bo „Smith” depte mu po piętach. Dlatego uznałam, że ma prawo wiedzieć, co zdarzyło się w Barcelonie.

- Masz na myśli ciężę i zabieg?

Montse nie odpowiedziała. Nadal parła na oślep przed siebie.

- To tłumaczy reakcję Junia, nie sądzisz? Wysyłając list do mnie, chciał odplacić ci pięknym za nadobne - zauważyłem.

- Nie powinieneś był palić listu. Wszystko zepsułeś. Wszystko zepsuliście - powiedziała z wyrzutem.

Już miałem się bronić, gdy nagle tuż przed nami rozległ się huk wystrzału. Przechodnie rozbiegli się w popłochu na boki. W tej samej chwili Montse nieoczekiwanie odwróciła się ku mnie i osunęła całym ciężarem w moje ramiona. Wziąłem ten nagły ruch za gest pojednania, jednak natychmiast zrozumiałem, że nogi się pod nią uginają, a siła grawitacji ciągnie ją ku ziemi.

- Co ci jest? Źle się czujesz? - zapytałem, podtrzymując ją.

Pośród ogólnej konsternacji wykrzyknęła zdumiona:

- Gabor! Strzelił do mnie!

Konwulsje wstrząsały jej piersią, z której środka wypływała strużka krwi. Próbując zatamować krwotok palcami, poczułem, jak z każdym uderzeniem gaśnie jej serce.

Gdy osuwałem się na kolana, nie chcąc, by jej ciało runęło na bruk, rozejrzałem się przytomniej wokół i wyłowilem z otaczającego nas tłumu znajomą twarz mężczyzny o zimnych błękitnych oczach. Miał na głowie myśliwską czapkę z nausznikami i paskiem pod brodę. Uśmiechał się do mnie przez kilka sekund, po czym wyciągnął rękę i strzelił ponownie.

## 4

Lekarzom nie udało się uratować Montse, ze mną natomiast nie mieli większych problemów. Kula trafiła mnie w szyję i rozszarpała liczne mięśnie oraz tkanki, jednak cudem nie zahaczyła o żadną tętnicę. Uszkodziła natomiast struny głosowe, dlatego przez dwa, trzy miesiące nie mogłem mówić. Moje przymusowe milczenie stanowiło poważną przeszkodę dla policji, która musiała się zadowolić zeznaniem na piśmie. Powiedziałem im wszystko, co wiem o Gaborze i jego związkach z księciem Cimą Vivarinim. Napomknąłem również o liście Junia, choć nie sądzę, by się to na coś zdało, wszak zapomniałem już wiele wymienionych tam nazwisk, wywietrzały mi też z głowy liczne szczegóły. Na dobrą sprawę pamiętam tylko wzmianki dotyczące bezpośrednio mnie i Montse.

Lekarz, którego zapytałem o jej zwłoki, odpowiedział, że przeleżały dwa dni w kostnicy, zostały poddane autopsji, a następnie pogrzebane, tak bowiem nakazuje włoskie prawo. Przez pierwsze czterdzieści osiem godzin po ataku mój stan był ciężki i znajdowałem się pod wpływem środków uspokajających, dlatego o miejscu pochówku zdecydowali towarzysze Montse z partii komunistycznej. Pogrzebano ją na rzymskim cmentarzu protestanckim, niedaleko grobu Antonia Gramsciego. Pochwaliłem tę decyzję.

Dzisiaj mogłem nareszcie odwiedzić grób Montse. Towarzyszyło mi dziwne poczucie winy i wstydu. Nie zdobyłem się natomiast na choćby jedną łzę. Gładka płyta pozbawiona ozdób (za to pokryta mnóstwem wieńców z szarfami instytucji państwowych i prywatnych) nadawała grobowi anonimowości i nijakiego charakteru. Po dłuższym zastanowieniu poleciłem wyryć na niej napis:

### **Liberty**

**1917 - 1953**

Potem przysiadłem na ławce przed grobem Johna Keatsa i jego wiernego przyjaciela, malarza Severna. Z drzew zwisały sople w kształcie łez, a ziemię pokrywał cienki całun śniegu. Gdy owiało mnie mroźne styczniowe powietrze, zapatrzyłem się na romantyczne białe zasy zalegające na niektórych grobach. Smutek ustąpił nagle miejsca osobliwemu poczuciu spokoju. Teraz wiem już na pewno, że śmierć niesie ze sobą wyzwolenie. Bez niej życie pozbawione byłoby symetrii i równowagi. Na koniec pomyślałem, że Gabor może chcieć dokończyć swe zadanie. Pewnie mnie śledził i lada chwila stanie przede mną. Jeśli tak, nie ruszę się, ułatwię mu zadanie. Pozostaje mi więc tylko czekać. Ale czy nie to właśnie robię od samego początku? Mój wzrok znów zatrzymał się na grobie Keatsa. Usłyszałem głos Montse, która pewnego odległego już dnia przetłumaczyła dla mnie epitafium poety:

*Tutaj spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie.*

## Podziękowania

Mapa Stworzyciela jest powieścią fikcyjną. Sam tytuł nawiązuje zresztą do tajemniczej, trudnej do datowania, kamiennej płyty - znalezionej w Daszy, w rosyjskiej Baszkirii, którą nazwano tak ze względu na jej podobieństwo do wypukłej mapy Uralu. Ja natomiast zastąpiłem kamień z Daszy mapą papirusową i przeniosłem ją do innego zakątka ziemskiego globu. Potraktowałem również wedle własnego uznania czas i przestrzeń, umieszczając akcję powieści w Rzymie Mussoliniego. A więc Mapa Stworzyciela nigdy nie istniała.

Istniało natomiast wiele postaci ze stron tej powieści, na przykład don José Olarra, którego przedstawiłem na podstawie dokumentów znajdujących się w posiadaniu hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz książki Juana Marii Montijana *La Academia de España en Roma*, opisującej dzieje tej instytucji od jej powstania. To właśnie te źródła zarzucają Olarrze donosicielstwo. W miarę możliwości starałem się wiernie odtworzyć wydarzenia historyczne i przytaczać prawdziwe sytuacje i dialogi. Oczywiście niełatwo jest przedstawić tak złożony okres historyczny, obejmujący zarówno hiszpańską wojnę domową, jak i drugą wojnę światową. Dlatego podczas pisania powieści korzystałem z licznych rozpraw, kronik politycznych i esejów historycznych. Z tych ostatnich chciałbym wyróżnić pracę *Los cien últimos días de Berlín* Antonia Ansuateguiego, studenta inżynierii lądowej na politechnice w Charlottenburgu.

Podkreślić należy, że Ansuategui trafił do Berlina w roku 1943, czyli znalazł się od razu w oku wojennego cyklonu. Dzięki jego świadectwu dowiedziałem się dokładnie, jak wyglądało życie w niemieckiej stolicy jesienią 1943 i zimą 1944 roku, po wzmożeniu alianckich nalotów. Niestety, jego praca nie była wznawiana od roku 1973 (czyli od ostatniego, meksykańskiego, wydania) i według moich informacji jest dostępna (w trzech egzemplarzach) tylko w Bibliotece Narodowej w Madrycie. Inną książką, z której korzystałem, jest esej Roberta Katza *The Battle for Rome: the Germans, the Allies, the Partisans, and the Pope, September 1943 - June 1944* - przystępnie napisana rozprawa oparta na wnikliwej pracy badawczej, poświęcona niemieckiej okupacji Rzymu i alianckim próbom wyzwolenia miasta z hitlerowskiego jarzma. Postaci historyczne, takie jak pułkownik SS Eugen Dollmann czy Pięro Koch, dowódca faszystowskiej komórki paramilitarnej, nie mogłyby zostać szczegółowo przedstawione w tej powieści, gdyby nie książka Katza. Chciałbym również wspomnieć znakomitą pracę Erica Frattiniego, zatytułowaną *Święte Przymierze. Tajny wywiad Kościoła katolickiego*. Jej lektura pozwoliła mi zrozumieć stosunek Piusa XII do hitlerowców, jego rolę w „kwestii” żydowskiej oraz udział Świętego Przymierza - watykańskich służb wywiadowczych w wydarzeniach rozgrywających się przed wojną, w jej trakcie oraz zaraz po niej. Dzięki książce Frattiniego na stronach mojej powieści mogły pojawić się postaci tak kontrowersyjne, a zarazem tajemnicze, jak Nicolas Estorzi i Taras Borodajkewycz - sławni, powiązani ze Świętym Przymierzem szpiedzy, działający w Rzymie tuż przed drugą wojną światową. Powieść

szpiegowska, za jaką uchodzić ma Mapa Stworzyciela, nie mogłaby się obejść bez takich postaci o niejasnej tożsamości i enigmatycznym zachowaniu.

Od połowy lat siedemdziesiątych zeszłego wieku wiadomo, że Martin Bormann, osobisty sekretarz Adolfa Hitlera, zginął podczas ucieczki z bunkra Führera. Tak przynajmniej wykazały badania niezidentyfikowanej czaszki należącej, jak podejrzewano, do znaczącego hitlerowskiego dygnitarza. Jednak jeden z bohaterów powieści utrzymuje, że Bormann zdołał zbiec i że ukrywa się w Ameryce Południowej. Błąd ten, za który odpowiedzialność ponosi autor tej książki, nie podważa decydującej roli Stolicy Apostolskiej w organizowaniu przerzutów znanych hitlerowców (nie tylko Niemców, ale również Chorwatów, Węgrów i osób innych narodowości) do krajów, takich jak Hiszpania, Argentyna, Paragwaj czy Boliwia.

Na koniec pragnę podziękować Akademii Hiszpańskiej w Rzymie, która w roku 2004 ugościła mnie jako stypendystę, gdyż właśnie w jej wiekowych murach zrodziła się i nabierała kształtów ta historia.